

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIII.

ROK VI.

TOM III.—ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

2

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 30 Czerwca 1881 r.

Sprawa włościańska w Irlandyi.

I.

Nie możemy powiedzieć, żeby częsta niestety konieczność ścierania się z Irlandczykami w Nowym świecie, Anglii i kraju ich własnym, sympatyą nas dla ich charakteru napełniła. Przeciwnie. Zrozumieliśmy powód owych lig anti-irlandzkich, zawieranych w Ameryce przez ludzi rozmaitych narodowości: od Anglików i Yankesów, do katolickich chłopów polskich, Żydów i Chińczyków, zapominających o niezgodach nurtujących w gminach kosmopolitycznych, jeśli się trafi sposobność wspólnéj akcyi przeciw motłochowi irlandzkiemu, którego dziwny szowinizm i kłótliwy temperament czuć się daje nieprzyjemnie sąsiadom. Przykład takiéj ligi dały w r. 1880 wszystkie warstwy oświecone w New-Yorku, podczas wyborów burmistrza. Kto żyw agitował i pracował, żeby pierwszym urzędnikiem stolicy handlowéj stanów Zjednoczonych nie został człowiek, któremu nic nie było można zarzucić, prócz urodzenia na „zielonéj wyspie.“ Nikt nie organizował tego ruchu. Był on samorodnym dowodem opinii innych narodowości o Irlandczykach. Moglibyśmy wiele podobnych dowodów przytoczyć, że dowcipny *Pat* z Erynu nie posiada, wśród licznych talentów i cnót, daru skarbienia miłości ludzkiéj.

Nie skaptowani przez Irlandczyków, spędziwszy tyle chwil przyjemnych w życiu z Anglikami i Szkotami, ileśmy gorzkich od tamtych doznali, nauczywszy się cenić gruntowność, wytrwałość i bezstronność umysłu angielskiego, a lekceważyć błyskotliwą lekkość irlandzkiego, poznawszy bliżéj kilku głośnych „agitatorów“ i znalazłszy w nich pod maską krzykliwego patryotyzmu ambicyą wyuzdaną i egoizm zimny, patrząc ze wstrętem, na ślepe służalstwo

ciemnego gminu klerowi, który, ze wszystkich zasad ultramontańskiego katechizmu, pamięta najlepiéj naukę *de haereticis non tolerandis*— zostając pod wpływem takiéj informacyi i uczuć nie możemy być podejrzywani o przyjaźń dla Homerulerów, Parnellistów, ligi włościańskiéj i hierarchii kościelnéj irlandzkiéj. Zamierzając wypowiedzieć zdanie o sporze tych ludzi z Anglią, znajdujemy się w przykrém położeniu sędziego, mającego decydować proces między osobą co najmniéj obojętną a przyjacielem.

Nie cofamy się wszakże od obowiązku, który wkłada na nas lepsza znajomość wielu kwestyj rzeczonego procesu, niż ta jaką domatorowie polscy posiadają. Kto wie, czy koniec końców zdanie z ust niepochlebnie się wyrażających o charakterze irlandzkim, nie będzie miało pewnéj wartości, jako dowód zapatrywania się na los włościan irlandzkich przez człowieka, któremu Anglia miłą, ale milszą prawda. Przyjąwszy dawną dewizę *„fiat justitia, ruat coelum"* w formułowaniu naszych sądów o sprawach politycznych i społecznych, chcemy się wznieść w niniejszéj rozprawie po nad poziom publicystów, powtarzających bez wyboru i krytyki pochwytane z uprzedzonéj części prasy angielskiéj i zagranicznéj opinii o agitacyi włościańskiéj w Irlandyi. Będziemy się starali wskazać: jakiemi drogami i sposobami właściciele wielkich irlandzkich posiadłości doszli do teraźniejszego swego znaczenia, jak z niego korzystają, czy zasługują lub nie na sympatyą świata, czego żądają rzetelnie włościanie, co im ofiarował p. Gladstone, oraz kilka innych t. p. rzeczy, mogących interesować czytelników, od dwóch lat ciągle rozciekawionych wzmiankami gazet o skomplikowanéj kwestyi włościańskiéj w Irlandyi.

Ruch ten cały, odłożywszy na stronę epizody aresztowań, stanu oblężenia, feniańskich wybryków i ekscentrycznych popisów indywidualnych, jest z jednéj strony stanowczém wołaniem włościan irlandzkich o sprawiedliwość, a z drugiéj, usiłowaniem Anglii, natchnionéj niespodziewanie duchem cierpliwości i wspaniałomyślności dla słabego narodu—będącym do twarzy narodowi potężnemu, jak biały bukiet na łonie dziewicy—żeby temu żądaniu zadość uczynić. Jest to jeden więcéj krok Anglii na pochyłéj i ślizkiéj drodze restytucyi, wiodącéj do oddania Irlandyi autonomii ukradzionéj. Za zrobienie tego kroku należy się dank Gladstonowi i jego kolegom ministeryalnym. Nie usuwamy się od obowiązku złożenia wyrazów uznania za ich akt piękny. Szkoda, że podobna sposobność chwalenia ich rzadko się nam trafia, bo inne dzieła polityczne Pp. Gladstona i Ski. częściéj nam się wydają błędnemi, niż godnemi oklasku.

Praca podjęta przez nich w sprawie irlandzkiéj jest trudną, jak każda reforma społeczna w Anglii, oględnie zabierającéj się burzyć dawne instytucye. Sami Irlandczycy przeszkadzają jéj nieraz nietaktownem postępowaniem. Szkodzi jéj także wyrobione w umysłach wielu Anglików przekonanie, że gdyby role były zmienione i nie Irlandya im, ale oni Irlandyi podlegali i gdyby ultramontański kler irlandzki posiadał wpływ i potęgę kościoła anglikańskiego i mógł puścić wodze swéj nienawiści dla heretyków, a Pp. Parnell, Biggar i Dillon byli ministrami Wielkiéj Brytanii,—że w takiéj, na szczęście niemożliwéj ewentualności, wieleby jeszcze wody upłynęło korytami Shannonu i Liffeyu, nimby się Irlandczycy na jakikolwiek objaw liberalnéj, sprawiedliwéj polityki zdobyli.

Wszakże, powiadają oni daléj, inteligencya jest córką dobrobytu i wolności i nie daje się wychować w chacie nędzy i ucisku. Polepszenie losu ciemnych włościan irlandzkich może zapewnić skutek wyższy od obdarzenia ich dobrobytem—zwrócić im rodzinną celtyckiego charakteru szlachetność, siedmio-wiekowemi nieszczęściami skażoną. Wyzwoliwszy ciała tych 5 milionów biedaków z pod jarzma kilku tysięcy panów, otworzy się możność ich duszom do wyłamania się z więzów bigoteryi i ciemnoty. Każdy człowiek ma prawo spożywać owoce swéj pracy, choćby był zacofanym, kłótliwym chłopem z prowincyi Connaught. Widzieliśmy z upodobaniem na kurulskiem krześle senatorskiém Stanów Zjednoczonych człowieka czarnego jak heban. Był tego krzesła ozdobą. Czyżby uwłaszczony *Pat* z powiatu Galway mniéj był zdolnym wzbić się wysoko od wyzwolonego murzyna? Niechże sprawiedliwość, stojąca na piedestale sięgającym w wiecznie błękitne i spokojne stropy, wytrzęsie z szali złotéj, dolę irlandzkiego kmiotka mierzącéj, nędzę i pogardę i ucisk, jakim ją 7 wieków napełniło! Bądźmy wspaniałomyślni!

Tak myśleli zapewnie autorowie przedstawionych w bieżącéj kadencyi parlamentowi angielskiemu projektów reform i restytucyj, z któremi zamierzamy zapoznnć czytelników z taką dokładnością, na jaką pozwalają ramy zarysu dziennikarskiego.

II.

Opowiedzmy najpierw historyą własności ziemskiéj w Irlandyi, bo bez pobieżnéj znajomości tych dziejów trudno byłoby czytelnikowi zrozumieć, dla czego ustawy i zwyczaje, regulujące w Anglii stosunek właścicieli wielkich posiadłości z ich dzierżawcami, a nie przeszkadzające w tymże kraju rozwojowi rolnictwa i dobrobytu społecznego, okazały się w Irlandyi niesprawiedliwemi i nieznośnemi.

Początek historyi sięga XII-go wieku, czyli pierwszego najazdu na celtycką Irlandyą dokonanego przez rozbójnicze, normandzko-saskie zastępy Henryka II. Działo się to w jednym z owych rycerskich, duszom sentymentalnym drogich wieków, w którym podboje społeczeństw słabych przez silne i grabienie ziemi sąsiadów, było legalnym, częstym, w pieśniach sławionym sposobem szerzenia t. z. kultury. Jak dziś spółki kupieckie zawiązują się dla robienia dobrych interesów drogą pokojowéj kolonizacyi i handlu, tak wtedy robiły współki chciwych ziemi baronów i rycerzy dobre interesa najeżdżaniem bezbronnych plemion, a jednym z najlepszych interesów tego rodzaju opisanym w dziejach, było zawojowanie Irlandyi przez stalą okutych, głodnych przywłoków z po za morza, którzy się zaraz ziemią celtycką (1) podzielili.

Odtąd staje się kronika Erynu długim regestrem najazdów angielskich, zbrojnych powstań irlandzkich przeciw częściowo ugruntowanéj władzy zaborców, krwawego tych rokoszów tłumienia i konfiskat ziemi powstańców na korzyść zwycięzkich najezdników. Obszary konfiskowane, dzierzone niegdyś przez klany, czyli rody, sposobem częściowo komunistycznym, przeszły pod prawa własności i dziedzictwa wspólne krajom feudalnym, celtyckiemu duchowi niezrozumiałe i wstrętne; a natura dwóch plemion na jednéj wyspie mieszkających tak jest sprzeczną, że chłopstwo z Celtów pochodzące dotąd nie umiało się przejąć wniesionemi z germańskiéj obczyzny pojęciami o prawach własności ziemskiéj.

Naturalny antagonizm między autochtonami i przybyszami bywał łagodzony w pierwszych wiekach swego istnienia tą okolicznością, że koloniści angielscy żenili się z kobiétami krajowemi, a ich potomstwo z wyspiarzami się amalgamowało. Dopiero po przyjęciu protestantyzmu przez Anglików, a wytrwaniu Irlandczyków w religii katolickiéj, stało się dalsze zlewanie dwóch tych szczepów niemożliwém, a do rywalizacyi plemiennéj przybył inny, trudniejszy do złagodzenia powód nienawiści—przesądy i swary wyznaniowe, tém namiętniejsze, im mniéj rozsądne, bo ludzie wszystko sobie łatwiéj wybaczają, niż różnicę w zdaniach, powziętych bez rozwagi i krytyki.

---

(1) Ciekawych dokładnéj znajomości tego przedmiotu odsyłamy do prac autorów, w znacznéj części Anglików i protestantów, ale traktujących kwestyą objektywnie i naukowo, jak np. do dzieł: *History of Irish Land Tenure* by Richley—*History of England in the 18 Century* by Leckey—*New Irleand* by Sullivan i t. d. Warto także czytać pisma kwakra angielskiego, Ridgway'a, który się w r. 1847 i 1880 wspomaganiu nawiedzanych klęską głodową chłopów irlandzkich poświęciwszy, stan ich ekonomiczny gruntownie zbadał, a z cudną malowniczością i chwalebną prawdomównością opisał.

W walce téj wyznaniowéj okazał się charakter celtycki szlachetniejszym od angielskiego, bo gdy za panowania królowéj Maryi ognie inkwizycyi nie gasły na londyńskiém Smithfield i protestantów angielskich tępiły bez miłosierdzia, Irlandczycy nie naśladowali tak złego przykładu, ale tolerowali garstkę protestantów, znajdujących się w ich kraju. Nie odpłacając pięknem za nadobne, ci sami protestanci rzucili się na katolicką większość swych rodaków z krwiożerczością, godną Hiszpanii, skoro Elżbieta na tron wstąpiła i przewagę nowéj religii zapewniła na zawsze. Rząd ustanowiony w Irlandyi przez tę królowę wymyślał najrozmaitsze sposoby nawracania wyspiarzy na wiarę zreformowaną. Budował wszędzie kościoły protestanckie i pastorów w nich instalowanych hojnie uposażał, polecając im gorliwość w nawracaniu katolików. Biskupi i duchowni katoliccy byli ciemiężeni, karani i obdzierani z mienia, a ich owieczki zostały pozbawione wszelkich praw obywatelskich. Przy téj szatańskiéj wytrwałości w narzucaniu nowéj religii gwałtownemi środkami, nie przyszło nigdy na myśl Anglikom, żeby robić prozelitów drogą łagodności i argumentów. Przeciwnie, możnaby rzec, że niczego nie zaniedbali, coby mogło ich wyznanie zohydzić w oczach Irlandczyków. I tak, pastorowie nasyłani obrażali lud, czystość obyczajów zawsze wysoko ceniący, swém życiem rozwiązłém. Chciwość ich nie znała granic. Służbę Bożą prawili po angielsku lub po łacinie, czyniąc ją niezrozumiałą dla gminu. Nie postarali się nawet o przekład Pisma św. na język irlandzki. Słusznie téż zauważył historyk Leckey, że Irlandya musiała pozostać katolicką skutkiem niegodnego postępowania rzekomych misyonarzy protestanckich.

Naturalnym skutkiem wszczętego przez Elżbietę prześladowania katolików, było zbrojne powstanie. Czytelnicy historyi powszechnéj znają przebieg téj rewolucyi i środki użyte do jéj pokonania. Żołdactwo nie oszczędzało ani niewiast, ani niemowląt, a paliło rok w rok żniwa Irlandczyków, żeby ich do ostatniéj nędzy doprowadzić. Wyspiarze jedli chwasty i wykopywali z cmentarzy zwłoki własnych krewnych, na pożywienie. W całéj prowincyi Munster — świadczy współczesny Holingshed — nie było widać ani jednéj ludzkiéj lub czworonogiéj istoty po za obrębem miast. Ziemią wytępionego ludu obdarzono przywłoków, którzy prędko się wzbiwszy w dumę, powołali do jéj uprawy tubylców z innych okolic i obłożyli ich czynszami. W ten sposób zaczęła się t. zw. kwestya agraryjna w Irlandyi, spór kilkuwiekowy, podsycany nienawiścią wyznaniową, plemienną i społeczną. Nie długo, oczynszowany chłop irlandzki musiał się oswajać z poddaństwem i pańszczyzną, rzeczami w jego kraju nieznanemi.

Za panowania Jakóba I wywłaszczono Irlandczyków w całych sześciu powiatach północnéj prowincyi Ulster, jednéj z czterech wielkich działów, na jakie Irlandya się rozpada. Jeden taki powiat sprzedano pewnéj kompanii londyńskiéj za 40.000 funt. st. Do zabranego kraju sprowadzono kolonistów szkockich i osadzono ich na czynszu, płaconym tak owéj kompanii, jak rozmaitym panom angielskim i szkockim, obdarzonym skonfiskowaną ziemią. Koloniści, lud dzielny i oględny, zawarowali sobie w umowach z panami, że nie będą nigdy rugowani ze swych dzierżaw, dopóki będą wszystkie warunki kontraktów wypełniali; w razie zaś, gdyby który z panów chciał się dzierżawców pozbyć, będzie obowiązany wynagrodzić im straty, wynikające z opuszczenia gospodarstw. Układ ten dał początek zwyczajowemu, dla włościan korzystnemu prawu prowincyi Ulster, zwanemu *Ulster Tenant Right*, którego, rozpowszechnienie na całą Irlandyą polecają jako jeden ze środków polepszenia bytu jéj włościan.

Ucisk doznawany pod panowaniem Karola I, zmusił Irlandczyków jeszcze raz za oręż chwycić. Rokosz ten został stłumiony dopiéro przez Cromwella, środkami i sposobami nad pojęcie nowoczesne nieludzkiemi, których opis zostanie najczarniejszą plamą na obfitych w ciemne ustępy kartach historyi angielskiéj. Żołdacy genialnego despoty, którego, czciciel i prorok siły przed prawem a powodzenia przed cnotą, ów autor z samego mózgu ale bez serca złożony — Carlyle (1) — chciał nam jako wzór bohatera przedstawić, pastwili się nad wyspiarzami jak tygrysy. Od roku 1641—1652 zmniejszyła się skutkiem wojny, głodu i moru ludność Irlandyi z 1.466.000 do 850.000, czyli powstanie kosztowało 616.000 ofiar. Po wojnie wysłano niezliczone gromady młodzieży irlandzkiéj do Indyj zachodnich, gdzie ją w niewolę plantatorom zaprzedano. Jak dawniéj prowincyą Ulster, tak teraz wyludniono Munster i Leinster, wypędzając z nich nietylko takich, co broń nosili, ale wogóle wszystkich „papistów“ do najnędzniejszéj z czterech prowincyj irlandzkich— pełnéj skał nagich i bagnistych torfowisk Connaught. W dzikich górach tego zachodniego kraju musiała się mieścić cała ludność katolicka, do któréj prawnie należała Irlandya od morza do morza. Przypomniawszy historyą takiego prześladowania zrozumiemy, dla-

---

(1) Płochość, z jaką niektórzy publicyści polscy słowo w słowo, uwielbienia i treny o Carlylu w angielskich i niemieckich gazetach spotykane, dla użytku polskich czytelników powtarzają, zmusiła nas do napisania zdania powyższego, któregośmy w każdéj chwili bronić gotowi. Niech sobie Niemcy admirują wielbiciela Fryderyka Wielkiego, ale my!...

czego chłop irlandzki życzy po dziś dzień swemu wrogowi, aby „Klątwa Cromwella na nim spoczęła!“

Z restauracyą Stuartów zaczęła się krótka niestety epoka lepszéj stosunkowo doli dla Irlandczyków. Pomnąc ich wierność dla swéj dynastyi, Karol II przeprowadził między katolikami i protestantami rodzaj kompromisu, według którego ci zostali w posiadaniu dwóch trzecich (a jak inni historycy twierdzą, trzech piątych) części wyspy, katolikom zaś oddano resztę jéj powierzchni. Ziemie urodzajne i korzystnie położone, zostały w posiadaniu protestantów.

Rewolucya w r. 1688, skończona ostateczném wygnaniem Stuartów a podjęta pod hasłem społecznéj i religijnéj wolności, zapewniwszy saméj Anglii tryumf zasad postępowych i formy rządu ściśle parlamentarnéj, raczéj pogorszyła, niż polepszyła położenie biednéj Irlandyi. Ten nierówny podział doli i niedoli wynikł z tego powodu, że jedna z instytucyj bezrozumnych i niesprawiedliwych, owoc czasów przedrewolucyjnych, ocalała po burzy, która z tronem Stuartów niejedną obaliła anomalią. Tą instytucyą był kościół anglikański. Fatalny dla szczęścia narodu angielskiego związek kościoła z państwem miał trwać przez dwa wieki jeszcze, by nawet w teraźniejszych czasach waśnić współziomków, a dla Irlandyi być do niedawna ciężarem niezmiernym i krzyczącym dowodem nietolerancyi angielskiéj. W téj Irlandyi, gdzie 4/5 krajowców do katolickiego należało wyznania, większość zaś pozostałéj części należała do kościoła prezbyteryańskiego, kościół, panującym zwany, nie posiadał prawie innych zwolenników oprócz szlachty i garstki mieszczan, a jednakże żaden z presbiteryanów nawet nie mógł piastować urzędów publicznych, a żaden z katolików nie mógł być wyborcą. Los dysydentów protestanckich był jednakże dość znośnym, a tylko katolicy podlegali owym „prawom karnym“—*Penal Laws*—o których tak się wyraził sławny mówca, Burke:

— Dowcip człowieczy nic od nich praktyczniejszego dotąd nie wymyślił, w rodzaju mądréj i doskonale urządzonéj maszyny, w celu uciemiężenia, zubożenia i poniżenia całego narodu, a nawet zbydlęcenia ludzkiéj natury...

W *Constitutional History* Hallama (t. II. roz. 18) spotykamy się z wymownem streszczeniem tych praw osławionych, z których najważniejsze zwięźle powtórzymy.

Katolicy byli wykluczeni z parlamentu, z posad sędziowskich, urzędów gminnych, rad miejskich, uniwersytetu, zawodu adwokackiego. Nie mogli być szeryfami, konstablami, przysięgłymi, marynarzami, żołnierzami, nawet gajowymi i nocnymi stróżami. Nie wolno im było głosować przy żadnych a żadnych wyborach, trudnić się nau-

czycielstwem wiejskiém i udzielaniem lekcyj prywatnych. Cala ich wyższa hierarchia duchowna była obłożoną wieczną banicyą. Tylko księża w urzędzie zapisani mogli mszę odprawiać i sakramentów udzielać. Każdy ksiądz przechodzący na protestantyzm miał prawo do pensyi dożywotniéj. Żona katolika wyrzekająca się religii męża zostawała wolną, a lord kanclerz mógł jéj przyznać część majątku małżonka. Podobną swobodę i nagrodę mógł uzyskać każdy syn katolika, porzucający wiarę ojca. Jeżeli który z synów został protestantem, ojciec stawał się zaraz tylko dożywotnim właścicielem mienia rodzinnego i tracił prawo sprzedać je, zadłużać lub testamentem rozporządzać. Katolikom było zabroniono żenić się z protestantkami. Ktoby protestanta na katolicyzm nawrócił, mógł być karany śmiercią. Katolicy nie mogli nabywać drogą kupna, darowizny lub spadku własności ziemskiéj od protestantów, ani téż brać ziemi w dzierżawę na dłużéj, jak lat 31. Jeśliby protestant dowiódł, że zysk katolika dzierżawcy wynosił więcéj niż $1/3$ czynszu rocznego, kontrakt taki mógł być zaraz zerwany. Daléj zabroniono wszystkim majstrom katolickim, oprócz tkaczom, więcéj niż dwóch terminatorów trzymać, a żaden katolik nie mógł się cieszyć koniem, którego by wartość 5 funt. st. przenosiła, ale był zmuszony sprzedać swe zwierzę na zawołanie pierwszemu protestantowi, któryby mu 6 funt. st. za nie ofiarował.

Gdy bigoterya religijna takiemi i t. p. ustawami Irlandczyków ciemiężyła, sobkostwo angielskiéj szlachty, kupiectwa i fabrykantów wymyśliło na nich niemniéj straszne plagi. I tak, skutkiem wyludnienia Irlandyi w czasie wojny domowéj, była ona długi czas rozległém pastwiskiem, a wywóz bydła do Anglii tworzył jedyne jéj źródło dochodu. Parlament londyński postanowił ją utrzymywać w ubóstwie zakazem przywozu do Anglii irlandzkich wołów, owiec i nierogacizny. Gdy budownictwo okrętów i handel morski okazały cokolwiek żywotności w nieszczęśliwym kraju, zabił je tenże parlament ustawą, według któréj nie było wolno ani wprost do Irlandyi towarów przywozić, ani téż ich z niéj prosto do cudzych krajów wysyłać, ale wszystkie takie towary musiały wpierw być wyładowane i stemplowane w Anglii. Rynki wszystkich kolonij angielskich zostały raz na zawsze dla produktów irlandzkiego przemysłu zamknięte. Wyrób tkanin sukiennych, rozwijający się pięknie w Irlandyi, dzięki doskonałości wełny krajowéj, został stłumiony wcześnie zakazem wysyłania sukna irlandzkiego do jakiegokolwiek kraju. W podobny sposób obeszli się Anglicy z każdą inną gałęzią przemysłu irlandzkiego, budzącą w nich zazdrość. Jedna tylko, bardzo skromna wtedy, uszła ich argusowéj czujności—był nią wyrób irlandzkiéj weby i płótna, tak ważny teraz dla dobrobytu prowincyi Ulster.

Łatwo zgadnąć stan kraju, powyższym prawom podlegającego. Panowała w nim chronicznie przerażająca nędza, a klęski głodowe i epidemie z nich wynikające dziesiątkowały często jego ludność. Stan ten trwał do drugiéj połowy w. XVIII, aż zbudzony w Anglii duch krytyki i sprawiedliwości, nietolerancyą protestancką cokolwiek osłabił. Najsroższe z „praw karnych“ zostały wtedy formalnie zniesione lub wyszły z użycia. Parlament irlandzki, jakkolwiek z samych protestantów złożony i wierném narzędziem angielskich wielkorządców będący, zaczął dawać znaki samodzielnego życia. Pierwsze powiewy burzy, co do posad samych świat poruszyła, podczas amerykańskiéj i francuzkiej rewolucyi, drgały już w powietrzu. Niebezpieczne położenie Anglii, uwikłanéj w wojnę ze sprzymierzoną Francyą, Hiszpanią i koloniami własnemi, dodało Irlandczykom odwagi do jedynego w historyi swéj nowszéj zręcznie zorganizowanego i kierowanego wystąpienia zbrojnego. Wystawiwszy w r. 1782 90.000 ochotników, upomnieli się o ulgi i reformy. Zlękniony parlament angielski, w którym Whigowie byli w większości, przyznał im bez rozpraw bardzo szeroką autonomią, którą się lat 20 cieszyli. W r. 1793 zrobił dubliński parlament pierwszy krok stanowczy na drodze reform, przypuszczeniem ludności katolickiéj do udziału w wyborach.

Nierozważne nawiązanie stosunków z dyrektoryatem francuzkim w r. 1796, wynikłe skutkiem tego powstanie, w którego kierunku i przebiegu zwykła Irlandczykom objawiła się niekarność, daléj brak patryotyzmu, męztwa i rozumu, okazany przez Irlandczyków w czasie przybycia posiłków francuzkich i fatalny koniec ruchawki, w któréj rzekomo 70.000 ofiar zginęło—wszystko to dało Anglikom pochop do przeprowadzenia unii między dwiema wyspami. Haniebne przekupstwa, zdrady, intrygi i podłości publiczne i prywatne, jakiemi ten związek nielegalny i nienaturalny był przeprowadzony, hańbią zarówno ówczesne rządzące sfery angielskie, jako też szlachtę irlandzką, która dosłownie autonomią swego kraju za tytuły i pieniądze sprzedała.

Unia rzeczona położyła na długo tamę, dziełu reform politycznych i społecznych zaczętemu w r. 1793, a ucisk katolików irlandzkich przez kościół anglikański i szlachtę niegodziwą miał trwać jeszcze prawie cały wiek. Energia patryotów irlandzkich musiała się zwrócić do jednego celu—zerwania przeklętéj unii, a takie rozpaczliwe zestrzelenie całego ducha narodowego w jedném ognisku, musiało wywrzéć skutki szkodliwe na jego charakterze.

Krew i łzy wylane w Irlandyi podczas agitacyj o emancypacyą katolików, o równouprawnienie religijne, uwłaszczenie włościan i zerwanie unii, mierzy już historya powszechnie znana, bieżącego stu-

lecia. Pominiemy je więc milczeniem. Nim jednak skończymy opis przeszłych cierpień, rzucimy jeszcze okiem na stan Irlandyi w chwili zawarcia fatalnéj unii, a to w tym celu, żeby usprawiedliwić Irlandczyków od zarzutu często im robionego, jakoby się okazywali niewdzięcznymi za reformy już przeprowadzone przez rząd angielski, i pałali względem niego nienawiścią, któréj żadne ustępstwa złagodzić nie potrafią. A więc, dodają konserwatywne głosy w Anglii i po za Anglią, niewarto pracować nad marną próbą ugłaskania nieprzebłaganych! Nam się najpierw zdaje, że czas wszystko łagodzący zdołałby tę nienawiść umiarkować, a powtóre, trudno ją brać za złe Irlandczykom, mając w pamięci obraz ich kraju w czasie niedawnym.

Widzimy na tym obrazie wyspę miernie urodzajną, ale skutkiem gospodarki angielskiéj pogrążoną w nędzy, nie spotykanéj w żadnéj innéj części Europy.

Widzimy ludność, któréj $^4/_5$ części do najgorliwszych wyznawców religii katolickiéj należy, a jest pozbawioną kościołów, wsparcia rządowego dla swych dusz pasterzy i praw politycznych. Musi dawać dziesięciny na korzyść znienawidzonego, obcego kościoła, nie czującego żadnéj sympatyi dla krajowców, stającego zawsze po stronie najezdników i ciemiężycieli. Jego duchowieństwo tonie w zbytkach, biskupi mieszkają za granicą, wyciągając z Irlandyi książęce dochody, proboszcze posiadają zwykle po kilka oddalonych od siebie, intratnych prebend, w których oprócz organisty i własnéj rodziny zgoła owieczek nie mają. Duchowieństwo to tak jest podłe i próżniacze, iż nawet nie wypełnia poleconego mu przez królowę Elżbietę obowiązku robienia prozelitów, chociaż go dlatego tylko hojnie uposażono, aby mogło się skutecznie téj pracy poświęcać.

Widzimy daléj kraj bez żadnego przemysłu, oprócz fabryk płótna, w jednéj tylko prowincyi istniejących.

Cała wyspa należy do garstki szlachty, obcéj krajowi pochodzeniem i religią, wzbogaconéj gwałtem lub intrygą, za usługi dworowi i ministrom angielskim oddane. Najbogatsi z nich nie mieszkają w Irlandyi, ale w Anglii, gdzie marnują grosz wyciśnięty bez litości z włościan, uprawiających ich folwarki. Wielkie obszary ziemi irlandzkiéj należą także do gild i korporacyj angielskich, trwoniących dochody z dóbr ziemskich na uczty i festyny. Dobra szlacheckie i gildowe są administrowane przez kosztownych, srogich dla ludu faktorów i agentów, obok których rozwielmożnia się téż bez przeszkody klasa lichwiarzy, liczna i chciwa. Z téj klasy wyrastają często bogacze, nabywający dobra zrujnowanéj szlachty, ażeby z ludem srożéj się jeszcze obchodzić od feudalnych panów.

I takiéj to szlachty, takich dorobkiewiczów potomkowie, biją dziś na alarm przed parlamentem angielskim i przed tumanioną Eu-

ropą, że uwłaszczenie chłopów, w prostéj linii od prawych właścicieli ziemi irlandzkiéj pochodzących, byłoby zamachem na własność i porządek społeczny! Oni, pokurcze plemienia konsfiskatorów, ważą się wyciągać nadużywane tylekrotnie straszydło socyalizmu, jakiém zawsze wojują ludzie ich gatunku, ile razy próbujemy królestwo szatana z ziemi eksmitować. Upiór ten spowszedniał! Oswoiliśmy się z nim, jak wróble z weretą na trześni! Geneza powstania wielkich posiadłości ziemskich w Irlandyi, doskonale w kronikach opisana, pozwala nam ocenić wartość argumentów, według których, żaden parlament lub rząd nie ma prawa mieszać się do administrowania własności, raz nabytéj, drogą rzekomo legalną.

Nie bez celu powtórzyliśmy w krótkości tę genezę. Przeczytawszy ją zastanów się czytelniku i powiedz, azali wielcy właściciele irlandzcy zasługują na sympatyą społeczeństw nowoczesnych. Ich przodkowie przeobrazili prześladowaniem religijném lud wesoły, dowcipny, dobroduszny i tolerujący różnowierców, na owych Irlandczyków zabobonnych, fanatycznych i brutalnych, których wszyscy inni ludzie unikają. Zabili kulturę narodową, nie zaszczepili innéj. Niesprawiedliwością zamącili w całym narodzie jasne pojęcie różnicy między złém i dobrém, uszanowanie własności, życia, trybunałów. Chłop wszelkiéj opieki pozbawiony i zrozpaczony znalazł jedyną broń przeciw bezprawiu w staréj sztrzelbie, którą z po za płota uśmiercał zdradziecko prześladowcę, a ogół Irlandczyków przyklaskiwał mordercy. Skrytobójstwo agraryjne stało się jednym ze zwyczajów irlandzkich. Cała wyspa była jako paszalik azyatycki, gdzie władzę nieograniczoną dzikiego wielkorządcy, tylko obawa zemsty krwawéj z ręki skrzywdzonéj jednostki ogranicza. Tak robili przodkowie. A czy synowie ich próbowali kiedy z własnéj inicyatywy naprawić zło przez tamtych wyrządzone? Przenigdy prawie! Przeciwnie, złorzeczą duchowi reform, uśmiechającemu się z Anglii do chłopa irlandzkiego...

III.

Niejeden czytelnik gotów nam zarzucić, żeśmy dotąd traktowali tylko zmienioną dzięki Bogu przeszłość Irlandyi, ale nie jéj teraźniejszość.

Tak, prawda, że obraz w poprzednim rozdziale zarysowany stracił w ostatnich latach wiele miejsc czarnych. Po trzydziestoletniéj agitacyi katolicy zyskali emancypacyą, a po dalszych 40 latach walki parlamentarnéj runęło drzewo kościoła anglikańskiego, co tak długo zaciemniało zmrokiem zabójczym powietrze zielonéj wyspy. Irlandya została też oswobodzoną z wszelkich szykan i ciężarów, tamu-

jących rozwój jéj handlu i przemysłu, a gdyby synowie jéj nie byli stracili zmysłu przedsiębierczości w długiéj niewoli poprzedniéj, to by mogli stworzyć liczne nowe źródła bogactwa narodowego. Oni wolą wszakże szukać chleba w angielskiéj służbie wojskowéj i biurowéj, garnąc się do niéj ze skwapliwością, zawojowanego narodu niegodną. Szerokość i bogactwo dzierżaw angielskich, otwiera im w tych zawodach pola niezmierzone i korzystne, o którychby nawet marzyć nie mogli, gdyby zamiast być integralną częścią olbrzymiego mocarstwa, Irlandya tworzyła samodzielne państewko. Gdziekolwiek sztandar angielski powiewa, bagnety irlandzkie go podpierają. Gdzie Anglik gnębi niższe rasy, używa do tego Konstabla i biurokratę irlandzkiego. Unia z Anglią przedstawia więc Irlandczykom niewątpliwe, materyalne korzyści (1). Cóż z tego, gdy z szeregu ohydnych instytucyj przeszłych jedna jeszcze się utrzymuje w Irlandyi, tak poczwarna i okrutna, że sama już wystarcza na unieszczęśliwienie tego kraju! Jest ona tak szkodliwą dla dobrobytu słabszego narodu, jak niebezpieczną dla całéj Wielkiéj Brytanii, bo Irlandczyk nigdy lojalnym poddanym angielskim zostać nie może i wiecznie agitować musi i zawsze będzie żywił zamiary zdrady i zemsty, na wypadek wojny między Anglią a inném mocarstwem, dopóki ta instytucya pasorzytna kwitnie. Jest nią t. zw. *System of Irisch Land Tenure*, czyli system dzierżenia ziemi irlandzkiéj.

Jest on spaczoną kopią systemu panującego w Anglii, który także kiedyś niezawodnie stanie się celem krytyki i reformy gruntownéj. dotąd jednak jest tolerowany, a nawet chwalony, z powodów rozmaitych. Najpierw, właściciele ziemi angielskiéj nie różnią się od swych dzierżawców pochodzeniem i wyznaniem i nie są pijawkami bez serca i rozumu, nakształt znacznéj części szlachty irlandzkiéj, ale ludźmi pojmującymi interes własny. Ich dobra są podzielone na wielkie folwarki, wypuszczane zamożnym gospodarzom, których chybienie jednego lub dwóch żniw do noszenia torby żebraczéj, śmierci głodowéj lub emigracyi do Ameryki nie zmusi, jak to bywa z drobnymi dzierżawcami irlandzkimi, jeśli się im raz kartofle nie

---

(1) Do bilansu zysku i straty wynikającéj dla Irlandyi z unii z Anglią wypada także wciągnąć poważne sumy, zarabiane tak przez 2 miliony Irlandczyków stale przybywających do bogatszéj wyspy, jakoteż przez tysiące wyrobników co rok ją odwiedzających dla zarobku, tudzież fortuny zbierane przez Irlandzkich wychodźców w koloniach angielskich. Znaczna część tego zarobku płynie do Irlandyi, w formie gotówki. Niektórzy autorowie dowodzą, iż dochód z tego źródła więcéj wynosi, niż ubytek spowodowany wysyłaniem do Anglii dochodów owych właścicieli ziemskich, którzy nie chcą mieszkać w swych dobrach irlandzkich. Ubolewania na ten „absenteism“ szlachty należą do ulubionych argumentów patryotów Erynu przeciw nienawidzonéj unii.

urodzą. Powtóre, proleteryat wiejski w Anglii znajduje w sąsiednich miastach fabrycznych łatwy sposób zarobkowania. Ciągnie też chętnie do kolonij dalekich, wyznając germańską zasadę *ibi bene, ubi patria*, a nie podzielając celtyckiego przywiązania do nędznéj strzechy rodzinnéj i do jałowego zagonu ojczystego. W końcu, mówiąc słowami *Times'a*, który raz tę kwestyą w obszérnym artykule wstępnym traktował, pospólstwo angielskie posiada w wysokim stopniu cnotę, do któréj napominał stokroć Carlyle, niemieckim wyrazem *Ehrfurcht* ją określając. Czci on, a nawet lubi możnych lordów, monopolistów, służąc chętnie u nich i ceniąc zwykłą w takiéj służbie obfitość, ponad niezależną nędzę, drogą niekarnemu potomkowi irlandzkich Celtów. Nie brak tedy podpór systemowi feudalnego dzierżenia ziemi w saméj Anglii. W Irlandyi brak ich zupełny.

System ten daje się opisać kilku zdaniami.

Irlandya, przypominająca kształtem czarę, gdyż jéj środek jest niski i płaski, a brzegi są górzyste i wysokie ze wszystkich stron (1), zawiera na swéj powierzchni około 20 milionów akrów (2), których $^2/_3$ są uprawiane, $^1/_3$ zaś do uprawy teraz się nie przydaje, składając się ze stoków kamienistych lub bagnistych torfowisk. Jednakże rzeczoznawcy twierdzą, że niemały obszar téj części mógłby się stać użytecznym po melioracyi niezbyt kosztownéj.

Ludność Irlandyi, wynosząca przed r. 1848 przeszło 8 milionów dusz, zmniejszyła się tak skutkiem klęsk rozmaitych jak bezprzykładnéj emigracyi do niespełna 5 milionów, nie jest więc tak gęstą na milę kwadratową, jak we Francyi, Włoszech, Niemczech, a nawet w Austryi. Zajmując kraj miernie urodzajny, powinnaby znaleść w nim wyżywienie obfite i lepsze od ziemniaków, któremi się karmi przeważnie!

Wprowadzenie téj rośliny na wyspę i zbytnie jéj rozpowszechnienie wolno by nazwać jeszcze jedną plagą, wniesioną z zagranicy do nieszczęśliwego kraju. Kartofle posiadają jak wiadomo tę wątpliwéj wartości zaletę, że ich uprawa pozwala wydobyć jak najwięcéj pożywienia z jak najmniejszym nakładem pracy i kapitału z kilku

(1) Obraz ten, dawno już przez nas użyty w opisie podróży po Irlandyi, spotykamy także w listach znanego autora i publicysty francuzkiego, pana M. G. Molinari, do *Journal des Debats*. Wymienione listy, pełne barwy i trafnych spostrzeżeń, ale pisane w duchu nieprzychylnym projektowanej reformie stosunków włościańskich w Irlandyi, przyczyniły się do zamącenia pojęć czytelników europejskich o naturze téj reformy, przedstawiając ją, jako ugodę z komunizmem.

(2) 1 *acre* = $^2/_5$ hektara. Mniéj więcéj $^2/_3$ morgi.

zagonów. Ograniczywszy wszystkie swe potrzeby do spożywania téj rośliny, chłop irlandzki nietylko zleniwiał, ale też znalazł sposobność dogodzenia swéj skłonności do żeniaczki w bardzo młodym wieku i do produkowania rodzin, których liczba stoi w odwrotnym stosunku do zamożności rodziców. Prawo Malthusa o szybkim wzroście ludności nigdzie się też nie sprawdziło tak dosłownie, jak w Irlandyi, przed straszną klęską głodową w r. 1847. Lud jéj mnożył się jak piasek nad morzem. Zawierała miliony proletaryatu wiejskiego, żyjącego na ziemi dzierżawionéj a nie posiadającego żadnych a żadnych zasobów, na wypadek chybionego żniwa. Pierwsza ogólna zaraza ziemniaków naraziła cały ten proletaryat na ostateczność głodu. Pamiętna ta klęska nie zmieniła niestety systemu rolnictwa, ulubionego drobnym dzierżawcom irlandzkim. Kartofle są zawsze głównym przedmiotem uprawy i pożywienia. Związki swe małżeńskie zawierają zawsze lekkomyślnie i bardzo młodo, a stadła ich słyną z obfitości w potomstwo. Jedyném polem zarobkowania dla dorastającego pokolenia jest rolnictwo. Ztąd znów pełno w niéj zawsze konkurentów o każdą *farme* (folwark) do wydzierżawienia. Z téj konkurencyi wypływa daléj, iż właściciele własności ziemskiéj są zupełnymi panami sytuacyi i mogą naznaczać takie czynsze jakie im się podoba. Chłop musi tam przyjąć warunki przez szlachcica stawiane, lub emigrować, albo zginąć. Jest on tak łatwym w przyjmowaniu obowiązków, którym nie będzie mógł podołać, i obiecywaniu czynszów, z których nie będzie mógł się uiszczać, jak wieśniak galicyjski w podpisywaniu umów, skazujących go na płacenie lichwy. Rozumne prawodawstwo powinno go bronić od skutków własnéj lekkomyślności.

Właściciele wielkich posiadłości w Irlandyi są i z tego powodu potężni, że ich liczba jest bardzo małą, w stosunku do powierzchni wyspy, podzielonéj między 19.000 indywiduów, których znaczna część tyle posiada gruntu, ile domy ich lub folwarki okrywają. W saméj rzeczy, cała prawie przestrzeń Irlandyi zdolnéj do uprawy należy do kilkutysięcy osób. W téj liczbie ogólnéj znajduje się:

452	osób posiadających	więcéj	niż	po	5.000	akrów
135	„ „	„	„	„	10.000	„
90	„ „	„	„	„	20.000	„
14	„ „	„	„	„	50.000	„
3	osoby posiadające	„	„	„	100.000	„
1	osoba posiadająca	„	„	„	150.000	„

Daléj:

292	osób posiada	⅓ część	całéj	wyspy
744	„ „	połowę	„	„
1.942	„ „	⅔ części	„	„

Pod tą szczupłą liczbą panów żyje 585.000 familij włościańskich, czyli około 3 miliony dusz, których jedynym środkiem utrzymania jest uprawa większych i mniejszych *farm* na jakie dziedzice irlandzcy swoje dobra podzielili. Z powyższéj tabliczki wynika, że 400.000 familji chłopskich, należy duszą i ciałem do 2.000 wielkich właścicieli, posiadających dwie trzecie Irlandyi. Daléj około 400.000 włościan składa klasę t. z. drobnych *farmerów* (dzierżawców), t. j. ludzi bez żadnego prawie kapitału, a uprawiających małe gospodarstwa, których czynsz roczny 15 funt. st. w najlepszym razie nie wynosi. Gospodarstwa takie składają się z chaty i kilku, a najwyżéj kilkunastu morgów i są wypuszczane chłopom bez kontraktów długoletnich, z roku na rok. Jeśliby się panu spodobało swych chłopów się pozbyć, a ich zagony na park lub pastwisko zmienić (rzecz często się zdarzająca), to cała gromada nędzarzy musi na skinienie tegoż pana ruszyć z pod ciepłych strzech w świat zimny, niemiłosierny.

Około 100.000 takich rodzin nędznych i niepewnych jutra mieszka w chałupach bez kominów, o jednéj izbie tylko, podobniejszych do chlewów, niż do siedzib ludzkich. Przekonaliśmy się w podróży po Irlandyi, że podobnych szałasów nie ma zresztą w całéj Europie, nie wykluczając Rusi i Rumunii.

Z wyjątkiem prowincyi Ulster, gdzie prawo zwyczajowe, *Tenant Right*, broni włościanina od kaprysów pańskich, chłopstwo całéj Irlandyi znajduje się w takiem położeniu, że w latach urodzajnych posiada mierne utrzymanie i pewną obfitość ulubionéj mu *whisky* (wódki jęczmiennéj), a po pierwszym nieurodzaju nie stać go nietylko na czynsz dla panów, ale nawet na wyżywienie własnéj rodziny. Panowie nie wahają się w takich razach wypędzać nędzarzy zajmujących legowiska, chatami zwane, na drogi publiczne. Proceder ten „ewikcyą" w Irlandyi nazywany, odbywa się za pomocą drabów (*crowbar brigade*) uzbrojonych w żelazne narzędzia i przysłanych z urzędu. Takto opiekuje się Anglia nad świętemi przywilejami własności. Znana Liga włościańska, zorganizowana podczas klęski głodowéj w przeszłym roku, miała na celu zorganizować włościan przeciw eksmisyom. Cel ten nazwano buntem. Ówczesny projekt Gladstona, odbierający właścicielom prawo eksmitowania, niepunktualnych z powodu ubóstwa, czynszowników do końca klęski głodowéj, by ochronić kraj od widoku scen, jakieby się powtarzały przy wypędzaniu niezliczonych nędzarzy, projekt ten ludzki, został odrzucony przez zgromadzenie monopolistów, izbę lordów. Spotykaliśmy bezwstydne korespondencye, opisujące tak działalność Ligi jak projekt Gladstone'a w świetle zamachów na „prawa własności."

pomysłów stronnictwa „kollektywizmu i komunizmu“ (1). Warto więc posłuchać, jak czcigodny biskup dyecezyi Meath przedstawia naocznie widzianą scenę eksmisyi irlandzkiéj.

— Była to „ewikcya“ okrutna, nieludzka—pisze—a każde jéj wspomnienie zakrwiawa nasze serce. Siedmset istot ludzkich wypędzili w przeciągu dnia w świat, dla dogodzenia kaprysowi jednego indywiduum, którego zasługi przed Bogiem i ludźmi były mniejsze niż najpokorniejszego z eksmitowanych! I pamiętacie, że od tych dzierżawców, prócz jednego, nie należało się z czynszu, ani szylinga. Brygada siepaczy uzbrojonych w drągi żelazne do burzenia domów pracowała z ochotą od świtu do zmroku nad dziełem spustoszenia i ruiny. W końcu wydarzył się wypadek, przerywający monotonność téj dzikiéj pracy. Wykonawcy woli dziedzica stanęli przed dwiema chatami, w których grasował tyfus śmierć siejący. Mieszkańcy zaklinali ich, aby im pozwolili jeszcze jakiś czas się nie ruszać, ale rządca dowodzący eksmitorami był nieubłagany i domy te rozwalić kazał. Poleciwszy rozpiąć szerokie werety po nad łóżkami chorych, leżących na szczęście w bezprzytomnéj gorączce, polecił potém rozbierać chaty uważnie i powoli...

Podajmy jeszcze jeden rys, charakteryzujący panów irlandzkich. W téj chwili właśnie, gdy ich napełnia obawa, że przyjęcie billu Gladstona pozbawi ich na zawsze rozrywki eksmitowania, wielu z nich wypędza bez litości wszystkich swych czynszowników, żeby nie mieć dzierżawców na swych gruntach w dniu wejścia prawa Gladstona w wykonanie, a potém gospodarować na własną rękę, na ziemi fortelem ocalonéj od sprawiedliwego czynszu i stałéj dzierżawy.

W przeciągu ostatnich lat 30 odbyło się z ich wiedzą i rozkazem przeszło 350.000 eksmisyj, obfitujących w bolesne sceny, z których jedną biskup sędziwy opisał.

Z liczb przytoczonych powyżéj przekonać się można, że podział ziemi praktykowany w Irlandyi jest anomalią w świecie ucywilizowanym. Brak tam zupełny klasy średnich właścicieli; są tylko magnaci i proletaryat bez żadnéj własności nieruchoméj. Dobra magnatów nie mogą być parcelowane i sprzedawane częściowo teraźniejszym dzierżawcom, będąc związane fidei-komisami, przechodząc dziedzictwem z ojców na najstarszych synów tylko i będąc także zwykle obciążone przeróżnemi paktami, umowami i hipotekami familijnemi, pretensyami wdów i młodszego rodzeństwa, tudzież dłu-

---

(1) Patrz: *L'Irlande, Lettres adressées au Journal des Débats par M. G. de Molinari* str. 2.

gami wszelkiego rodzaju. Wszystko to utrudnia ich sprzedaż częściową lub w całości. Procedura angielska przy zawieraniu kontraktów sprzedaży i przenoszeniu własności ziemskiéj z rąk do rąk, jako wymyślona przez jurystów i zupełnie z pojęciami naszéj epoki niezgodna, również stawia tamę w nabywaniu własności nieruchoméj. Każdy taki akt tworzy całą powódź mętnéj wody, w któréj adwokaci tłuste ryby wyławiają. Nie probujemy motywować naszego twierdzenia cytowaniem praw angielskich, ze średniowiecznych czasów zachowanych, regulujących przywileje i obowiązki właścicieli wielkich posiadłości. Brak nam miejsca na traktowanie téj ciekawéj strony ustaw angielskich—téj zakały angielskich statutów. Nadmienimy tylko, że skutkiem ich niedorzeczności, niejeden dziedzic dzierży swój majątek w Anglii lub w Iralndyi prawem posiadania, ale dla braku dokumentów i ksiąg hipotecznych nie byłby w stanie swego tytułu posiadania udowodnić, a tém mniéj majątku sprzedać. Bez gruntownéj zmiany tych dziwnych praw włościanie irlandzcy nie mogliby przyjść do własności drogą wykupu, za zgodą teraźniejszych właścicieli.

Ile razy jednak trafiła się im rzadka i radośna sposobność nabycia ziemi na wieczyste posiadanie, korzystali z niéj skwapliwie. I tak, gdy część dóbr zniesionego kościoła państwowego została rozparcelowana i sprzedawana na wypłaty ratami, 5,623 dzierżawców stało się w kilku latach właścicielami *farm* swoich, płacąc za nie ceny wygórowane. Ci ludzie nietylko się z rat swych uiszczają rządowi z chwalebną punktualnością, ale zjednali sobie nadto pochwały urzędowe za pilność i wytrwałość, okazywaną w ulepszeniu nabytych gruntów. Świetny ten eksperyment odkrył w włościanach irlandzkich cnoty nieznane, tylko światła i opieki potrzebujące, ażeby zakwitnąć. Niestety, nie może on być powtórzonym na rozmiar większy w dobrach prywatnych!

Inny jeszcze zwyczaj właścicieli dóbr irlandzkich zasługuje na opis szczegółowy. Upraszamy téż myślących czytelników usilnie, żeby się nad nim dłużéj zastanowili, gdyż w nim tkwi jądro całego sporu agraryjnego i społecznego, między dzierżawcami i dziedzicami. Kto go nie zna, ten nie słyszał o najwymowniejszym argumencie chłopa irlandzkiego, przeciw wypędzaniu go z pod strzechy *własnéj* za niepunktualne płacenie czynszu. Kto o nim zapomina, ten nie pojmie rzetelnego usprawiedliwienia i celu ważnéj reformy, wniesionéj przez Gladstona, przed parlament angielski, w roku bieżącym.

Podczas gdy we wszystkich innych krajach właściciele ziemscy ponoszą na swych folwarkach, w całości lub części, koszt stawia-

nia domów mieszkalnych, budynków gospodarczych, mostów, płotów itp., panowie irlandzcy przeciwnego systemu się trzymają i zrzucają cały ten ciężar na dzierżawców. Dostawszy nagi, jałowy, kamieniami zawalony lub bagnisty kawał pola, bez chaty, obory, stajni, spichrza, płota, rowu lub dreny, chłop irlandzki musi się na nim zabudować i zagospodarować, a wszelkie ulepszenia robić własną pracą i nakładem. Jeśliby zaś po doskonałém urządzeniu farmy, podobało się pstréj łasce pańskiéj pod jakimkolwiek pozorem kontrakt dzierżawy zerwać i chłopa na trakt publiczny albo do Ameryki wypędzić, to wszystkie melioracye dokonane, stałyby się własnością pana. Do r. 1870, w którym *bill* Gladstona o wynagrodzeniu za pozostawione na gruncie ulepszenia stał się prawem, panowie przywłaszczali je sobie bez najmniejszego skrupułu i wynagrodzenia, a jedyną satysfakcyą skrzywdzonych bywał strzał zdradziecki z poza płota.

Prawo wymienione, znane jako *Land-Act*, o tyle zmieniło ten stosunek haniebny, iż zmusza właścicieli do płacenia wywłaszczonym dzierżawcom pełną wartość remanentów, na gruncie pozostających, jakoto budynków, płotów, dren, a nawet gipsu i gnoju, na pole wywiezionego. *Land-Act* chroma jednak w wielu punktach i niewypełnia należycie myśli, która jego twórcom przyświecała. Jest on raczéj opiatem na ból chwilowy, niż lekarstwem na chorobę chroniczną i posiada wszystkie znamiona pierwszéj, nieśmiałéj próby, na drodze ważnéj, pokojowéj rewolucyi. Głównym zaś jego słabości powodem są poprawki dodane przez izbę lordów, zgromadzenie z monopolistów ziemskich złożone, a sympatyzujące z podobnąż kastą irlandzką, któréj przywileje i nadużycia *Land-Act* miał przykrócić.

Główną i najszkodliwszą z poprawek tego rodzaju był paragraf, pozbawiający, chłopów wywłaszczonych za niepunktualne płacenie czynszów, prawa do rzeczonego wynagrodzenia. Ta więc najuboższa część dzierżawców, których jeden rok nieurodzajny w takim stawia położeniu, że nietylko nie stać ich na czynsze i podatki, ale brak im ziemniaków i soli dla dzieci, tacy nędzarze zostali bez opieki i jakiejkolwiek indeminazacyi za liche chaty, zbudowane własnemi rękami, które zwykli swą własnością nazywać. „Pole pańskie, strzecha moja!“ powiadają. Co gorzéj, tenże paragraf jest zachętą dla okrutnych i chciwych właścicieli do starania się o to, żeby chłopi czynszów punktualnie nie płacili, tudzież do wypędzania ich za najlżejsze wykroczenie przeciw słowom cyrografu, zwanego kontraktem dzierżawnym, podyktowanym przez pana biernemu, wzdychającemu wieśniakowi. Wszakżeż właściciel dostaje nagrodę za każdą eksmi-

syą niesprawiedliwą, w kształcie wszystkich remanentów nieruchomych, znajdujących się na farmie!

I czyż wolno przykładać do stosunku powyżéj opisanego miarę taką, jaką oceniamy umowy między np. polskimi właścicielami dóbr i posesorami? Czyż wolno przyrównywać kontrakty między proletaryatem wiejskim w Irlandyi i magnatami, do kontraktów, jakie zawierają kapitaliści dzierżawcy angielscy z swoimi lordami? Czy słyszał kto w jakim kraju, choćby w Anglii, żeby właściciel zmuszał czynszowników do budowania chat i śpichrzów, a potém im odbierał te zabudowania w czasie ogólnego nieurodzaju? Czy istnieje w Irlandyi obopólna swoboda i niezawisłość przy układaniu kontraktów, bez któréj umowa jest nieważną, nietylko w obliczu sumienia i honoru, ale nawet wobec pisanego prawa? Utrzymujemy tedy wbrew panom irlandzkim i konserwatystom w parlamencie angielskim, wbrew doktrynerom-ekonomistom społecznym na całym świecie, posuwającym miłość zasady *laisser faire* do ostateczności, iż każda ustawa, zmierzająca do nadania chłopu irlandzkiemu własności chaty, która jest dziełem jego rąk i zagonów, które zdobył na pustyni, nie jest zamachem na własność i porządek społeczny, ani téż ustępstwem komunizmowi zrobioném. Na téj szerokiéj, zielonéj wyspie widzimy tylko komunistów w jednéj warstwie ludności—pomiędzy jéj wielkimi właścicielami!...

Jeszcze jedna anomalia irlandzka zasługuje na wzmiankę. Trzecia część „zielonéj wyspy“ leży bez uprawy, na pastwiska dla kóz i osłów lub do eksploatowania torfu służąc. Można by ją obrócić na użytek rolnika umiejętnemi środkami melioracyjnemi. Chłopi irlandzcy, tak chciwi posiadać własną zagrodę i zagon, brali się chętnie do takiéj pracy, a znaczna część gruntów w ich posiadaniu powstała z pustyń, których ulepszenie kosztowało nieraz 20—30 funt. st. od akra, tj. więcéj od teraźniejszéj wartości tejże przestrzeni. Przy téj walce z przyrodą i glebą niewdzięczną rozwijali ciż chłopi zadziwiającą pilność i wytrwałość. Stało się jednak, że chciwość i głupota nominalnych panów owych pustych przestrzeni, zniechęciła ich do podejmowania opisanych ulepszeń, bo niech jeno szara chata się wzniesie z kamienia zebranego ze stoku pagórka i stok ten zmieni się w zieleniejący zagon kartofli, a bagno uśmiechnie się złotem żniwem, zaraz się zjawi na nich czarna postać pańskiego faktora i poborcy, wołając czynszu, wiele czynszu, funta lub 30 szylingów za każdy *acre*, co niedawno szylinga dochodu nie przynosił! Czyżby spotkał się kto z drugim takim dowodem chciwości i podłości ludzkiéj? Tym panom irlandzkim nietylko dobrobyt chłopa i ojczyzny ale własny interes zdaje się rzeczą obojętną.

Jeżeli lud zielonéj wyspy stracił ochotę do pracy, nauczył się nienawidzić wyższe stany, zadaje gwałt własnéj naturze i mimo wrodzonego wstrętu do szukania chleba pod obcem niebem, emigruje z ojczyzny milionami, jeżeli zbrodnie agraryjne powtarzają się w Irlandyi w przerażającéj obfitości, dobrobyt jéj upadł a rolnictwo stoi poniżéj wszelkiéj krytyki; to cała wina takich stosunków tkwi w systemie, zwanym: *The system of land tenure in Ireland.*

IV.

Lekarstwa, proponowane przez zorganizowanych w znaną „Ligę włościańską“ czynszowników irlandzkich, na zło im dolegające, streszczają się w trzech postulatach, zwanych „Trzy F.“ przez lubiących symbolizować długi szereg pojęć krótkiemi formułkami Anglików. Ich tytuły zaczynają się bowiem przypadkiem od litery F. Wymienimy je:

Fair Rent—czynsz sprawiedliwy, którыby pozwalał dzierżawcy zatrzymywać sobie część owoców swéj pracy na przyzwoite utrzymanie wystarczającą. „Nie będziesz nakładał kagańca wołowi, wymłacającemu deptaniem twoje zboże“ powiada prawo mojżeszowe. „Nie głodź ludzi uprawiających twoję rolę“ woła do właściciela Liga włościańska.

Fixity of Tenure—stałość dzierżawy, tj. żeby punktualny i przyzwoity czynszownik nigdy nie mógł być eksmitowany z roli i chaty zajmowanéj przezeń, pod jakimkolwiek pretekstem.

Free Sale—prawo swobodnego odstępowania dzierżawy innéj osobie, bez zezwolenia właściciela gruntu, jeśli interes pierwotnego dzierżawcy to nakazuje.

Tyle żąda włościanin irlandzki i nic więcéj. Jego „Trzy F.“ zdają się nam umiarkowanemi postulatami, w porównaniu z forsownén, kompletném, niekiedy bez indeminazacyi właścicieli wykonaném uwłaszczeniem włościan w państwach kontynentalnych. Znając głębokie uszanowanie prawodawców angielskich dla *Vested rights*—aktualnych praw własności, jakąkolwiek drogą nabytéj—nie odważa się on nawet marzyć o nieograniczoném uwłaszczeniu, ale ofiarowuje „czynsz sprawiedliwy“ i błaga tylko o możliwość bytu we własnym kraju, ubezpieczenie od eksmisyi samowolnéj, często kaprysem wielkiego pana spowodowanéj, a w razie takiéj eksmisyi wynagrodzenia za melioracye na gruncie pańskim jego pracą i zachodem wykonane. Pomimo jego umiarkowania są osoby, upatrujące w trzech tych postulatach doktryny socyalistyczne, a przewódca i rzecznik Torysów angielskich w izbie niższéj, Sir Strafford Northcote, paro-

dyując „Trzy F." nazwał je symbolami oszustwa, gwałtu i głupoty— *Fraud*, *Force and Folly*. Nawet między rzekomo liberalnymi zwolennikami popularnéj w naszych czasach szkoły ekonomistów *laisser faire* spotykają postulaty Ligi surowych krytyków. Potępiając we wniesionym przez Gladstona billu wszystkie zasady, z „Trzech F." przyjęte, pisze wymowny książę Argyll: „Jakto, próbujecie stworzyć trybunał z atrybutem wtrącania się w umowy prywatne? Chcecie ograniczyć swobodę jednéj strony, właściciela, w układaniu kontraktów? Zkąd prawo wasze do skrócania jego niezawisłości? Postanowiliście zredukować go do roli *roi fainéant*, pobierającego czynsze od dzierżawców, ale pozbawionego wszelkiéj kontroli tak nad nimi, jak nad swą własnością? Odebrać mu „sentyment" dumy, z posiadania własności wynikającéj i zamiłowanie w upiększaniu i ulepszaniu własności, któréj jest panem nieograniczonym—sentyment czczym przez was nazywany, ale nie czczy w gruncie rzeczy, bo dzięki temu sentymentowi niezliczeni właściciele podnosili stan dóbr Wielkiéj Brytanii do stanu teraźniejszego, póki dwóch wysp w podobiznę ogrodu jednego nie zmienili. Przepowiadam wam, iż prawa tchnące duchem „Trzech F," zrujnują własność ziemską, odstraszą od niéj kapitalistów, staną się nieznośnemi więzami dla tych samych dzierżawców zaślepionych, których uwłaszczacie, skoro *mutatis mutandis*, zostawszy panami ziemi, ludzie ci ujrzą się zawisłymi od samowoli swoich przyszłych dzierżawców (1)."

Troskliwość autorów posługujących się takiemi argumentami o „niezawisłość" wielkich właścicieli przy zawieraniu umów, wygląda naszém zdaniem tém dziwniéj, że nigdy nie okazywali podobnéj staranności o los irlandzkiego czynszownika. Wolno by ich się spytać, czy istniała kiedy rzetelna swoboda obopólna w stosunkach tamtejszych włościan i panów? Czy przeciwnie, chłopi nie znajdowali się w pozycyi jeńców, podpisujących mechanicznie warunki dyktowane? I daléj czy każdy kodeks, nawet angielski, nie pozwala trybunałom wtrącać się w umowy między takiemi stronami, z których jedna jest jawnie wszechpotężną, a druga bezsilną? O nieograniczonéj swobodzie może być tylko mowa tam, gdzie się równi z równymi układają. Mająż taką swobodę włościanie markiza Lansdowne, właściciela dość nowéj mitry, „Kuchcikiewicza" co odziedziczył 120,616 akrów po lekarzu wojskowym Perry, który do nich przyszedł nienajprostszą drogą? Chłopi tego margrabiego muszą

---

(1) Argumenta wyjęte ze zręcznéj filipki ks. Argylla przeciw Billowi Gladstona, zawartéj w zeszycie *Nineteenth Century* z Kwietnia r. 1881.

kupować gips na koniczynę i kartoflisko u jaśnie oświeconego pana, który za wyrządzoną im łaskę dwa razy więcéj od ceny targowéj płacić sobie każe. Tymże chłopom dają fałszywe, o rok wstecz datowane kwity za czynsze płacone, ażeby p. margrabia mógł w każdéj chwili na bruk ich wyrzucić, pod pozorem, że z czynszami zalegają. Cóżby się stało z 10.000 rodzinami dzierżawców p. margrabiego, jeśliby okazali cień niezawisłości przy układaniu kontraktów? Czyż znalazłby się jeden właściciel dóbr w Irlandyi, któryby ich przyjął, gdyby markiz ich wypędził? Natomiast skutkiem żywéj konkurencyi o dzierżawy, farmy markiza znalazłyby zaraz amatorów bez miary i liczby. Czyż może być mowa o „niezawisłości“ w kraju, gdzie podobne stosunki wszędzie się powtarzają? Czy wybierając z dwojga złego nie lepiéj przykrócić niezawisłość strony ze wszech miar silniejszéj, a postawić stronę, której bezsilność budzi politowanie w każdem sercu uczciwém, w pozycyi niezawisłéj, jak skutkiem ślepego doktrynerstwa pozwalać na uwiecznienie opisanego stosunku?

Wiele innych zarzutów spotkało tak doktryny „Trzech F.“ jako też część billu, wniesionego przez Gladstona celem uregulowania stosunków włościańskich w Irlandyi, w któréj te doktryny w formie zmodyfikowanéj się znajdują. Pytają, kto będzie oznaczał wysokość „sprawiedliwego czynszu“ w razie nieporozumienia między właścicielem i czynszownikiem, tudzież, jaką miarą systematyczną ma on być obliczany? Odpowiedź na to pytanie zawiera ów bill, jak wykażemy późniéj. Kto będzie taksował wartość zostawionych na gruncie remanentów, za które właściciel musi płacić? I na to daje bill odpowiedź łatwą. Trudniéj odeprzeć zarzut, iż zasada *Free Sale* (swobodnéj sprzedaży dzierżawy) czyni czynszownika niejako współwłaścicielem gruntu i tworzy dwóch panów na jednym kawałku ziemi. Wymowny lord Dufferin opisał ten stosunek obrazowo, jako „włożenie dwóch wspólników do jednego łóżka.“ Czy nie powstanie skutkiem tego systemu klasa pośredników, która się będzie trudniła wydzierżawianiem folwarków z pierwszéj ręki i odprzedawaniem ich uboższym czynszownikom z zyskiem dla siebie, rozwijając przy tych transakcyach chytrość i chciwość, okazywaną często przez ubogich Irlandczyków w interesach pomiędzy sobą? Takie i tym podobne pytania nasuwają się mimowolnie. Doktryna *Free Sale* jest niezaprzeczenie achillesową piętą projektowanéj reformy, a nawet tak biegli znawcy stosunków irlandzkich i pełni zapału obrońcy ludu irlandzkiego, jak Murrough O' Brien w Fortnightly Review, nie są w stanie obronić jéj przeciw wszystkim zarzutom.

„Kładziecie dwie osoby do jednego łóżka“—wołał lord Dufferin. Będzie to bez wątpienia współka w łóżku ciasném, niewygodna

dla obu stron. Ich spokój i komfort dałby się lepiéj zapewnić, gdyby się jedna z nich zaraz ustąpiła, a komuż się łatwiéj ustąpić z indemnizacyą w kieszeni jak właścicielowi? Takie rozwiązanie kwestyi włościańskiéj w Irlandyi nasuwa się każdemu głębszemu myślicielowi kontynentalnemu, a wypróbowana już punktualność chłopa tamtejszego w uiszczaniu się z rat indemnizacyjnych daje rękojmię, iż rząd nie poniósłby szkody przy téj transakcyi. Postulaty zwane Trzy F. są właśnie, skutkiem swéj nieśmiałości, najeżone szkopułami, o które się rozbijać będą barki niejednéj rodziny włościańskiéj. Niestety, w obec teraźniejszego usposobienia niedojrzałéj opinii angielskiéj, nie wolno się posunąć Irlandczykom o włos po za te postulaty.

Rozważmy bowiem, że liberalna większość parlamentu i narodu angielskiego rozpada się na dwa wielkie obozy—Whigów i radykalny. Pierwszy z nich, bawiąc się od wieków w wodnisty liberalizm, jest związany interesem i sympatyą z monopolistami ziemi w Irlandyi i ogląda podejrzliwém okiem każdą propozycyą, zmierzającą do ograniczenia swywoli wielkich właścicieli ziemskich. Idea bezwarunkowego uwłaszczenia włościan na wzór kontynentalny, gwałcąca fundamentalne zasady ekonomii społecznéj, whigowskiéj, mogłaby zapuściwszy korzeń w gruncie irlandzkim przenieść się jak epidemia zaraźliwa do Anglii, a w cóżby się wtedy majątki ziemskie Whigów obróciły? Słowem, ludzie ci lękają się jéj do tego stopnia, że się chwieją w lojalności dla wodza całéj partyi liberalnéj, Gladstona, od kiedy przyjął w swoim billu doktrynę częściowego uwłaszczenia. Ich przewódca w izbie lordów, świekr jednéj z królewien, wielki magnat szkocki, sławny mówca i autor ks. Argyll, nietylko złożył tekę, piastowaną w radzie ministrów gladstonowskich, na znak swego niezadowolenia z „komunistycznego billu,“ ale w wymownéj filipice w jednym z popularnych miesięczników skruszył kopię z jego twórcą. Widzi on już w łagodnym „billu,“ zamach na fundamentalne zasady własności, a cóżby dopiero powiedział o zupełném uwłaszczeniu? Nie ulega téż wątpliwości, że Whigowie zbuntowaliby się przeciw ministrom proponującym ostatni z wymienionych sposób uregulowania kwestyi włościańskiéj i zostawiliby ich w mniejszości tak w parlamencie, jak w narodzie. Ztąd wypływa, że pp. Gladstone, Bright, Chamberlain, Dilke i t. d. nie są w stanie ofiarować Irlandczykom nic więcéj, jak „bill.“ Inaczéj ich ministeryum-by upadło, a Irlandczycy nie dostaliby nawet „zadatku uwłaszczenia.“

Według powyżéj wyjaśnionéj genezy billu Gladstona, jest on tedy kompromisem między Whigami, którzyby chcieli dać Irlandyi jak najmniéj, a radykalnymi, którzy wszystkie pretensye Irlandczy-

ków znajdują racyonalnemi. Ponieważ zaś każdy kompromis musi zawierać punkta nie we wszystkiém z wymaganiami surowéj logiki zgodne, więc téż i „bill“ nie jest kompletnie logicznym. Niejedna reforma angielska podziela z nim ten przymiot, a przecież się okazała praktyczną. Spodziewamy się téż, że i „bill“ wytrzyma ogniową próbę wcielenia go w czynne ustawy krajowe.

V.

Nie wątpimy, że wszyscy zwolennicy postępu opartego na sprawiedliwości interesujący się sprawami irlandzkiemi podzielali satysfakcyą, wysłowioną przez p. Gladstona w dniu przedstawienia parlamentowi projektu zwanego *The new Irish Land Bill* (nowa ustawa włościańska dla Irlandyi). „Cieszy mnie—rzekł on—że od dzieła poskramiania Irlandyi, którém zajmowaliśmy się przez ostatnie trzy miesiące, przechodzimy do pracy prawodawczéj, o któréj żywimy nadzieję, iż przyszłość przyzna jéj co najmniéj charakter poprawy i reformy.“ Szkoda, wielka szkoda, iż tenże minister wcześniéj się do téj pracy nie wziął i jeszcze w r. 1870 z promotorami reform tego rodzaju polemizował, tyle przytém wymowy i logiki rozwijając, że dzisiejsi oponenci reformy włościańskiéj, znajdują niewyczerpany arsenał argumentów w ówczesnych mowach wielkiego sofisty, będącego pierwszym ministrem jéj królewskiéj mości. Trudno obliczyć korzyści, jakieby były wypłynęły z wniesienia takiego billu choć o rok wcześniéj, zanim próbowano uśmierzyć agitacyą irlandzką, zawieszeniem aktu *Habeas Corpus*, aresztowaniami i t. p. środkami, o których Cavour powiedział, że każdy cymbał potrafi rządzić z ich pomocą. Wypada wszakże wybaczyć tę zwłokę tak z powodu oporu Whigów i sporów w łonie rady ministrów, o których nadmieniliśmy, jak téż ze względu na zawiły i pełen trudności charakter kwestyi, o któréj Gladstone rzekł, iż była najtrudniejszą zagadką do rozwiązania, jaką spotkał w długiem życiu publiczném.

Bill jego jest niewątpliwie gruntowną reformą społeczną, nie zaś próbą wskrzeszenia i sztukowania chybionego *Land Act'u* z roku 1870. Jest on daléj częściowém przyjęciem zasad zwanych „Trzy F.“ Uznanie nietykalności dzierżawcy tworzy jego podstawę. Rozpada się na dwie główne części. Pierwsza z nich dotyczy wolnéj sprzedaży lub oddzierżawiania praw dzierżawcy i powiada wyraźnie że: *tenant* (dzierżawca) każdego kawałka gruntu (*tenancy*) podchodzącego pod niniejszą ustawę, może na czas swego kontraktu sprzedać swą dzierżawę (*tenancy*) za jak można najlepszą, ofiarowaną mu cenę.“

To prawo sprzedaży jest wszakże ograniczone kilkoma zastrzeżeniami. Mianowicie: 1) *Tenant* może sprzedać prawo swe w całości tylko jednéj osobie bez zezwolenia właściciela; 2) *Tenant* musi uwiadomić właściciela o zamiarze sprzedania dzierżawy, a ten ostatni posiada prawo pierwszeństwa spłacić swego dzierżawcę za cenę ofiarowaną przez stronę trzecią. 3) Właściciel posiada też naturalne prawo wniesienia swego *veto* przeciw każdemu aspirantowi o nabycie dzierżawy, którego charakter i stanowisko pieniężne wydaje się mu wątpliwéj wartości, a trybunał, o którym będzie mowa, rozstrzygnie, azali jego zarzut zasługuje na uwzględnienie. 4) Zaległe czynsze tudzież należytości przypadające właścicielowi za melioracye jego kosztem uskutecznione, muszą być najpierw i zaraz potrącone z ceny, zapłaconéj ustępującemu dzierżawcy przez nabywcę.

Druga część *billu* ustanawia włościańskie trybunały, zwane *Land Courts*, których zadaniem będzie określać, na wypadek sporu między właścicielem i dzierżawcą, wysokość „sprawiedliwego czynszu.“ Te trybunały powstaną z sądów powiatowych, uposażonych nowemi atrybucyami, a więc będą istniały w każdym powiecie. Od ich wyroków wolno apelować do „Komisyi Ziemskiéj,“ złożonéj z trzech dygnitarzy, z których jeden przynajmniéj był lub jest sędzią najwyższego trybunału w Irlandyi. Każdy dzierżawca ma prawo udawać się do rzeczonego trybunału w swoim powiecie z prośbą, ażeby raczył orzec, jaki czynsz roczny należy się „sprawiedliwie“ właścicielowi. Otrzymawszy decyzyą sądową, może przez następujących lat 15 trzymać folwark w posiadaniu, po cenie oznaczonéj wyrokiem, a właścicielowi nie przysługuje prawo udawania się do trybunału o podwyższenie czynszu przed końcem 15-letniego terminu. „Czynsz sprawiedliwy“ nie powinien być większym od sumy, jaką by ofiarował człowiek niezawisły i odpowiedzialny za tenże folwark w roku przeciętnym. Czynszownik niepunktualny, lub opierający się właścicielowi w spełnianiu jego funkcyj naturalnych, jakoto dobywaniu kamieni i minerałów z pod ziemi, lub drenowaniu pola i t. d., tudzież dzierżawcy odnajmujący folwark osobom trzecim w całości lub częściowo bez wiedzy właściciela, mogą być wyrugowani przez trybunał z dzierżawy. Po upływie 15-letniego terminu dzierżawca może i nadal pozostać w posiadaniu folwarku, za opłatą „sprawiedliwego czynszu,“ chyba, że się podoba właścicielowi wykupić go, zwracając mu wartość remanentów i ulepszeń, przezeń zostawionych. Ztąd wypływa, że tylko raz w lat 15 trafi się właścicielowi sposobność zwana w ustawie „resumpcyą,“ czyli szansą odebrania folwarku na własność nieograniczoną. Stałość dzierżawy 15-letnia ofiarowana billem nie jest więc zupełném zadowoleniem postulatu Ligi, wymaga-

jącego wieczystéj stałości dzierżawy p. t. *Fixity of Tenure.* Bill powiada daléj, że właściciel będzie także miał prawo eksmitować czynszownika, jeżeli trybunał—ewentualnie Komisya najwyższa—uzna, że krok tego rodzaju jest koniecznym warunkiem poprawy gospodarstwa, lub téż losu zagrodników i parobków folwarcznych. Stając w obronie sług tyranizowanych zwykle przez włościan, twórca billu okazał się bardziéj humanitarnym od autorów „Trzech F." którzy tylko losem członków Ligi włościańskiéj i wyborców zajęli się.

Widzieliśmy powyżéj, że „bill" jest zmodyfikowaną i obciętą kopią „Trzech F." Znaleźliśmy w nim czynsz sprawiedliwy i swobodę sprzedaży. Wymyślił nadto trybunały opiekuńcze dla włościan. Zabrania wszakże tym sądom wtrącać się z własnej ochoty i wścibskości w stosunki między czynszownikami i właścicielami, póki jedna ze stron takiéj interwencyi wyraźnie nie zażąda. Wszakże czynszownicy, którzyby z obawy zemsty pańskiej lub z innych pobudek nie śmieli się zgłaszać do sądów włościańskich z zażaleniami, nie pozostaną bez pewnéj opieki, albowiem „bill" zakazuje stanowczo czynsz podwyższać przed upływem okresu 15-letniego pod jakimkolwiek pretekstem. Włościanin niepokojony żądaniem tego rodzaju będzie miał trzy drogi otwarte: 1) Poddać się téj pretensyi i na dalszych 15 lat dzierżawić folwark pod nowemi warunkami, 2) Apelować do trybunału i dzierżawić folwark lat dalszych 15 za „czynsz sprawiedliwy," w sądzie oznaczony; 3) Opuścić folwark. W takim razie wolno mu żądać oprócz wartości zostawionych ulepszeń także wynagrodzenia straty, poniesionéj skutkiem przenosin. Bill reguluje wysokość téj sumy. Od folwarku oczynszowanego rocznie mniéj niż 30 funt. st., dostanie ustępujący dzierżawca sumę równą siedmioletniemu czynszowi; od mniéj niż 50 funt. st. czynsz pięcioletni; od mniéj niż 100 funt. st. trzechletni i t. d. w stosunku malejącym.

Dzierżawcy używający przywilejów zwyczajowych, zwanych „prawami włościańskiemi prowincyi Ulster," i t. p. mogą oświadczyć, czy wolą swoje przywileje zatrzymać, czy też wyrzekłszy się ich używać gwarancyj, zapewnionych nową ustawą. Wszelkie kontrakty, zawarte w duchu przeciwnym téj ustawie, lub z zamiarem obejścia jéj, będą nieważne, z wyjątkiem umów, ułożonych na dłużéj niż na lat 31 i potwierdzonych przez trybunały włościańskie.

Wyliczyliśmy najważniejsze pomysły zawarte w *billu* Gladstona celem obdarzenia włościan prawami do spokojnego używania ziemi, bronienia ich od niesprawiedliwości chciwych panów i decydowania sporów wiejskich. (Słabą stroną ostatniego punktu jest łatwość, jaką bill ofiaruje zawsze pochopnemu do pieniactwa chłopstwu irlandzkiemu do procesowania się z panami).

Teraz nadmienimy słówko o innych paragrafach tegoż billu, zmierzających do stworzenia włościan właścicieli, zbudzenia w nich ochoty do ulepszenia pustych obszarów, tudzież uregulowania emigracyi chłopskiéj. Prawo zwane *Bright Clauses*, czyli piękna poprawka słynnego Brighta, dodana do ustawy włościańskiéj z r. 1870, dla ułatwienia chłopom nabywania parcelowanych majątków kościelnych i innych, znajduje się i w tegorocznym *billu*. „Komisya ziemska“ nie ograniczy swéj działalności na rozstrzyganiu w najwyższéj instancyi sporów między dzierżawcami i właścicielami, ale będzie także ciałem, posiadającém atrybut kupowania, parcelowania i sprzedawania majątków ziemskich. Dzierżawcy, pragnący nabyć folwarki swoje na własność wieczystą (rozumie się, za zgodą właścicieli) mogą żądać od Komisyi pożyczki, pochodzącéj z kasy państwa, a nie przenoszącéj $^3/_4$ ceny kontraktowéj nabywanego majątku. Spłata takiéj pożyczki odbędzie się w latach 35, ratami wynoszącemi 5%. Wolno także Komisyi kupować majątki wystawione na sprzedaż z wolnéj ręki i odprzedawać je częściowo czynszownikom na nich mieszkającym. Zabronioném będzie komukolwiek kwestyonować późniéj tytuły do własności, udzielonéj nabywcom przez Komisyą. Cały ustęp, obdarzający rzeczoną Komisyą opisanemi atrybutami, jest tak ważnym, iż zdaniem niektórych znawców stosunków irlandzkich zawiera w sobie najbrzemienniejszą w wielkie skutki część billu Gladstona. Ci znawcy twierdzą, że szlachta irlandzka, niegospodarna, marnotrawna i zadłużona, pozwoli się prędko skusić wysokiemi cenami, jakie, chciwy posiadania własnych chat i zagonów a pracowity i skąpy lud, niezawodnie jéj zaofiaruje i drogą sprzedaży z wolnéj ręki sama się na korzyść włościan z majątków ziemskich wywłaszczy, coby położyło kres sporom społecznym, od 5 wieków nurtującym w Irlandyi.

Daléj będzie Komisya ziemska udzielała zapomogi, w formie pożyczek zwracanych ratami, na ulepszenie pustyń, o których była mowa, tudzież będzie zasłaniała wykonawców pożądanych melioracyj od chciwości nominalnych właścicieli tychże, nieużytecznych jak na teraz, przestrzeni. Będzie także jéj obowiązkiem porozumiewać się z rządami angielskich kolonij pożądających emigrantów i wspomagać Irlandczyków przyzwoitych, a skłonnych do szukania szczęścia w nowych krajach, by się mogli udać do tych kolonij, ale ta emigracya będzie starannie regulowaną, według téj zasady, żeby mitygować wychodźtwo sporadyczne jednostek lub rodzin pojedyńczych, a ułatwiać gromadne przesiedlanie rolniczych grup kolonistów z okolic nieurodzajnych i przeludnionych.

Słowem, bill przewidział wszystko i posiada zaletę wszechstronności, pożądaną w ustawach obmyślonych dla użytku Irlandyi. Takie ustawy powinny być gibkie i dać się naginać do zwyczajów ludu, różniącego się pojęciami i obyczajami w sposób niepojęty cudzoziemcom. I tak, prawo dobre dla Ulstera może się okazać niepraktycznćm w Connaught lub w Tipperary, gdzie idee i potrzeby ludu są inne, niż między roztropnymi potomkami szkockich kolonistów. Bill posiada w wysokim stopniu ten pożądany przymiot gibkości i obmyśla w każdym wypadku kilka sposobów traktowania jednéjże choroby społecznéj. Przykład takiéj gibkości przytoczyliśmy, wspominając o ustępie, wedle którego będą zagrożonemu czynszownikowi trzy drogi ratunku otwarte. Zgoła, w całym billu przebija się chęć wzięcia w opiekę czynszowników, bez krzywdzenia właścicieli ziemskich, a talent okazany w rozwiązaniu trudnéj zagadki, jakby kozę ocalić i wilka nasycić, zasługuje sobie na pochwałę nieograniczoną.

Spełniwszy jedno trudne zadanie, twórcy billu mają przed sobą drugie—jakby go przeprowadzić w całości przez obydwie izby parlamentu, gdy większość jednéj przynajmniéj z tych izb składa się z lordów i wrogów naturalnych idei przewodniéj w billu? Życzmyż też wszyscy w téj ważnéj chwili, by p. Gladstone, nauczony smutnym losem, jaki spotkał ustawę z r. 1870, nie pozwolił temu zgromadzeniu monopolistów zniweczyć lub pokaleczyć nowéj ustawy poprawkami, z duchem billu sprzecznemi. Przyrzeczenie p. Gladstona, że się nie cofnie od żadnéj ewentualności i wszelkich legalnych środków użyje w celu przecięcia raz-na-zawsze gordyjskiego węzła, zwanego kwestyą włościańską w Irlandyi, ma nie dwuznaczną doniosłość w chwili teraźniejszéj. Jeśliby izba niższa wierną mu została, opór parów dałby się złamać kreowaniem dostatecznéj liczby lordów liberalnych. Wątpimy nawet, aby wobec popularności, jaką bill Gladstona zdaje się spotykać w narodzie angielskim, znużonym długą kłótnią z pobratymczą Irlandyą, izba wyższa znalazła w sobie odwagę do opozycyi. Dowody rzeczonéj popularności widzieliśmy własnemi oczyma, w czasie niedawnéj wycieczki do Anglii i Szkocyi.

Prawda, że nie brak i głosów oponujących. Organy konserwatywne nazywają projekt Gladstona rewolucyjnym i komunistycznym i wietrzą już przeniesienie się w niedalekiéj przyszłości na grunt angielski epidemii grasującéj w Irlandyi. Widzą w nim cień miecza, podniesionego przez radykalizm na drogie im stare instytucye, jak: izbę lordów, państwowy kościół anglikański, majoraty i t. p. remanenta przeszłości, o których znaczeniu zdania nowoczesne są podzielone. Twierdzą, że widoma głowa reformatorów, Gladstone, jest

tylko narzędziem biernem radykalnego skrzydła partyi liberalnéj, które to skrzydło dlatego jedynie spieszy się z załatwieniem spraw irlandzkich, żeby skaptowawszy pomoc Homerulerów rzucić się na ostatnie bulwarki, broniące całości tronu, arystokracyi, kościoła, religii i porządku społecznego w saméj Anglii. Te histeryczne, pełne przesady wołania, są tak namacalnie niedorzeczne, że nie wystraszą zapewnie narodu angielskiego z wybranéj drogi ustępstw dla włościan irlandzkich.

Niebezpieczniejszemi są pełne sofizmatów argumenta rzekomo liberalnych Whigów, zręcznie zestawione przez ks. Argyll w *Nineteenth Century*, o których słówko rzucone poprzednio musi wystarczyć czytelnikom, gdyż nie śmiemy nadużywać łamów ofiarowanych nam do rozwinięcia naszych poglądów na kwestyą włościańską w Irlandyi cytatami z polemiki, przeciw reformom Gladstona wznowionéj. Zadaniem naszém było streścić zrozumiale fakta znane nam o téj kwestyi, a lękamy się, żeśmy się wywiązali z tego zadania z rozwlekłością nużącą. Wszakże radzimy czytelnikom znającym język angielski artykuł ks. Argylla przeczytać, gdyż znajdą w nim essencyą wszystkich zarzutów, jakie tylko mogła sformułować przeciw całkowitemu lub częściowemu uwłaszczeniu czynszowników stanu włościańskiego w Irlandyi pewna, poważna szkoła ekonomistów, któréj się wydaje, że główne zadanie każdéj społeczności zasadza się na tworzeniu jak można najwięcéj bogactw i że tylko temu krajowi wiedzie się dobrze, który zawiera kilka tysięcy milionerów i że to nic nie szkodzi, jeśli miliony ludzi żyje obok tych milionerów z tygodniowego jedynie zarobku, w wiecznéj niepewności o jutro. Robotnicy są w jéj oczach kotłami parowemi, które wypada używać i zużywać bez miłości, ale z mądrem wyrachowaniem, aby wydały jak najwięcéj produktów z jak najmniejszém zniszczeniem siły. Jéj ideałem stosunków włościańskich są wielkie dobra i wielkie folwarki angielskie. Drobnych własności ziemskich nie życzy sobie widziéć, uważając, że chłopstwo niezawisłe nie jest najpraktyczniejszém narzędziem do eksploatacyi zasobów naturalnych w roli ukrytych, sposobem najtańszym, hurtowym. Wielki dzierżawca lub ekonom na czele parobków nie posiadających piędzi téj ziemi, którą potem zlewać muszą, wydają się im skuteczniejszemi narzędziami, zwłaszcza wtedy, gdy lord milioner nagli ich do pracy wytężonéj, okładając dzierżawę czynszem jak można najwyższym. Zgoła, podoba się im system, któryśmy widzieli rozwinięty do ostatecznéj konsekwencyi na wyspie Kubie, gdzie niewolników wychowują i używają z taką mądrością, jak dobry gospodarz szlachetne konie. Ludzie wspomnieni są najniebezpieczniejszymi oponentami, jakich domagania się

chłopa irlandzkiego spotykają w Anglii. Mają one także przeciwników w stronie, któréjby się czytelnik nie domyślił—w części t. z. liberalnéj prasy kontynentalnéj. Przychylność téj prasy bardzo-by im się przydała, bo tworząc dowód, iż opinia zagraniczna im sprzyja, nie mogłaby pozostać bez wpływu, na czuły względem objawów opinii, parlament angielski. Dlatego téż rzuciliśmy surowe słowo o publicystach, którzy albo jak p. Molinari zbierali swe obserwacye życia irlandzkiego i tworzyli zdania o niem w dworach panków tamtejszych, gościnnych i grzecznych dla każdéj osoby, któréj pragną oczy zamydlić, lub téż bez krytyki i wyboru wyrobione tym sposobem, uprzedzone wyroki powtarzają. Obrona właścicieli irlandzkich brzmi źle w ustach rzekomo postępowych dzienników.

My przeciwnie potępiamy tych panów i pragniemy, żeby bill Gladstona wyszedł zwycięzko albo z ogniowéj próby rozpraw parlamentarnych, albo z ogólnych, ewentualnych wyborów, jeśliby parlament teraźniejszy bill ten odrzucił i został rozwiązany. Ufamy, iż średnie i rękodzielnicze warstwy narodu angielskiego, w których ręku spoczywa od czasu ostatniéj reformy wyborczéj decyzya ważnych spraw publicznych, wyleczyły się już z usilnie im wmawianego obłędu, jakoby uwiecznienie niedoli Irlandyi było z korzyścią dla Anglii połączone, że te pszczoły robocze, płacące podatki, tworzące bogactwo krajowe, zamiłowane w idei wolności i sprawiedliwości, nic zgoła z owoców rabunkowego systemu irlandzkiéj gospodarki nie zyskujące zrozumiały, iż maltretowanie podobnych sobie pszczół roboczych na innéj wyspie nie leży w ich interesie; że sprzykrzył się im widok garstki niepomnych swych obowiązków panów irlandzkich, ciemiężących własny lud z pomocą zbrojnéj żandarmeryi i 30.000 załogi angielskiéj, że w końcu mężowie stanu wszystkich stronnictw Wielkiéj Brytanii przyszli do przekonania, iż byłoby lepiéj mieć Irlandyą kwitnącą, zadowoloną i lojalną, niż podżeganą ciągle głodem i rozpaczą do rokoszu i zdrady, kolką w boku Anglii, gniazdem ewentualnéj dywersyi, niebezpiecznéj na wypadek wojny z jedném z europejskich mocarstw, śmiertelnéj w razie wojny ze Stanami Zjednoczonemi...

Historya cywilizacyi jest kroniką powolnego i mozolnego uwłaszczania rodu ludzkiego umysłową i materyalną własnością. Nic nie opóźnia tego procesu silniéj, nic nie przedstawia widoku smutniejszego, jak sceny często w tejże kronice opisywane, w których społeczności silniejsze zabierają w jassyr i gnębią słabszych od siebie. Nikt się jeszcze nigdy i nigdzie nie znalazł, ktoby potępiał cywilizacyą uwłaszczającą, pochwalał chytrość i siłę, niewolącą i obdzierającą prostaczków i bezsilnych, nikt, kto nie był w duszy przyjacielem

rozbójników. Takim tytułem wolno téż określać rzekomych liberalnych polityków, objawiających współczucie sentymentalne dla każdego dalekiego tałałajstwa, malowanego romantycznie w nowellach— dla Boerów, Afgańczyków, Czerwonoskórców—a słuchających z nieludzką obojętnością lub zadowoleniem utajoném o niedoli klerykalnych, konserwatywnych kmiotków biednéj Irlandyi. Są to obłudni jezuici liberalizmu...

Nawet ciemny, pogardzony chłop Erynu urodził się z prawem spożywania owoców swéj pracy. On orze wszystką ziemię swéj wyspy wilgotnéj, oczyszcza z głazów skłony jéj pagórków, osusza jéj szerokie równiny, kosi mierne żniwa, wytwarza nieobfite w niéj pieniądze, zgoła produkuje wszystko a wszystko, z czego się jéj bogactwo składa. Któż ma decydować, w jaki sposób powinna się odbywać konsumpcya tych produktów? Czy opinia nie zawsze dokładnie informowanych cudzoziemców? Czy parlament angielski, nic nie produkujący w Irlandyi. Czy 1.900 nieprodukcyjnych lordów, żyjących z czynszów płaconych przez dwie trzecie producentów irlandzkich? Nie, zaprawdę! Zapewne, prawo decydowania trudno przyznać 4 milionom pracujących Irlandczyków, lub ich większości przez „Ligę włościańską“ reprezentowanéj, ale bądź-co-bądź wszelka krytyka żądań zawartych w „Trzech F.“ powinna być umiarkowaną, a więc wszelkie potwarze, jakoby większość całego narodu była zarażoną komunizmem i pragnęła obalić zarówno prawa własności jak porządek społeczny, są nietylko bezzasadne, ale co gorzéj śmieszne.

Sygurd Wiśniowski.

Stanisławów, w Maju 1881 r.

W GRUDNIOWE DNI.

NOWELLA.

SEWEROWI
z serdeczném podziękowaniem
za „Przybłędy“ przesyła
AUTOR.

I.

Czy drzemie staruszka?

Któż odgadnie? U niéj marzenie tak do snu podobne, sen jéj tak podobny do śmierci.

Powieki wpół przymknięte, na ustach uśmiech pełen słodyczy i smutku.

Na twarz jéj bladą, od czasu do czasu jaskrawym odblaskiem pogrzebowych pochodni padają płomienie kominkowego ognia. Z odgłosem świeżo wyciosanéj trumny, schnącéj na słońcu, mokra świerkowa kłoda paczy się i pęka od żaru. Zasyczą w niéj czasem skwarzące się soki żywotne i znów rozpęka włókno drzewne z głośnym strzałem, sypiąc do koła iskrami. Iskra każda chwilkę w powietrzu żywiéj zaświeci, jakby myśl w głowie konającego człowieka, zaświeci jak rodząca się gwiazda—i zgaśnie na wieki.

Czerwone pół światła, półcienie, drgają naprzemian po zmarszczkach nieruchoméj twarzy, bawią się siwym jéj włosem, złocą go i srebrzą i przywracają mu czasem kruczy połysk młodości. W różowych przebłyskach żaru, przezrocza tkanina muślinowych szlarek jéj czepca zdaje się zmieniać na jedną sekundę w girlandę róż.

Jak jéj z tém ładnie!... Jakby jakie wnuczęta figlarne, tak ją stroją figlarne gnomy i kobolty płomyków. Któżby ją stroił inny w jéj samocie? Huczy zamieć śnieżna na dworze, zmarzłemi grudkami śniegu bije w wąskie okna dworku.

I cisza zresztą—głucha cisza, tylko ten szum wichru i to małych szybek dzwonienie i to sykanie i skwirczenie wilgotnego drzewa na ognisku i niekiedy huczny wystrzał pękającéj kłody.

Te gnomy ogniska—one to może staruszkę rozerwać chcą temi głosami? one to może zmówiły się z elfami w śniegowéj bujającemi zamieci i rozmawiają tak z sobą nawzajem: niestrudzone w zabawie i dzwonią i trzaskają z biczyków jak drobna dziatwa—i jakby rozswywolone chłopięta rzucają w szyby okien gałeczkami lodu.

Poczciwe duchy! jak one znają serce człowieka! Jak one zająć umieją mu myśl w długich, nieznośnie długich godzinach tęsknoty! jak one wiele powiedzićć umieją pół słówkiem, pół dźwiękiem, pół-szeptem.

Poczciwe duchy! jak one pocieszyć umieją tych, dla których przyszłość martwym jest wyrazem! jak one wiedzą o czém z kim rozmawiać! jak one wskrzesić umieją zapadłe w niepamięć czasy, zamierzchłe niepowrotnie radości, zachwyty i szczęścia!

One przemawiają do serca ludzkiego wspomnieniem!

A żywo wspomnićć—to jakby odetchnąć raz jeszcze wonią lubego kwiatu, który nam z rąk wyrwano...

Inaczéj uśmiecha się człowiek gdy o przyszłości marzy, inaczéj wcale gdy duch w błogiém wspomnieniu zatonie.

Patrzcie! w jéj uśmiechu nie ma niepokoju oczekiwania i dreszczów nadziei. Jéj uśmiech—to spokój.

Ona wspomnieniem oddycha—wspomnieniem młodości... A młodością dla starca przeszłość szczęśliwa, niepowrotna. I chwile szczęścia, które błyskały niegdyś, choćby na czole siwym już nawet osrebrzoném włosem—to także wspomnienie młodości.

Cicho. Podniosła się nieco w poręczowém krześle. Wyciągnęła rękę niepewnym jakimś ruchem przed siebie, jakby szukając po omacku jakiegoś przedmiotu na małym, krągłym stoliczku ustawionym tuż obok jéj podnóżka.

Lekkiem z góry dotknięciem drżących palców, jak to czynią ślepi, poruszyła po kolei każdy przedmiot leżący na stoliku: szklankę z jakiemiś ziółkami, srebrną cukierniczkę, flakonik porcelanowy i małą w czarnych ramkach fotografią.

Wzięła tę ostatnią ostrożnie do ręki, ale nie poniosła ją do oczu, tylko drobną swą dłonią przykryła, końcami palców dotykając wizerunku, tak jakby przez taflę szklaną odczuwała magnetyczném palców dotknięciem utęsknione rysy portretu.

Żywszym wyrazem smętnéj jakiejś lubości rozjaśniło się oblicze staruszki. Ktoby niewiedział że to niewidoma, patrząc na nią w téj chwili, byłby pewnym że widzi.

A ona tylko czuje.

Ona widzi zaiste, ale tylko swéj duszy oczyma — mówiąc z Szekspirem.

Nieprawdaż? śmieszny to sentymentalizm w tym wieku prozy i realizmu! tém śmieszniejszy, że go popełnia sześćdziesięcioletnia staruszka, tém śmieszniejszy, że go nie wśród ludzi popełnia, którychby chciała zjednać dla siebie takim przestarzałym romantyzmem, ale sama wobec siebie tylko... i wobec tych fantastycznych na kominku płomyków i téj zamieci śnieżnéj zaglądającéj do izby przez skrysztalone mrozem okienko... i wobec téj fotografii w jéj ręku. Odłóż czytelniku na bok tę sentymentalną nowelę. Tu nie ma prawdy...

O, ja ci zaręczam, że prawda. Pomyśl, że to nie dzisiejszych czasów niewiasta, ona sięga urodzeniem pierwszych dziesiątków naszego stulecia...

A kiedyś, kiedyś, na starość... gdybyś doznał wiele szczęścia w życiu i kochał i płakał na ukochanych grobie i znalazł się wreszcie samotny, niewidomy, w odludnym karpackim jak ona dworku i sam się uczuł ze wspomnieniami swemi... kto wie? kto wie czybyś nie przestał śmiać się, gdyby ci wtedy przyszła na myśl przeczytana w młodości nowela .. Kto wie?

Dziś się śmiej.

Biedna moja staruszka da ci więcéj jeszcze powodów do śmiechu.

Patrz, wsłuchała się ślepa marzycielka w to pękanie mokréj świerczyny na kominku, w tę muzykę bijących w okna śniegowych grudek—i jakimś dawnym rytmem dzwoni jéj w duszy wspomnienie... Rękę przyłożyła do czoła jakby coś lepiéj przypomnieć sobie chciała a usta poruszają się mimowiednym szeptem miarowych słów w pamiętne sercu ujętych rymy...

Zrazu szept cichy—i głośniéj—głośniéj... wiersz jakiś powtarza z pamięci... Jakie to śmieszne!

Żywszy płomień buchnął na kominku—blaski rozlały się jaśniejsze po całéj izbie. Przystroiły resztki starożytnych mebli, świetniejsze mieszkanki przypominających czasy. Ozłociły brązowy postument starego zegaru z kurantami, z orłem dławiącym węża w swych szponach; prześlizgnęły się po półkach wytwornie oprawnych książek, odbiły się w szerokich ramach portretu wiszącego na przeciwległéj ścianie: portret młodéj niewiasty—ach, jakże pięknéj!

Rzecz dziwna jak nam ten portret znajomym się wydaje. Przypomina kogoś, gdzieś widzianego—na jawie czy w wyobraźni...

Ach, to portret staruszki naszéj!...

A ona mówi—cicho zrazu... i coraz głośniéj... i z coraz większém uczuciem, tak, że dźwięk rzewny jéj głosu barwi i stroi w poezją prawdziwą, tuzinkowy wierszyk:

— Pamiętasz, kochanie ty moje
Nasz pierwszy po ślubie ranek?
I sadem rozkwitłym jak szliśmy oboje?
I co ci mówił kochanek?

Pamiętasz tę jabłoń w ustroni
W dzień pierwszy twego zamęścia?
Wiatr pruszył nam głowy kwiatami jabłoni...
Pamiętasz Luba dzień szczęścia?

Wtedy kochana, kochająca,
Jak wiosna pełna młodości,
Tyś coś mówiła, jakby z nocy tysiąca,
O naszéj przyszłéj starości.

I chciałaś, by razem oboje,
Jak wichrem zerwane kwiaty,
By kiedyś staruszków—kwiatuszków nas dwoje
W nadziemskie wzleciało światy...

...Patrz, zamieć dziś sroga, śnieg pruszy,
Włosy nam starość spruszyła:
Czyś taką ty niegdyś, w młodziutkiéj twéj duszy,
Czyś taką starość marzyła?..

Zegar zaczął grać kuranta. To południe.

II.

Ach, jakież śniegi na podgórzu karpackiém!

Jaki czas! co za zadymka straszliwa! Mróz kilkunasto-stopniowy a wicher przytém łamiący drzewa po drodze, z nóg wali ludzi przechodzących w poprzek drogi we wsi, od chaty do chaty, przenika ich na wskróś do kości.

Cóż to się dziać musi z tymi, którychby ta zawierucha w czystém polu gdzie spotkała! Ulituj się nad nimi!

W czystém polu? He, któżby się to puścił w drogę o takiéj porze? Chyba szaleniec jaki.

Kto jednak wie? Zawierucha taka zrywa się nagle, nieraz niespodzianie, każdego zaskoczyć może, najostrożniejszego nawet.

Psy naszczekują ode wsi, przytłumiony ich głos i jakby trwożny chowają się pewno każdy gdzie który może, tulą się pod strzechą, do

ściany stajen przylegają bokiem, skąd szparami ciepło na nich wieje. Psa wypędzić na dwór żal człowiekowi a cóż dopiero człowieka.

Zmrok już zapada. Od trzech godzin już gorzéj niż zmrok zwykły, bo ciemno od chmur i zadymki. Ale coraz już ciemniéj: teraz to pewnie już zmrok.

Za wsią wzgórze za wzgórzem, a każde do drugiego podobne. A wszystkie zasute śniegiem na łokieć, na sążeń gdzie niegdzie. Drogi nie dojrzysz na trzy kroki, nie rozpoznasz jéj, choćby ci zadymka oczu nie ćmiła, wiatr zimny powiek nie zamykał. Biało i biało wszędzie, śnieg i śnieg równo rozpostarty jak biały obrus, ani śladu na nim, ani znaku.

Tu i owdzie czerni się kilka lub kilkanaście wyniosłych świerków, wiatr niemi miota gwałtownie, uginają się na prawo i na lewo, to w tę to w ową stronę: w stronę wichru chylą się gwałtowniéj, skrzypią złowrogo jakby przełamać się miały i prostując się siłą sprężystych włókien, chylą się znów w drugą stronę i skrzypią—głucho—jęczą niby...

Może to człowiek jaki zbłąkany zapadł w śnieżną zaspę i jęczy tak?

Drogoskaz!... ah, jest droga! chwałaż Bogu! tędy, na prawo... Poczciwe biedne konięta, one ją odnalazły, człowiek napróżnoby jéj szukał. Puścił chłop wodze koniom i zdał się na ich instynkt a sam, przytuliwszy się do swéj kumy, osłania własném ciałem od wichru nowonarodzone niemowlę na jéj ręku, owinięte w pieluchy. Woził je do chrztu świętego do parafialnego kościola, dwie mile tam, dwie mile z powrotem... Czy je żywe zawiezie do domu? czy sam żyw powróci? któż wie, kto wie?

Pięć godzin temu jak wyruszył z domu i pocałował w chałupie matkę swego dziecka. Nie zanosiło się wtedy na tak wielką biedę. Mróz był straszny ale zadymki nie było. Trzeba było jechać—bo nużby dziecko umarło i duszyczka poszła do piekła: strach pomyśléć! Trzeba było jechać.

— A niech się nazywa Marynka!—rzekła mu żona na odjezdnem. I podniosła się nieco z pościeli i przyciągnęła kumę do siebie, trzymającą już niemowlę na ręku i pocałowała swoję jedynaczkę. — A niech się nazywa Marynka! — powtórzyła proszącym głosem. — A nie dajcież jéj zamrzéć z głodu i zimna!... oj, mnie bardzo źle, Józku! ja was tu może nie doczekam... A niechże się nazywa Maryna, jak ja!...

Ale proboszcz nie dał się uprosić. „Cóż to, rzekł, w waszéj wsi same tylko Maryny mają być? Dość już tego. Już u was sześć

Maryn tego nazwiska. Bałamuctwo w metryce i koniec. Niepozwolę.“ I ochrzcił ją Hanka.

— *Hanka!* hej, hej, kumo, cóż ja żonie powiem jak mnie zapyta?... Ona pomyśli, że ja ją tak nazwał od téj Hanki... co to wiecie...

— A jużci wiem. A jużci pewnie tak pomyśli.

— Jezu! ta niechby umarła, niechbym ją żywą do domu nie zawiózł!...

— I na wpół pijany ojciec zaczął zawodzić ochrypłym głosem nad nieszczęsną Hanką—ale przysunął się jednak bliżéj do kumy, aby dziecko od wichru osłonić.

— Dajcież pokój! Niewiecież że to grzech życzyć śmierci własnemu dziecku... Żeby cudzemu jeszcze... ale to do was takie podobne...

A Józek zamiast odpowiedzi uśmiechnął się i wyjął z zanadrza flaszkę wódki, napił się sam, dał się napić kumie a potém dziecku do drobnych usteczek wycisnął parę kropel z bibuły, którą zamiast korka zatkana była szyjka butelki.

I zjechały sanki w głęboki parów, pokryty kilkusążniową zaspą. Zadymka zaczęła się zmniejszać.

— Jezu Chryste! rany boskie! a to co? barania czapka... człowiek leży w śniegu!—hou! prr!...

I zeskoczył Józek z sani. W śniegu leżał, z twarzą w śniegu zarytą i na wpół już śniegiem przysypany człowiek w chłopskim kożuchu, w nowych butach z cholewami wysokiemi, z których wydobywała się słoma, ręce rozkrzyżowane w grubych dwupalczystych rękawicach z niebieskiego sukna, uwiązanych na sznurku do kożucha. Na plecach miał przewieszoną skórzaną torbę.

Józek zaczął go cucić.

— Hej, taż to Michał, ten ze dworu.

— Spił się pewnie...

Natarł go Józek śniegiem, potém wódką skropił—a gdy pijany zaczął dawać znaki przytomności, z pomocą kumy wyciągnął go na sanki. A niemogąc się już pomieścić w sankach po takiém zwiększeniu liczby podróżnych, na nim usiedli oboje.

— Wiu, wiu!—a biedne koniska ciągnęły co siły—pod górę, pod górę.

Co chwila to sanie zaryły się w śnieg, co chwila wyskakiwał Józek i pomagał koniom aby je wyciągnąć, a potém znowu jednym skokiem był już obok baby siedzącéj na nieruchomém a żywem jednak siedzeniu. Za każdym takim skokiem żywa ta kłoda przygnieciona ciężarem Józka, zgryźliwym stękiem dawała znać o doznawanych wrażeniach.

Dojeżdżali już na szczyt góry; znowu wicher się wzmagał, znowu gwałtowniéj szalała zadymka. Nagle usłyszeli za sobą głośny klekot dzwonków i ujrzeli najprzód dwa duże bułanki w chomątach i porządnéj uprzęży, woźnicę w płaszczu z futrzanym kołnierzem, podniesionym do góry—a za nim w szerokich saniach dwie kobiéty, jedną z twarzą zasłonioną woalem, w futrze i szafirowym szalem owiniętą, drugą zaś w pożądnym wiejskim kożuchu i z kraciastą czerwoną chustą na głowie.

— Héj, człowiecze!—zapytał woźnica—czy dobrze tędy do Paprotki?...

— Dobrze!... prosto!...

— A od karczmy na prawo?

— Na prawo.

— A za mostem?

— Most zepsuty, jest tylko ława. Musicie objeżdżać, po pod las, hen-hen-koło figury.

— Bóg zapłać!

I rącze bułanki popędziły naprzód.

Oglądała się długo za niemi kuma—i za czerwoną chustą i za szalem niebieskim; westchnęła i rzekła wreszcie:

— Kumie, strasznie zimno! dajcie-no wódki.

Popił Józek sam z flaszki i podał kumie i odsłonił dziecko, aby mu do ust nakropić. Włożył mu palec w przetwarte usteczka, poruszył twarzyczkę z jednéj i drugiéj strony, pochylił się nad niém, aby je lepiéj oglądnąć, i przerażonym czas jakiś patrzał na nie wzrokiem...

— Oho, kumo!—zawołał wreszcie: Hanka już umarła!

— Co gadacie?... umarła?... Rany boskie!... A cóż *wasza* powie?.....

— Eh!—odezwał się po chwili Józek z ponurą rezygnacyą,—może i ona już umarła...

— Byłoby dwa pogrzeby na raz!

— Oj! oj!—zawodził chłop! Zkąd ja na to wezmę pieniędzy!... Dopiéro chrzciny, to znowu pogrzeb!... Łońskiego roku jak *stara* umarła, piętnaście *papierków* mnie to kosztowało!...

Wyciągnął sanice z zaspy i wskoczył na siedzenie.

— Uff!—stęknął Michał, oganiając się ręką bezprzytomnie.

III.

Potrącona w samotném sercu struna wspomnień wibruje i dźwięczy bez końca. Jak owa syrakuzańska grota, gdzie jedno le-

dwie dosłyszalne westchnienie tysiącem na raz odbrzmiewa westchnień, takiém jest serce. Niema w niém wspomnienia bez echa: niech jedno z cicha zadźwięczy, odpowie mu drugie i trzecie i tysiące na raz z dawna przebrzmiałych odzywa się głosów w dziwną spływającą harmonję... w dziwny czasem dyssonans.

Trzy piekielne siostrzyce snuły grekom nić żywota. Lecz w miarę jak się nić ta rozsnuwa, zwija się druga: na kłębek ludzkiéj pamięci nawija się nić wspomnienia. Dusza ludzka—to otchłań: dość w nią rzucić ów kłębek zaklęty, nić wspomnień snuć się będzie bez końca. Splątana, zwikłana, nie rozgmatwa się nigdy, a snuje się, snuje...

Snuły się wspomnienia w siwéj głowie staruszki.

Nie wiele ich wiązało się z tym białym dworkiem w Paprotce, na karpackiém odludziu. Za życia męża, który zaszczytny urząd obywatelski piastował, mieszkali oboje w mieście, w stolicy. Z wyjątkiem najmłodszego syna pomarła im dziatwa w pierwszych dziecięctwa latach, a jednak dziwną swych myśli i uczuć związani harmonią, z pogodném czołem szli drogą zacnego żywota, kochający, szczęśliwi, spokojni, wesoło w przyszłość patrzący.

Majątkowe klęski nie zachwiały tego szczęścia. Mająteczek, w górach wprawdzie położony, ale zawsze dość znaczny i z trzech złożony folwarków, zmuszeni byli w większéj części rozprzedać, zostawiając sobie tylko folwark najmniejszy, o kilkudziesięciu morgach owsianego gruntu, z małym dworkiem mieszkalnym, samotnym, odległym od świata i bitych gościńców, o mil trzy oddalonym od najbliższéj poczty.

Cios padł wreszcie najcięższy. Niczém nieuzasadnionym obarczony zarzutem, zniewolony głosem publicznéj opinii, która wymagała, aby się pomścił za doznaną niesłusznie obelgę, podjął sprawiedliwy mąż rzuconą mu nikczemnie rękawicę i—zginął w pojedynku.

W przecudny, słoneczny poranek wiosenny, gdy cała przyroda ku nowemu zdawała budzić się życiu, uściskał żonę po raz ostatni, dwunastoletniego przywołał Władzia, podniósł go w górę i do serca przycisnął, ojcowski na czole złożył mu pocałunek. „Kochaj mamę!“ rzekł mu i złotowłosą jego główkę na kolanach jej oparł. „Kochaj go... bądź zdrowa!“ Łza błysła mu w oku, wyszedł i wrócił z drugiego pokoju z bukietem fiołków w ręku. Jeszcze całus jeden, gorący, serdeczny; bukiecik fiołków został w jéj ręku, syn na kolanach... jego już nie było.

I nie ujrzała go już więcéj.

Daremne łzy i rozpacze, próżny żal za straconym rajem. Nie wróci już, nie wróci. Syn pozostał. Syn! to wielkie dla matki słowo, to wielka dla nieszczęsnéj pociecha. I obowiązek to wielki.

Ustała wypłata mężowskiéj pensyi. Dochody nie wystarczały na najskromniejsze nawet utrzymanie w mieście, a tém mniéj na opędzenie kosztów starannego wychowania syna. Biedna wdowa oddała go w opiekę poczciwym ludziom, a sama przeniosła się na wieś, pod karpaty, aby choć jakietakie wyciągnąć ze szczupłego mająteczku dochody.

Nie wystarczały one i nie mogły wystarczyć na opędzenie wydatków. Zmniejszyła się wreszcie i ta scheda ojcowska młodego Władzia, i dla opłacania bądź-to dawniejszych długów, bądź takich które nieuniknione konieczność nakazywała zaciągnąć, odprzedać trzeba było sąsiadom kilkanaście i znowu kilkanaście morgów. Został dom i nieco więcéj nad trzecią część pierwotnego obszaru.

Pozostałe jéj własnością grunta wydzierżawiła chłopom, a sama na kilku morgach z dwojgiem sług utrzymywała tylko krów kilka i owiec. Dochody te wystarczały jéj do życia. Syn pomocy jéj już nie potrzebował. Ukończył fakultet filozoficzny uniwersytetu, sposobił się do zawodu profesora, a będąc poszukiwanym jako nauczyciel historyi i literatury, dawaniem lekcyj w zamożniejszych domach zarabiał tyle, że nietylko sam zapewnił sobie dostatnie utrzymanie, ale i matce nieraz dopomógł w kłopotach.

W ostatnich latach zwiększyły się były te kłopoty. Osłabły siły znękanéj wiekiem i smutkami i pracą kobiéty. Nie mogła dać już sobie rady nawet z drobném swém, prawdziwie miniaturowém gospodarstwem. Na domiar złego, oczy, na które od lat dawnych cierpiała, słabły zwolna coraz bardziéj, świat zewnętrzny mglił się coraz bardziéj przed jéj wzrokiem i wreszcie zupełne dla niéj pokryły go ciemności.

Strasznym niegdyś by to było dla niéj ciosem, dziś spokojnie go zniosła. Nie był on tyle strasznym, gdyż nie spadł na nią niespodzianie, lecz dzień za dniem nieznacznie coraz gęstsza zasuwała się przed oczyma zasłona. Nie był on strasznym, bo o los syna była już spokojną. Żyła—wspomnieniami i rozpamiętywaniem przeszłości.

Jako kobiéta rzadkiego wykształcenia, dla któréj książka była niegdyś niezbędnym chlebem żywota, cierpiała zrazu bardzo na téj niemożności rozczytywania się w ulubionych autorach, przeglądania mężowskich listów, wierszy i naukowych notatek. Późniéj jednak oswoiła się z tym tak dotkliwym zrazu brakiem, a szczególnie żywa i bogata jéj pamięć, dozwalała wysnuwać ze skarbu wspomnień

całe ustępy znakomitych naszych poetów. Na samotność najsroższą skazana, nie mając w pobliżu ani jednéj pokrewnéj duszy, na mil kilka dokoła nikogo, ktoby jéj list od syna przeczytał, długiemi nieraz godzinami czytała głośno.. z pamięci...

Mężowskie listy i wiersze, do niéj po większéj części pisane, poznawała za dotknięciem ćwiartki papieru tak dokładnie, jak oślepła dewotka poznaje paciorek każdy swego różańca.

Czternaście lat wdowieństwa, zdala od towarzystwa wykształconych ludzi, sześć lat ślepoty samotnéj... cóż dziwnego że pani Anastazya wytworzyła sobie świat własny, nic ze światem ją otaczającym niemający wspólnego, świat wspomnień, w którym żyła poezyą własnéj przeszłości a podsycała życie zapamiętanemi utworami poetów. Cóż dziwnego, że świat ten jéj milszym był stokroć od martwéj, prozaicznéj obecności, że po dniach całych pozbawiona rozmowy z prozaicznem swém otoczeniem, za głosem ludzkim tęskniła i swą tęsknotę własnym nasycała głosem?

Trudniejszą byłoby może dla psychologa zagadką, czemu z każdym rokiem coraz bardziéj wyzbywała się jéj pamięć wspomnień z lat bliższych, czemu coraz bardziéj ożywiały się w sercu staruszki i coraz milszemi stawały jéj się odleglejszych czasów pamiątki... Macierzyńska miłość, która po śmierci ukochanego męża uratowała ją od rozpaczy i od zwątpienia w siebie i w przyszłość, to macierzyńskie do jedynaka przywiązanie, w którém zdawało się, że cała jéj skupiła się istność, w miarę jak syn ten wzrastał i mężniał, bladło coraz bardziéj wobec wspomnień młodości, wobec miłości ku ukochanemu zmarłemu. Miłość ta rosła w ubóstwienie, duszę uskrzydlała tęsknotą, życiem ją pojąc jakiemś mistyczném, nieziemską błogością, kultem się stając i jedynym życia pokarmem.

Czém się to działo?... pytajcie duszy tajemnic. One wam odpowiedzą,—ale wtedy dopiéro, gdy starość pochyli was ku ziemi, odpowiedzą wam rozmiłowaniem się waszém własném w młodzieńczych lat waszych uczuciach. Nie wiecie dziś, jak miłemi kiedyś jeszcze wam się staną wspomnienia, które dziś żadnéj mieć się wam nie zdają wartości...

IV.

. . . .

„Wszędzie! jam wszędzie w powietrznéj fali
Gdzie życia płomień tchnie!
I gdzie się akord dźwięków zapali!
I gdzie się w iskrę ciepło skrysztali"!....
——A Ona pyta: Gdzie?...

„Na wszystkich słońcach, na wszystkich światach,
I w każdéj ludzkiéj łzie,
W uśmiechach wszystkich i wszystkich kwiatach,
W proteuszowych kształtach i szatach.....“
——A Ona pyta: Gdzie?

„W własnéj twéj myśli jasnym promieniu
I własnéj duszy śnie,
We własném głosu twojego brzmieniu,
W własnego serca twojego drżeniu.... .“
——Ach gdzieś ty, gdzieś ty, gdzie?...

— Ja tutaj, proszę jejmości!—odezwała się Kaśka, wchodząc z brzemieniem drzewa. Przyniosłam parę polan do komina, bo by mi jejmość zmarzła. Mróz, mróz okrutny! aż dusza w człeku marznie... A wicher-ci taki, że aż świerki jęczą... a gruszę tę nad sadzawką to złamało do szczętu... Byle strzechy nie zerwało!... jużci się ktoś powiesił, to jak dwa a dwa cztery... może ten rudy Jolko z Podsośnia, co go do kryminału wzięli za tę babę z koralami, co ją u niego w studni znaleźli... ej, żydzisko, żydzisko! dobrze mu tak!... Sprawiedliwość boska... Ale, z przeproszeniem jejmości... może to, jak się *żyd* powiesi, to wiatru niebędzie?... hej, hej, mój Boże, jejmość to uczona w książkach, to tam wszystko wie...

— A Michał niewrócił jeszcze z poczty?

— Hoho! a co też to jejmość gada!... a nie widzi to jejmość jaka zadymka straszliwa... swoich nóg nikt nie dojrzy a ktoby drogę znalazł... aj, prawda, prawda że jejmość nie widzi bo ślepa... O rety! nie wróci on dziś, nie wróci... Musiało się gdzie w karczmie śpić chłopisko, ta i leży pod ławą... z przeproszeniem jejmości. Czy ja wiem po co bo to jejmość trzyma tego pijaczynę?... Tylko na rany boskie! niech mu jejmość tego nie powie, co ja jejmości o nim mówię pod świętym sekretem... ho! nie przyjdzie ci on dziś, nie przyjdzie, ja go znam!... aż gdzie jutro koło południa... Niema komu sieczki narzezać... Ale, Jezu kochany, cóż jejmości z tego przyjdzie choćby i przyniósł listy od panicza... Któż je tu jejmości przeczyta? niema nikogo we wsi takiego uczonego. Musi jejmość czekać i tak, aż kiedy przyjedzie która pani z Podsośnia albo z Suchorębu..... albo może doktór..... ej, ej!... a ja z jejmością gadu gadu... a tam mi śmietanka wykipi...

— Idź już Kachno, idź...

— O Jezu! rety! ktoś przyjechał! Wszelki duch święty pana Boga chwali! w taki czas!... Słyszy jejmość dzwonki?.. Aj, aj, okna zamarznięte, nic nie widać... No, no, widać! Jak pana Boga kocham! taż to panienka z Suchorębu!... w niebieskiéj płachcie... i z panią.

Nie, nie z mamunią. *Ze* sługą. Oj, to ta Jagna Ceglarzówna, co się z nią kowal miał żenić. . a jak się wystroiła *galantnie*, w czerwoną chustę.. a to dopiéro!... no, no!... Ale pani gada a ja muszę już iść, panience zdjąć futerko... Kawy zrobić?... a owsa koniom dać? będzie jeszcze ze dwa korce w śpichlerzu.. oj, święty rety! zapomniałam! Michał pijaczysko wziął klucz!... Co ja zrobię?... Poszlę Jędrzejową do Mośka... A furmanowi panienki dać jeść? ojej! ojéj!...

I wybiegła za drzwi, zdesperowana nawałem tylu czynności które ją czekały.

V.

W kilka minut późniéj, weszła... nie, wbiegła... nie, wsunęła się? jeszcze gorzéj!... Wleciała zatém? I to źle! Dość, że w kilka minut zjawiła się u podnóżka naszéj staruszki owa *panienka* z Suchorębu, którą przez okno poznała Kachna po „niebieskiéj płachcie" a którą my z szanownym czytelnikiem spotkaliśmy już wprzódy na Paprockiéj górze jadącą sankami wśród największéj zadymki...

Cudownie lekka, wiotka, smukła, zgrabna, pełna niewymuszonéj w każdym ruchu gracyi i dziwnéj téj swobody, która jest najrzadszym i najbardziéj czarującym ze wszystkich uroków piękności,— w saméj rzeczy, nie *weszła* ona jak salonowa panna, nie *wbiegła* jak dziewczę wiejskie, nie *wsunęła* się jak zakonnica, nie *wleciała* jak trzepocące skrzydełkami ptaszę... ona się *zjawiła*. Tak jest: *zjawiła się*... tak jak myśl się jawi, jak miłość, jak radość, jak wiosna, jak poezya...

Czy była piękną? Uroczą była:—to może więcéj.

Nie miała rysów klasycznych. Hoża i świeża jak wiosenny ranek; krągła twarzyczka, rumiana od mrozu jak jabłuszko; jasno-siwe poczciwe oczęta wprost ci w oczy patrzące; małe usteczka karminowe pełne uśmiechów, z poza których białe wyglądają ząbki. Czoło wreszcie myślące, zbyt może nieco naprzód podane, a dokoła niego złocisty z warkocza wieniec—oto wszystko. Małe rączki, śliczna talia, którą zda się jedną objąłbyś ręką, przychlebny głosik, pełna niewinnéj kokieteryi modulacya w wymowie: czegóż chcecie więcéj? Nie kreślę wam słynnéj piękności, tylko uroczą dziewoję wiejskiego dworku.

W tym atłasowym szafirowym kubraczku, lamowanym puchem łabędzim, ślicznie jéj było, klęczącéj u nóg staruszki.

Całowała ją w ręce z uczuciem i patrząc na pogodne jéj i szlachetne rysy, przymilała się do niéj, przekrzywiając główkę, jakby, gorąco pragnąc jéj się przypodobać, zapomniała o tém, że staruszka

nie widzi. Pocałowała ją staruszka w czoło, ręce złożyła na warkoczu, który jéj główkę oplatał:

— Wiosna jest przy mnie! Ty musisz tak wyglądać jak wiosna, moja Zosiu! Tak mi jest jakbym wiosnę czuła, kiedyś ty przy mnie... Ale zkądżeś ty się dziś u mnie zjawiła, wiosenko moja?...

— Łaskawa pani, oto tak:..... ach, czy ja wiem sama jak?... Ale jaka ja, jaka ja szczęśliwa, że ja tutaj, przy pani!

I nie przestając klęczeć, zaczęła klaskać w ręce.

— Poczciwa Zosiu!... ty lubisz być u mnie ślepéj?

— Och, czy ja lubię!

I nowe gorące rąk ucałowania. Położyła swą główkę na kolanach staruszki, jakby domagając się pieszczot.

Nie szczędziła ich jéj staruszka.

— Jaką ty masz gładką twarzyczkę Zosiu! a uszko jakie małe... miniaturowe!... Kolczyki masz... jakie te kolczyki?

— To od wujcia, z turkusikiem.

— A włoski takie delikatne... jak jedwabne! Ten cały warkocz, to wszystko twoje własne włosy.

— Moje własne, droga pani!... ach, co to z niemi codzień kłopotu aby je rozczesać! Prawie do kolan mi sięgają.

— Twarzyczkę masz taką gorącą, rozpaloną...

— To z mrozu.

— Czołko gładziutkie... brwi... gęste brwi... A rzęsy?.... oh jakie długie!... Ale może ty się gniewasz, że ja cię tak dotykam po twarzy?

— O nie, nie, nie, najdroższa moja pani! mnie to tak miło!... Jabym tak chciała, żeby mnie pani widziała... a jak pani mnie tak rękoma ogląda, to mnie się zdaje, że mnie pani widzi.

— O ja cię przecież pamiętam dzieckiem... Śliczna byłaś moja Zosiu! ja cię widzę, dobrze cię widzę w pamięci! Byłaś jak pączek róży. Dzisiaj musisz być jak róża rozkwitła... na wpół rozkwitła... Usteczka twe pamiętam ślicznie uśmiechnięte... i oczka takie poczciwe...

I przyciągając jéj twarzyczkę rumianą ku sobie, pocałowała ją w czoło, ręką pogłaskała pod bródką:

— Uparta! uparta bródka!..:—i pogroziła jéj palcem po nosie.

Zaśmiało się dziewczę dźwięcznym jak srebrny dzwonek głosem.

— No, Zosiu, dość tych oględzin! już cię widzę. A teraz siądź tu przy mnie i powiedz: zkąd się tu wzięłaś? i czemu sama?

— Oto tak: mameczka pozwoliła mi jechać do cioci Klimci; miałam wyjechać dziś rano, żeby parę dni zabawić w Smerczyńcach i wrócić na ostatniego Grudnia do domu. Ale jak zaczęły się przygotowania do wyjazdu, to końca nie było: to to niegotowe, to owo. Bielizna dla mnie nie wyprasowana, konie nie kute na ostro, mameczka nie skończyła jeszcze listu do cioci, i tam daléj i tam daléj... Tak się przywlokło blisko do południa. W tém przed gankiem dzyń, dzyń, dzyń! wielki dzwonek u sani, jakiego w całéj okolicy drugiego niema i zajeżdża p. Tadeusz. Mama mówi: „Zosiu, zostań, pojedziesz jutro.“ A ja: „O nie mameczko, nie, nie, nie, nie... pozwoliła mi mamcia dziś pojechać do cioci, to już mamcia pozwolenia cofnąć nie może.“ Na to mama popatrzyła się na mnie *tak*!... wie pani, tak z góry i powiedziała: „Mogę cofnąć i cofam. Zostań! Niegrzecznie by było gdybyś pojechała. Konkurent zajeżdża—a ty czmychasz. Niewidzę powodu aby go odprawiać w sposób tak wyraźny. Prawie go jeszcze nieznasz; jak go poznasz lepiéj, może ci się podoba. To partya nie do odrzucenia“.... „O mamciu, nigdy, nigdy! za nic w świecie go niechcę! choćby miał wszystkie skarby golkondy!“..... bo pani nie wie jaki on nieznośny ze swojemi Shorthornami, Negrettami, pudretami!... Ale mamcia powiedziała: „Zostań“ i nie było rady... No, widzi pani, niby nie było—ale się znalazła. Jakem wyszła do pana Tadeusza z czerwonemi oczętami i chusteczką w ręku i z kwaśną minką jakbym się octu napiła—to nawet p. Tadeusz zaraz pomiarkował, że się coś święci, nastroszył wąsy i prosto z mostu po gospodarsku zapytał, pokazując swoim grubym wskazującym palcem na moje oczy: „Panna *Zofia*.. (wyobraź pani sobie! zawsze do mnie mówi: „panna Zo-fi-ja“ z przyciskiem na *fi*. Już za to samo mogłabym go znienawidzieć!)... Otóż powiedział. „Panna *Zofia* płakała!... czemu panna *Zofia* płakała?“ A ja na to: „Przez pana!“ i nic więcéj. A on roztworzył usta tak szeroko jak wrota swojéj obory i rozkrzyżował ręce. Mówię mu tedy, żem miała właśnie wyjechać do cioci Klimci, żem się niezmiernie tym wyjazdem cieszyła—a w tém on przyjechał i muszę w domu zostać—i dla tego płakałam i będę jeszcze płakać, cały dzień będę płakać. „Ależ panno *Zofio*! zawołał składając ręce jak do modlitwy,—ja niechcę być łez pani powodem i przeszkodą w jéj zamiarach... błagam panią, niech pani jedzie!“ „Niemogę. Mama powiada żeby to było niegrzecznie.“ „Ależ panno *Zofio*! co znowu! niegrzecznie? gdzież tam! Przeciwnie, *zostać* niegrzecznie!“—i pobiegł do mamy i tak zaczął prosić i zaklinać, że mi tylko pogroziła paluszkiem i kazała Stefanowi zaprzęgać...

— Dobrze, moja Zosiu,—przerwała szczebiotce staruszka, ale powiedz mi, zkądże się tu wzięłaś w Paprotce jadąc do Smerczyniec?

— Zaraz... zaraz... To się stało tak, droga pani: kiedy wyjeżdżałam z Suchorębu był mróz świetny, ale zadymki niebyło. Ujechaliśmy może z milę, aż tu, jak nie zerwie się wiatr, jak nie zacznie dmuchać, jak nie zacznie kręcić płatami śniegu i bić w oczy... rozpacz!... Ale to nic jeszcze, to jeszcze mała rozpacz. Zaczęła się dopiéro prawdziwa rozpacz jak Stefan spostrzegł żeśmy zbłądzili. Jechaliśmy i jechali bez końca i trzy razy wracaliśmy do jednéj i téj saméj figury, kręcąc się widocznie w kółko. Kilka razy zaryły się sanie w zaspę śniegu, tak, że Jagna trzymała bułanki a Stefan musiał sanie z śniegu wydobywać. Przewróciliśmy się wreszcie wyjeżdżając z jakiegoś parowu... o wielka była bieda! Nakoniec dojechaliśmy do jakiejś na wpół rozwalonéj chaty, wyszedł cygan i powiedział nam że jesteśmy niedaleko Paprotki... Do Smerczyniec niepodobna było dziś już jechać... a więc... a więc pomyślałam, że mnie może łaskawa pani przyjmie na nocleg?...

— A jeśli zadymka nie ustanie, to cię nawet i jutro nie puszczę!

— O droga pani! gdybyż ta zadymka choć ze trzy dni trwała.

I snadź nowych zapragnęła pieszczot pochlebnica, bo uklękła przed staruszką i całując jéj ręce, główkę na kolanach złożyła. .

— Dawno pani już niewidziała pana Władysława?—zapytała niby od niechcenia zmieniając nagle przedmiot rozmowy. Dziwnie promieniały jéj oczy przy tém zapytaniu.

— Był tu przed miesiącem. Ty nic pewnie nie wiesz żeni się.

Trzymając ręce na główce Zosi, czy uczuła staruszka ten dreszcz tajemny, jaki przy tych słowach przebiegł dziewczynę? Drgnęła biedna Zosia, jakby niespodzianie prąd elektryczny niemile przebiegł jéj ciało—i zerwała się nagle z kolan.

— Żeni się?—zapytała, siląc się na obojętny dźwięk głosu. Ale brzmiał on tak, jakby tchu jéj w piersiach zabrakło. Z wyrazem niewysłowionéj boleści przycisnęła ręce do czoła. Oczy były pełne łez.

— Tak, żeni się!—powtórzyła raz jeszcze staruszka. Ale w brzmieniu jéj głosu także nie było radości.

— Winszuję pani!—wyrzekła Zosia przez łzy z nadludzkim prawie wysiłkiem. Osunęła się na fotel, głowę przyciskając do poręczy. Obiema dłońmi cisnęła serce, aby jéj nie pękło z bólu. Strasznie była blada.

— Niewiem czy się mam cieszyć... choć wszyscy winszować mi będą i może zazdrościć—mówiła staruszka. Dziwne to, bardzo dziwne ożenienie!

— Z kim się żeni syn pani?—a łzy jak groch padały na poręcz fotelu.

— Z panną Sarską.

— Z hrabianką?—zapytała drżącym głosem.

— Tak, z córką pani Julii, z Horsztyńca.

— To świetna partya!—rzekła po chwili milczenia Zosia, czując się obowiązaną coś powiedzieć.

— Świat tak powie. Ale ja, niewiem sama czemu, nie cieszę się tak, jakbym może powinna. . Ja niewiem czy on będzie szczęśliwym...

— Jeśli ją kocha—zaczęła Zosia połykając łzy.

— Czy on ją kocha?—zamyśliła się staruszka. Ona go kocha szalenie... ale czy *on* ją kocha... Ja niewiem czy ją kocha... niewiem... może to takie dzisiejsze kochanie... Mój Ernest, ale taki Ernest jeden był tylko na świecie!... jaka to różnica, ojciec i syn!... Dziwna to młodzież dzisiejsza! dziwna!... Jacy oni chłodni! jak w nich mało serca, uniesień, zapału!... Władzio jest najpoczciwszym chłopcem, dobrym synem—a jednak... jednak, ja niewiem czy on zdolny ukochać całém sercem. Ja niewiem nawet czy on *mnie* kocha...

— Chryste Jezu! rany boskie! a co téż to jejmość wygaduje za *ferezyje*!—zawołała Kachna, przesuwając się ostrożnie przezedrzwi z dwoma szklankami kawy na dużéj tacy, chlebem i masłem. Obraza boska! gdzieżby to panicz jejmości nie kochał!... A kiedy tu był ostatnim razem u jejmości... nie widziała ja?... eh, darmo gadać, kiedy bo jejmość z przeproszeniem ślepa, to i nic nie widzi... A to *rychtyk* jak się pożegnał z jejmością i jejmość myślała że on już poszedł... oto tak... ej, kiedy muszę tacę wprzódy postawić... Stoliczek przed jejmością za mały, taca się nie zmieści. Postawię na komodzie tymczasem... Oto tak było: nibyto panicz wyszedł, a stał tu, tu koło drzwi—a z oczu mu woda ciekła, o tak: kap, kap! a ręką *ino* ocierał i patrzał na jejmość... ot tak!... eh, kiedy bo jejmość nie widzi jak ja pokazuję... no, ale panienka widzi... to jejmości powie po *chrajcuzku*, bo to się po polsku nieda powiedzieć, *ino* pokazać jak to było... Niechże panienka uważa, to ja pokażę. Ot tak, tu przystanął i potém dwa palce położył sobie *na gębie* i pocałował i potém tak ręką ruszył jakby trzymał wróbla albo sikorkę w tych palcach i prosto chciał na jejmość puścić... o tak: cmok! frrrrr!... eh, nie tak jeszcze... bo ja prosta dziewucha, to ja niepotrafię... To bardzo ładnie panicz zrobił, jak się patrzy! aż się coś człowiekowi dziwnego robiło... Zaraz ja to lepiéj pokażę, *ino* kawy jejmości podam i panience... No, bierzże jejmość do ręki szklaneczkę... Co? może nie przysłodzona? Cukier jest, trzy kawałki, tak jak jejmość lubi. A tu chléb z masłem.

No, a panienka niech bierze... Matko najświętsza! a panienka czego płacze? co się to panieneczce stało?...

— Ale zdaje ci się tylko, poczciwa Kasiu: ja nie płaczę.

— *Ola* Boga! jużci widzę! przecieżem nie ślepa jak jejmość... z przeproszeniem.

— Mróz mnie w oczy wyszczypał, dla tego mnie teraz bolą..,

— Ohoho! mróz!... mróz! Nie taka ja głupia, nie mróz to panienkę wyszczypał, ale coś *wedle* serca ją szczypnęło... Po co to udawać! lepsza najgorsza prawda jak najlepsze kłamstwo... no, niech mi panienka znaków nie daje i na jejmość nie pokazuje... bo ja się z panienką nie będę zmawiać, ażeby jejmość oszukać... z przeproszeniem... Jeżeli jejmość panience jakie przykre słowo powiedziała ..

— Ale Kasiu, śmieszna jesteś!—przerwała jéj Zosia.

— Śmieszna, ja śmieszna... ale panience nie do śmiechu dzisiaj, *ino* do płaczu... Czegoś panience serduszko się kraje, że ledwo w głos się nie rozbeczy... czegoś jéj tak żal, tak żal! okrutnie jéj żal czegoś, aż litość człowieka bierze...

Zosia próbowała się roześmiać. Po udanym jéj śmiechu mogła już i ślepa odgadnąć, że łzy cisną się jéj do oczu.

Kachna wzruszyła ramionami.

— Ej, po co to udawać! po co to udawać komedye panienko!

— Idźże już Kachno,—przerwała jéj staruszka, tak mi Zosię prześladujesz, że gotowa tu już drugi raz nie przyjechać. Pamiętaj lepiéj o kolacyi.

— No idę, idę już!... ale co prawda to nie grzech.

VI.

— Czyś ty naprawdę płakała, Zosiu?—zapytała staruszka po odejściu służącéj.

— Nie, pani; czemużbym miała płakać?

Zamyśliła się staruszka. Pokręciła siwą głową niedowierzająco. Smutny jakiś uśmieszek przemknął jéj po twarzy.

Milcząc piły kawę. Po chwili odezwała się Zosia:

— Zabawna dziewczyna! jak ona komicznie odegrać chciała rolę pana Władysława! jak ona się oburzyła na niedowiarstwo pani w jego przywiązanie!

— Poczciwa Kachna!... ale ty niewiesz, jaki on ma szczególny dar ujęcia sobie wszystkich. Jego *wszyscy* kochają: koledzy jego szkolni skoczyliby w ogień za niego, słudzy przepadają za

nim... Ja się nie dziwię że jego narzeczona taka w nim szalenie rozkochana...

— A jednak, pani niewierzy aby on ją równie kochał?

— Niewierzę... nie. On sam zresztą nie mówi tego aby był w niéj zakochany... Ona szaleje za nim, a on? wiesz, jak się wyraża o swéj narzeczonéj? „mam wiele dla niéj przyjaźni, przywiązałem się do niéj, bardzo ją lubię a *nawet* kocham prawdziwie“... Dziwnie to chłodne, to „nawet“!...

— Czemużby się z nią żenił, gdyby jéj nie kochał? Zanadto go cenię, abym mogła przypuścić, że dla jéj tytułu albo majątku!...

— Zapewne. . zapewne... I ja daleką jestem od tego, aby go o tak niegodne posądzać pobudki. Mój syn nie sprzedałby się za wszystkie korony świata. A jednak—ja ci powiem, że mimo całéj niezawisłości jego charakteru i jego postępowych przekonań, ten jéj tytuł i milionowy majątek—nie był bez wpływu na jego postanowienie. To jéj miłości nadaje w jego oczach większą wartość, urok jakiś, któregoby nie miała miłość ubogiéj dziewczyny... Czy ty to pojmujesz?... Otóż to właśnie niepokoi mnie najbardziéj i każe mi powątpiewać o jego szczęściu. Co to za szczęście bez prawdziwéj miłości... Kiedy był u mnie, spytałam go wprost: Mój Władziu, powiedz mi, gdybyś był dawał lekcye historyi nie pannie Hieronimie, ale jakiéj ubogiéj dziewczynie, a ona zakochała się w tobie do szaleństwa i sama ci się oświadczyła...

— To ona sama mu się oświadczyła?

— Sama.

— A pan Władysław?

— Władzio jéj odpowiedział, że nie są dla siebie stworzeni, że dzieli ich nieprzebyta przepaść majątkowego położenia i uprzedzeń społecznych i przestał bywać w ich domu.

— Jakże się więc stało...

— Panna, która od dzieciństwa była zawsze słabowitą i ma zdrowie bardzo wątłe, wpadła w nieukojony smutek i rozchorowała się śmiertelnie. Wtedy, widząc rozpacz matki, która ją namiętnie kocha, na jéj prośby i zaklęcia wyznała jéj wszystko. Hrabina bez namysłu napisała bilet do Władzia, prosząc, aby przyszedł. Wymówił się. Pisała drugi raz, zaklinając go, aby przyszedł dla porozumienia się w sprawie „równie dla niego ważnéj, jak dla niéj.“ To były słowa jéj listu. Wiedząc o chorobie panny i domyślając się o co idzie—nieposzedł. Ale w kilka dni późniéj, otrzymał trzeci list, z wiadomością, że panna, będąc śmiertelnie chorą, dysponowała się na śmierć i pragnie się z nim pożegnać...

— Wtedy poszedł oczywiście...

— Poszedł—i wrócił do domu jako jéj narzeczony... a we dwa tygodnie panna Hieronima wyzdrowiała.

— Ah!—westchnęła ciężko panna Zofia, to więc ofiara była z jego strony! to go zupełnie tłómaczy... Ale ona, ona? jak mogła przyjąć taką ofiarę?... A jeźli ją przyjęła, sądząc że jest umierającą, to czemuż mu teraz słowa nie zwróci, wiedząc że on jéj nie kocha?...

— Ona tego nie wie. On jéj tego nie powiedział, kiedy mu się sama pierwsza oświadczyła. Tłómaczy się, że toby było zbyt niegrzecznie, prawie impertynencyą, na gorące oświadczenie miłośne: „kocham cię“, odpowiedzieć pannie: „a ja ciebie nie.“ Sądził, że ta gwałtowna miłość jest zwykłym przemijającym kaprysem romansowéj panny i że jéj wkrótce z głowy uleci. Powiedział jéj więc wtedy na pociechę, że ją także kocha od dawna, ale że należy ugiąć się w obec dzielących ich przesądów, wyperswadować sobie i rozejść się na zawsze.

— To źle!... Ale czemuż dzisiaj nie powie jéj prawdy? Czyż i dla niéj nie lepiéj, aby się teraz dowiedziała, że jéj nigdy nie kochał, niż kiedyś dopiéro, gdy już będzie za późno...

— On się czuje związany aaném słowem... Pochlebia mu to zresztą, że się stał przedmiotem, już nie miłości, ale jakiegoś bałwochwalczego ubóstwienia, że za nim szaleje rozmarzona dziewczyna, córka jednéj z najznakomitszych rodzin w kraju, milionerka, o któréj względy dobijali się synowie najarystokratyczniejszych domów... „Gdybym zerwał—powiada mi—onaby umarła. Umarłaby z pewnością! Taka wątła, chorowita, drażliwa, nerwowa! Chłodniejszy wyraz twarzy, słówko obojętne z méj strony, przyprawia ją o płacz, o spazmy, o rzeczywistą—a nie udaną chorobę. Zerwać? nigdy! czyż nie byłoby to nikczemnym egoizmem, okrucieństwem nawet? Czyż mogę zerwać, choćbym jéj nawet, jak mama twierdzi, w saméj rzeczy nie kochał?... Ale nie, ja mamie zaręczam, że ja ją *bardzo lubię* i *prawdziwie nawet kocham...* Czyż to nie dosyć? Jak jéj nie kochać, kiedy ona mnie tak kocha?“...

— On ma słuszność, droga pani, on ma słuszność!—odezwała się Zosia i ukryła twarz w obie dłonie.

— Tak... tak!—powtórzyła zwolna staruszka:—on ma słuszność!... ale powiedz mi Zosiu, powiedz sama: czy on może być z nią szczęśliwy?...

Milczeniem odpowiadała Zosia tłumiąc w sobie płacz. A w ociemniałych oczach staruszki błysnęły dwa światełka, dwie duże łzy.

Poczciwa dziewczyna chciała pocieszyć strapioną matkę i na ustach miała już banalny zwykły frazes o szczęściu jakie daje poświęcenie... Ale zamilkła.

We drzwiach pokoju stanęła Kachna.

VII.

W progu już zaczęła wrzeszczéć lamentującym głosem: Jejmość! jejmość!—i z lamentem tym wpadła spłakana, zadyszana, na środek izby.

— Co się stało?—zapytała staruszka i Zosia równocześnie, Zosia z wyrazem przerażenia, staruszka dość spokojnie. Snadź przywykła była do nieuzasadnionych alarmów swéj służącéj.

— Ach, jejmość! nieszczęście!... Józek... ten z pod młyna... pojechał z Wojciechową dzisiaj rano do kościoła... z maleństwem, co mu się wczoraj urodziło... ażeby proboszcz... jak się przynależy ludzkiemu dziecku... ochrzcił, bo Wojciechowa ma dużego już chłopca, co się i sam odkarmia mlekiem i kaszą... A taki się mróz wszczął i zadymka... a Maryna to taka była chora jak Józek jéj dziecko brał to i rzekła: ja się was niedoczekam!... A i zgadła... ba, nieprawda, niezgadła, bo juźci się doczekała jak wrócili... wrócili proszę jejmości i tego pijanicę zabrali na drodze boby był zmarzł na wieki. Amen... a dziecko zamarzło i umarło jak wracali z kościoła... nieboractwo prosto do nieba pójdzie... *ino* go się doczekała i powiada: Józek! jesteś? ja umieram! a ochrzczone? Ochrzczone! powiedział. A *Maryna* jéj? *Maryna*, odpowiedział... a nieprawda, bo jéj dał ksiądz *Hanka*, ale że ona chciała, żeby jéj było Maryna, to powiedział *Maryna* aby jéj markotno nie było... bo widział że już, już *ino* trochę a skończy... a Bartoszowa nad nią z gromnicą stoi... to jéj powiedział że Maryna... A jakże ona teraz będzie dziecko wołać na tamtym świecie?—to ona go nieznajdzie!... Ale tak jéj powiedział. A na to woła: daj mi ją, daj, niech ją *ino* jeszcze obaczę i pocałuję!... A Wojciechowa na to: Po co byście dziecko całowali kiedy macie umierać! Ach, niechże pocałuję! Dalibyście pokój! i niechciała jéj dać. Aniołowie święci będą myśléć że je chcecie zabrać ze sobą. Ale Maryna koniecznie: Dajcie i dajcie, niech się ino popatrzę. Dajcie prędko bo już umieram. A jak się *ino* popatrzyła i obaczyła że już umarło, jak nie wrzaśnie... słyszy jejmość? to wrzasła jak nieboskie stworzenie... ale tak wrzasła, że aż ludziom mróz po kościach poszedł... i wrzasła i ręce przed siebie wyciągnęła, gromnicę Bartoszowéj z ręki wytrąciła, i już nic... ani tchu... Jezu, Jezu! straszne takie konanie, Matko Najświętsza ratuj!... Jezu! Jezu! takem się spłakała!... Tak to dziewce

za mąż iść... a każda by chciała... Oj, co prawda to prawda! straszne sądy boskie!... *Rychtyk!* byłabym na śmierć zapomniała: słyszy Jejmość? ten pijanica to przez cały ten czas leżał na sankach przed chałupą, bo ludzie o nim zapomnieli... dopiéro się teraz Wawrzek nad nim zmiłował i przywiózł go tu, tośmy go do stajni zanieśli a nie rusza się *ino* czasem mruczy jak niedźwiedź, a pijany, jak *sztok*... a dobrze że torby nie zgubił i listy są... zaraz jejmości przyniosę, *inom* zapomniała z wielkiego płaczu w kuchni...

I wyszła.

Nie wiedziała snadź dobrze, gdzie się jéj listy zapodziały, bo sporą chwilę dała czekać na siebie. Ochłonęły tymczasem obie panie z doznanych wrażeń jéj opowieści.

— Jakież to okropne zdarzenie! — zawołała Zosia. — Jakież to straszne tragedye dzieją się w tych chatach!

— Wszędzie się dzieją tragedye, moje dziecko: ta tylko różnica, że my w nieszczęściu mamy pociechy im niedostępne.

— Tak pani, ale nas za to tyle rzeczy boleśnie dotyka, których oni czuć nie są zdolni.

— Zapewne. Ale ileż natomiast drobnych przykrości znosimy ze śmiechem, które dla nich, jak dla dzieci, prawdziwém są nieszczęściem.

— Dziwna to rzecz przecie, kochana pani, że nic tak nie koi własnych naszych smutków jak odczuwanie cudzego nieszczęścia.

— Zosiu droga! to tylko ci, co kochać umieją, doznają téj pociechy w smutku, że cudza boleść łagodzi ich własną, a cudze szczęście ich uszczęśliwia... Ach, ta Kachna, ta Kachna! ona gotowa jeszcze zgubić list mego syna!

— Pani się spodziewa listu od pana Władysława?

— Niemiałam go od jego wyjazdu. Pisuje do mnie tak rzadko! Ale on wie, że niemogę często posyłać na pocztę—a choć mi list przyniosą, to czasem i przez dwa tygodnie niemam tu nikogo aby mi odczytał. Będziesz dziś moją lektorką Zosiu?

— O z największą ochotą!...

Przyniosła Kachna dwa listy, podała je do rąk swéj pani.

Pochwyciła je staruszka skwapliwie, macierzyńską radością przyoblokły się szlachetne jéj rysy. Zważyła je oba staruszka na dłoni, każdy z osobna, drżącemi rękoma obracała je w koło: mierzyć się zdawała ich kształt i wielkość. Przesuwała palcami po adresie, jakby czując chropowatość rozpoznawała litery i charakter pisma.

— Ten gruby—rzekła, jakby sama do siebie—to nie od niego! On tak krótko pisuje.. Czworograniasta koperta—nie, to nie od Władzia.. *Ten* od niego, ten podłużny!... Ale czemu lakiem zapie-

czętowany? On zawsze listy zakleja... Pismo na adresie jakby piaskiem było posypane, chropowate... Czy to piasek się przesypuje?... Tak, to piasek!... on nieużywa piasku... Co to jest?... To może nie od niego?... Ale nie, to przecież od niego! od niego!... Ta sama wielkość—a marka pocztowa przylepiona po lewéj stronie... to on! z pewnością on!

I bawiła się listem, jak dziecko trzymające w ręku kasową asygnatę, któréj niezna jeszcze wartości. Nie puszczała go z rąk, nie oddawała Zosi do czytania, jakby nie chciała rozłączyć się z tym skarbem dla niéj tylko przeznaczonym, jakby dotykanie się go nierównie milszém jéj było od dowiedzenia się jego treści.

— No, czytaj teraz Zosiu!—i podała list wspaniałomyślnie z takim wyrazem twarzy, z jakim bogacz zaprasza biednych ludzi, aby zasiedli do jego sutéj biesiady.

— Pani—rzekła Zosia—świecy nie ma. Już ciemno.

— Ciemno?—zapytała ze zdziwieniem ślepa.—Mnie się zdawało, że słońce świeci... Powiedz-że Kachnie, aby ci dała świecy... Ach, czy się tylko znajdzie świeca u mnie... bo widzisz moja droga, ja—niepotrzebuję.

Na szczęście znalazła się świeca u Kachny.

Zosia postawiła ją na stoliku i z pośpiechem rozłamała pieczątkę listu.

— „Kochana Siostro...“ to nie od pana Władysława!... Może ten drugi?...

Staruszka rozczarowana, podała jéj drugi list.

— O, *ten* od pana Władysława!—zawołało poczciwe dziewczę wesoło, rozerwawszy kopertę.—Cztery całe ćwiartki!...

— Cztery całe ćwiartki—powtórzyła matka z radością.

— Drobno zapisane! — dodała Zosia uszczęśliwiona szczęściem staruszki.

— Nigdy mi jeszcze tak długiego listu nie napisał!

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo!...“

— Nie... nie! czytaj pierwéj list od mojéj siostry... list od syna na końcu; już po nim nie chcę nic słyszéć. Ten-by mi potém zepsuł wrażenie Władziowego listu, zatrułby mi radość. Skoro wiem, że Władzio pisze, tom już spokojna o niego. Czytaj list mojéj siostry Zosiu.

VIII.

Zosia czytała:

— „Kochana Siostro! Piszę do Ciebie, aby Ci...“ ach, jakież nieczytelne pismo!—„aby Ci powinszować, że Twój syn taki świetny

los robi żeniąc się z hrabianką, która ma taki milionowy majątek. Ludzie o tém dawno gadali, ale ja temu wierzyć nie chciałam, żeby on miał taki praktyczny rozum i potrafił hrabiance głowę zawrócić swoją osobą. Nie gniewaj się, ale ja zawsze myślałam, że on taki sam będzie jak jego ojciec i jeszcze i tę paprotkę straci, co ojciec jego nie stracił, bo go zabili w pojedynku..."

— Proszę pani, może nie czytać daléj tego listu?

— Czytaj Zosiu, czytaj do końca. To rzecz zwykła.

— „Ale przypomniał sobie przecie, że ma ciotkę i choć pół roku u nas nie był, choć na téj saméj ulicy mieszka, to teraz był i powiedział, że to wszystko prawda i że ślub będzie w styczniu przyszłego roku jak pan Bóg da doczekać. Winszuję Ci moja kochana Siostro. Ja się nie dziwię, że on u nas nie bywał, bo co jemu ze mnie, kiedy takie wielkie miał projekta. To i jednemu na tysiące się nie uda, chociaż dziś hrabianki dużo łatwiejsze jak wprzódy. Moi synowie takiego szczęścia nie zrobią, choć mąż mój przy magistracie i ma swoje wpływy. Nie chcieli się uczyć, to i cóż robić? nie mogą zrobić karyery. Władzio w Ciebie się wdał a oni we mnie—to i Ty poszłaś za obywatela a ja za urzędnika, to i z nimi tak samo. Władzio z hrabianką się żeni, a mój... mój..."—nie mogę przeczytać...

— Felunio zapewne?

— Nie...

— Tybuś?

— A tak, Tybuś!... „a mój Tybuś zakochał się w ekonomównie i awantury wyrabia. Kamilcię wydaliśmy za poczmajstra, to przynajmniéj tyle nam się poszczęściło, ale co do Stefci i Berci to ich nikt niechce, choć niemało-śmy już na traktamenta wydali i dużo nas to kosztowało. Felunio ustatkował się i może świetny los jeszcze zrobić, bo bardzo ładny chłopiec, ale do hrabskich domów nie będzie się wciskał, gdzie go nie proszą. Gdyby Władzio miał dobre serce i chciał dla nich być bratem, jak powinien, toby i moi synowie los zrobili, ale jemu to nie w głowie, on tylko o sobie myśli. Może to i dobrze tak, takie czasy postępowe i ja się jemu nie dziwię. Jakie odebrał wychowanie to taki jest..."

— Ah, to niegodziwe!—zawołała Zosia, przerywając czytanie listu. Po chwili czytała daléj:

...„ale jaki tego będzie koniec, tego człowiek nie zgadnie. Nie jednemu się wiodło, wiodło, a potém się urwało. Dlatego nie trzeba nigdy ubogiemi krewnemi pogardzać. Prawda, kochana Siostro? Mogłabyś téż to jako matka Władziowi Twemu powiedzieć. Choć się z hrabianką ożeni, to przecież sam jeszcze przez to hrabią nie zostanie. Powinien o tém pamiętać. Ale ja się na niego nie żalę.

Bardzo grzeczny, kiedy przecież choć raz na pół roku do nas przyszedł, aby nam powiedziéć że się żeni, a potém i drugi raz jeszcze był dowiedziéć się, jak się mam, kiedy mu Felunio powiedział po jego powrocie z Paprotki, że było u mnie konsylium, bo już miałam umierać. To już drugie w tym roku konsylium dla mnie, a to ogromnie kosztuje, a ta kuracya to tyle pieniędzy zabiera, że niewiedziéć zkąd wziąść, choć poczciwy Bonuś robi co może. A wszystko o te nogi i nic nie pomaga a puchlina coraz więcéj idzie w górę. Ale żeby tylko wiosny dał p. Bóg doczekać—tobym pojechała do kąpiel to wszystko będzie dobrze a może i dla Stefci znalazłby się tam konkurent, bo tutaj go nie ma. Tylko, że na to wszystko pieniędzy potrzeba a poczciwych ludzi, choćby między najbliższymi nawet krewnymi, to mało na świecie. Felunio także potrzebuje, żeby się pokazać w świecie, bo inaczéj losu nie zrobi, a skąd wziąć? Prosiłam, prawdziwie z upokorzeniem własném, Twego Władzia o 200 guldenów, ale on mi odmówił i powiedział że nie ma. I Felunio poczciwy go także prosił i także mu nie dał i powiedział że niema. A przecież to nie może być, bo to przecież jasne jak na dłoni, że to nie bez tego, aby jemu już i teraz co niedawali, bo by się przecie stara hrabina wstydziła za przyszłego zięcia, gdyby nie występował w świecie jak na hrabskiego zięcia przystoi. Niechciał i koniec. Proszę Cię zatém kochana Siostro, kiedy Ci los tak poszczęścił, to nie obrażaj pana Boga, bo szczęście się może odwrócić, i pomóż mi przecie, bo wiem że i o parę tysięcy nie byłoby wam teraz trudno. Ja wiem, że Ty dobra siostra a jak się Felunio ożeni, to *jak dzieci moje kocham*" (podkreślone) „zaraz Ci oddam z posagu jego żony, nawet z procentem jaki będziesz chciała. A jakby się nie ożenił, to przecież stać nas jeszcze z czego oddać, a mąż mój ma oprócz swojéj pensyi różne dochody. Tylko powiedz kochanemu Władziowi, którego jak ciotka prawdziwie kocham, żeby starszych słuchał i tak się nie puszył i swoją dumą ludzi nie obrażał po mieście, bo Felunio powiada, że straszne rzeczy o nim opowiadają, a kiedy komu na myśl przyjdzie, to *gotowi jeszcze jaką anonimę na niego napisać do hrabiny i będzie po wszystkiemu...*" (te słowa podkreślone!) „Proszę Cię raz jeszcze kochana Siostro, o te nędzne 200 guldenów, które mi Twój syn odmówił, choć widział jakie mam nogi opuchłe i że potrzebuję na kuracyą. Ściskam Cię i całuję moja najukochańsza Siostro z całego serca mojego. Bądź zdrowa i odpowiedz mi prędko o co Cię proszę. Każ komu napisać, abym wiedziała czego się mam trzymać. Niech Cię Bóg ma w swojéj świętéj opiece. Twoja kochająca Cię Siostra *Malwina...*" ach daruj droga pani, ale gdybym listu tego z rąk pani nie otrzy-

mała, to nigdybym nie uwierzyła, że to siostra pani tak pisze, tak myśli, tak czuje!...

— Rodzice nas odumarli za młodu—odparła staruszka—każda z nas wychowywała się gdzieindziéj, cóż dziwnego żeśmy niepodobne do siebie... Ale niemówmy o tém raczej!... Co pisze mój syn? Czytaj Zosiu, czytaj!

IX.

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo! Poprawię się droga Mateczko i będę odtąd pisywać częściéj i dłużéj!... Temi słowy Cię pożegnałem moja najdroższa, a data niniejszego listu mego niech Ci świadczy o szczeréj chęci poprawy..."

— Jaka data listu?

— Ach, prawda! nieprzeczytałam daty u góry: 26-go listopada... „Przedwczoraj rano Cię pożegnałem, dziś po południu znużony nieprzespaną w szybkowozie nocą, stanąłem dopiéro na miejscu i już piszę. Nie dziw się droga mateczko, że pisując do Ciebie tak rzadko, tak krótkie pisywałem listy, tak *oschłe* jak się wyraziłaś. Trudno to, pisując raz na miesiąc, w jednym liście streścić to wszystko co się w ciągu kilku tygodni robiło, myślało czuło. A choćby się nawet udało zapamiętać i streścić, to każde streszczenie z natury rzeczy musi być oschłém—jak spis rozdziałów jakiéj, choćby krwią serdeczną pisanéj, książki.—Powiedziałaś mi, że list syna do matki powinien być zwierciadłem jego duszy. Cóż, kiedy dusza ludzka to nie posąg z marmuru ani idea wieczyście z sobą identyczna! Dusza—to rzecz żywa, a życia istotą ruch ciągły i ciągła zmiana. Niech fotograf zdejmie wizerunek téj saméj okolicy w różnych porach dnia i roku, to i poznać będzie trudno, że to jeden i ten sam krajobraz. Niech się list stanie zwierciadłem na ową godzinę pisania, to nie poda wizerunku piszącego, ale tylko jednéj życia jego godziny.—Wiem ja o tém z doświadczenia i dla tego mi to tak trudno, pisując rzadko do Ciebie Mateczko, wynurzyć się z mojemi myślami, uczuciami, wywnętrzyć się przed Tobą z wszelkich tajników duszy, rozserdecznić się i rozpisać. Postanowiłem tedy pisać do Ciebie codzień kilka wierszy a gdy się zbierze listu takiego parę ćwiartek—odesłać. List taki, w którym z całém synowskiem wylaniem chcę Ci się wiernie codzień ze wszystkiego wyspowiadać, powie Ci więcéj o mnie, niżbym ja sam ustnie powiedzieć Ci zdołał. Wiele rzeczy łatwiéj napisać niż powiedzieć."

„Wierz mi Mateczko: powiedziałaś mi, że o Tobie zapominam, a ja teraz stokroć częściéj i stokroć goręcéj czuję potrzebę wyspowia-

dania się przed Tobą ze wszystkich myśli moich, zwierzenia się Tobie ze wszystkich mych smutków i żalów i pociech... Czemu tak? spytasz. Oto dlatego, że tak dziwna padła mi dola, iż prócz Ciebie, czuję to, nie będę miał się już w życiu przed nikim spowiadać, ani ulgi szukać w niczyjem sercu nie będzie mi już wolno.“

„Powiedziałaś mi Matko, żem ja od lat dziecięcych zawsze przed Tobą nieszczery, że staram się zawsze zataić wszystko to, coby Cię mogło udręczyć. Powiedziałaś mi, że więcéj Cię to dręczy domyślać, się przeczuwać—niż wiedzieć, choćby rzecz najsmutniejszą. Prawda, żem niegdyś taił niejedno przed Tobą, aby Cię nie zmartwić, ale wierz mi żem nigdy nie dopuścił się kłamstwa. A dziś, dziś ja umiem Cię pojąć już całą—dziś objąć już zdołam całą wielkość Twéj duszy: Tyś jedyna na świecie może kobiéta, przed którą synowi wszystko wyznać się godzi, ja nietylko kocham Cię szalenie, ale ja Cię ubóstwiam. Będę zupełnie szczery przed Tobą.“

„Jeden mógłbym mieć tylko powód wstrzymujący mnie od szczerości w mych listach—a tym jest wątpliwość, kto Ci listy moje czytać będzie. Gdybym był pewny, że będzie to zwykła Twoja lektorka, szanowna pani Seweryna, to możebym je tak pisał prawie, jakbyś Ty je sama jedna tylko czytać miała, ale wiem, że pani Seweryna bardzo rzadko Cię teraz odwiedza, objąwszy Suchoręb we własną administracyą. Pani Seweryna umiałaby dochować tajemnicy, gdyby się kiedy jaka w moim liście znalazła—a nielękałbym się odsłonić przed nią moich słabych stron, bo wszak mnie ona zna od dziecka. Nieradbym jednak, aby moje listy czytały panie z Podsośnia, a tém mniéj p. Marceli. Panu Adamowi także ich nie dawaj Mateczko, ani panu Marjanowi, ani nikomu z całego tego gniazda.“

— Proszę pani—przerwała Zosia czytanie listu—może mi daléj czytać nie wolno? O mnie nie ma wzmianki.

— Moja Zosiu—rzekła staruszka po krótkim namyśle—Władzio pozwala aby je czytała Twoja Matka. A ty taka sama jak ona. Ja tobie równie ufam. Czytaj dziecko drogie! On o tobie dlatego tylko nie wspomniał, że ty zawsze z matką przyjeżdżasz i nigdyś dotąd moją lektorką nie była. Wszak ty nikomu nie powiesz co z tobą mówiłam o zamierzoném ożenieniu mego syna, ani tego, coby on sam pisał?

— O zaręczam ci pani, nikomu!... zawołało wzruszone dziewczę.

I czytała:

„Co do niniejszéj mojéj posyłki, jestem o jéj los zupełnie spokojny. Wstąpiłem do poczciwego naszego doktora i uprosiłem go, aby Cię odwiedził około 12-go grudnia i jadąc do Paprotki zabrał

mój list. Obiecał mi to święcie a co on przyrzeknie, to pewniejsze od pitagorasowéj tabliczki. Jako czytelnikowi niniejszego mojego listu składam mu tu raz jeszcze serdeczne podziękowanie za tę przysługę oddaną mnie i Tobie, jedną z tysiąca jakie w ciągu swego życia nam oddał, a których mu nigdy niczem wywdzięczyć nie zdołamy. Przed nim, jak mój ojciec tak i ja żadnych nie mam tajemnic."

„Rozpisałem się szeroko, a nic Ci nie doniosłem. Północ już dochodzi, oczy mi się kleją. Powiem Ci więc dziś krótko, to co chciałem szczegółowo opowiedziéć. Przyjechałem tu o czwartéj. Przebrawszy się—pierwszą osobą, którą spotkałem na ulicy, był Felunio, nieznośny Felunio. Obcałował mnie i obślinił i jak zwykle miał do mnie *wielką prośbę*. Mateczka wie, co u niego znaczy *wielka prośba*. Oczywiście nie dałem nic. Mam i tak u niego do 40 guldenów, ciężką pracą zarobionych. Próżniaczysko! stara się teraz o bogatą kotlarzównę, ale ona go niechce. Usłyszawszy odemnie *verba veritatis* powiedział mi, przypomniawszy sobie przy pożegnaniu, najprzód, że panna Idalia zaangażowana do Warszawy, a potém jeszcze sobie przypomniał, że jego matka była przed dwoma dniami umierającą i zwołano do niéj konsylium. Po dokonanéj operacyi ma się ciotka znacznie lepiéj. Poszedłem natychmiast do niéj, bo nie chcę na nową burę od mateczki zasłużyć. Siedziała w fotelu i robiła pończochę jak zwykle, a usta jéj się nie zamykały. Skargi i narzekania na wszystkich żywych i umarłych sypały się jak z rogu obfitości a mnie się dostało docinków najcięższego wagomiaru ze dwadzieścia. Nikogo nie oszczędzała, dostało się nawet mężowi, czyli jak go nazywa, Bonusiowi. Felunio wyszedł jeszcze najlepiéj z tego gradobicia. Nie uwierzyłaby Mama, jaka ciotka teraz zła: kto jéj nie widział od czasu jéj choroby, wyobrazić sobie tego nie potrafi. Dawniéj przecież taką nie była. Doktorowie powiadają, że to zły bardzo symptom choroby i zły wróżą koniec. W téj chwili niebezpieczeństwo zdaje się być uchyloném, ale za parę tygodni może znowu powrócić, a wtedy prawdopodobnie nie byłoby już ratunku. — Zabawiłem u ciotki dłużéj nad zamiar: kuzynka Bercia popisywała się z arją *Pięknéj Heleny; W lasku Ida trzy boginie*, Stefcia zaś wymagała odemnie z trudną do opisania natarczywością, abym jéj opowiadał wszystkie szczegóły mojego, jak się wyraziła, *romansu*. Obie coraz brzydsze, ale Stefcia ma nieco naturalnéj gracyi, ale kiedy chce o czemś powiedziéć, że to niedorzeczność, czyni to za pomocą pewnego charakterystycznego gestu, który mi przypomina śliczną naszą sąsiadkę, pannę Zofią."

Zapłoniła się Zosia, zaskoczona tak niespodzianą o niéj wzmianką. Mimowolny przestanek w jéj płynném czytaniu zabawił staruszkę.

— Widzisz Zosiu — i o tobie mowa!

Ale jéj ścisnęło się serce żalem. Czytała dalej:

„Wuja Bonusia z początku nie było w domu w czasie moich odwiedzin. Przyszedł dopiero późniéj. Przyszedł z jakiéjś piwiarni, co czuć było aż nadto po rozlegającéj się piwiarnianéj woni, a po kilku słowach przywitania wziął się do obcinania paznokci. Używał do téj operacyi jakichś szczypczyków, zamykających się z szczególniejszym zgrzytem, a po każdem zgrzytnięciu takiém odskakiwał w górę okrawek pazura i uderzał, to w lampę, to w twarze przytomnych osób. Zaledwie skończył tę robotę, zabrał się do drugiéj, do dłubania piórkiem w zębach. Skrobał po nich tak głośno, że aż mrowie mnie przechodziło, choć nie należę do nerwowych ludzi. Muszę Mamie przypomnieć dla uzupełnienia obrazu, że zęby ma prawdziwie przedpotopowéj wielkości i posiada jakiś muszkuł, którego zapewne braknie innym ludziom, a za pomocą którego, potrafi tak ściągnąć górną wargę w górę, że jéj prawie nie widać... Pamięta Mama tę oryginalną jego postać?... Do rozmowy się nie mięszał, czasem tylko przerywał swoje zajęcie jakim wykrzyknikiem nie artykułowanym, albo wtrąceniem niedorzecznem swego przysłowia: *kulą w płot!* Ach, co to za nieznośny człowiek!“

„Wyrwawszy się nareszcie ztamtąd, spieszyłem do mojéj narzeczonéj, choć przyznam się Mateczce szczerze, strasznie mi się już niechciało. Czułem, że wypada pójść w dzień mego powrotu ze wsi—i zrezygnowany byłem pójść. Na moje szczęście czy nieszczęście—spotykam .. nie zgadłaby Mama kogo... oto, mego najlepszego i najserdeczniejszego przyjaciela: Jasia! Po pięciu latach niebytności wyrwał się od swych zajęć w Warszawie i przyjechał do nas na dni kilka. Pojmuje Mama, żem już do Sarskich nie poszedł i cały wieczór spędziłem z Jasiem. Przecież przyjazd tak dawno niewidzianego przyjaciela, którego jak brata kocham, może mnie rozgrzeszyć. Z nim tak rzadko widywać się mogę, a z nią będę całe życie razem, zawsze razem aż do znudzenia. Rozpytywał mnie z serdecznem zajęciem o Mamę, o nasz dom, o wszystko. Gdym mu powiedział że się żenię, rzucił mi się z radością na szyję i zawołał: A, to się cieszę! Spodziewałem się tego! — Spodziewałeś się? zapytałem zdziwiony. — Blondyneczka jak łania, o jasno-niebieskich oczach, nieprawdaż?— Nie, rzekłem: smagła bruneta... i opowiedziałem mu dzieje moich zaręczyn. Nie bardzo mu się to wszystko podobało i rzekł w końcu: Jabym był wolał... i urwał. Cobyś był wolał?—Nie chciał mi powiedzieć. Może i jabym był wolał?... ale nie ma o tém co mówić. Już po północy. Dobranoc.“

(d. n.) *Autor „Plotek i Prawd.“*

PO BITWIE PRZY BIAŁÉJ GÓRZE.

Geschichte des dreissigjährigen Krieges von Anton Gindely, Vierter Band. Prag, Verlag von A. Tempsky.

Pomnikowe dzieło profesora Gindelego o dziejach wojny trzydziestoletniéj postępuje, zwłaszcza, jeżeli się obliczymy z trudnościami zbierania materiału i wydawnictwa, rączo naprzód. Ostatni tom, trzeci dzieła, z którego zdawaliśmy sprawę swego czasu, kończył się ponurym obrazem katastrofy powstania czeskiego na Białéj Górze,— czwarty obecnie wydany, skreśla krwawe dzieje represyi habsburgskiéj i europejskich następstw zwycięztwa Austryackiego. Spoglądając na ową represyą, przypatrując się owym następstwom, przywodzimy sobie mimowolnie na myśl postać Almanzora alpuharowego. Konający wśród mąk dżumy Arab, wszczepia jad zabijającéj go choroby w łono swych dręczycieli. On umiera, ale i wróg dotknięty śmiertelnie. Nie inaczéj się przedstawia zgon Czechów na Białéj Górze. Legną zwyciężeni, ale zgnieciona i przydeptana na *ich* widowni pożoga udziela się Niemcom, udziela się trzem czwartym kontynentu europejskiego, Czechy zgniecione, zniszczone i złupione, ale pod koniec wojny trzydziestoletniéj, czyż Niemcy nie ten sam przedstawiają widok? Przedmiotem opowiadania Gindelego w czwartym tomie jego dzieła jest właśnie początek tego *zeuropeizowania*, jeżeli tak wolno powiedzieć, owéj wojny, przemiany jéj z zatargu miejscowéj natury, między domem habsburgskim a Czechami, na wielki pożar europejski. Ta téż okoliczność właśnie odbiera, bez winy naturalnie autora, dzięki sile samych opowiadanych wydarzeń, czwartemu tomowi ów interes, jaki wzbudzały trzy poprzednie. Pierwsze trzy tomy trudniły się wyłącznie dziejami wielkiéj katastrofy na ziemi czeskiéj, opowiadały ciężkie przeprawy i przygody naszych pobratymców, błędy ich względem siebie samych, grzechy na-

széj przeszłości XVII wieku względem nich, monumentalną ich pomyłkę, iż losy własnéj narodowości utopili w internacyonaliznie idei kosmopolitycznéj, grzech nasz, iż nie bacząc również na nasze dobro narodowe i polityczne, stanęliśmy także w bratobójczéj walce przeciw nim jako wyznawcy i ogniwo idei przeciwnéj. Błędy i nieporozumienia zobopólne, które wypuściły fatalnie z ręki jak nigdy nadarzającą się sposobność zjednoczenia i zbratania zachodniéj Słowiańszczyzny pod egidą Polski. Spoglądając na dzieje tych błędów i zboczeń, patrząc na zgon czeski u stóp Białéj Góry, pragnęlibyśmy mimowolnie trzymać się choćby téj zakrwawionéj i żałobą pokrytéj widowni, pozostać na gruncie czeskim a przynajmniéj na gruncie czeskiego *interesu*, śledzić daléj bądź to za szczegółami strasznéj represyi, bądź za szczegółami narodowéj obrony. Nadzieja podobna i pragnienie zawodzą.

Po krótkiém opowiedzeniu czynów rakuskiéj zemsty na ziemi czeskiéj, o czém jeszcze niżéj szerzéj sobie pomówić pozwolimy, przenosi się ciężar relacyi autora gdzie indziéj. Palatynat, Węgry, Niderlandy; gabinety madrycki, paryski, londyński, rzymski,—otóż nowa widownia, na którą opowiadanie autora w niniejszym dalszym ciągu wojny trzydziestoletniéj czytelnika przenosi. Powiedzmy przecież z góry, a to w imię naszego interesu i współczucia dla pobratymczego nam narodu, że właśnie opis i charakterystyka téj rozległéj widowni przekonywają nas, że mimo klęski Białogórskiéj, nic jeszcze straconego dla Czechów nie było, gdyby byli chcieli zostać *narodem* a nie prostym odłamem wielkiéj armii protestantyzmu europejskiego. Słaby i nikczemny zkądinąd król Fryderyk posiadał obok wszystkich błędów i przywar *jeden* przecież, ważny wśród obecnych okoliczności dla sprawy czeskiéj przymiot—nie chciał się zrzekać praw swych do korony czeskiéj, nie chciał, co więcéj, kosztem poświęcenia swych doradzców i dygnitarzy czeskich, okupywać restauracyi swéj władzy w Palatynacie. Stolica kraju wpadła wprawdzie w ręce nieprzyjaciela, ale w zachodniéj jego części trzymały się pod dowództwem naczelném hr. Mansfelda załogi czeskie w Lokecie (Elnbogen), Falknowie (Falkenau), Taborze i Pilznie. Z przeciwnéj strony, w Morawii i na Szląsku, trzymał się margrabia na Karniowie (Jägerndorf), mając groźną dla domu rakuskiego podstawę w panującym na Węgrzech Bethlen Gaborze. Świat protestancki zaczął się na korzyść sprawy czeskiéj budzić z uśpienia. Anglia, Holandya, książęta prostestantcy Niemiec zaczęli się zbroić. Krystyan halbersztadzki, Wilhelm badeński, książę heski stają na czele zbrojnych oddziałów na hasło w kraczających do Palatynatu Hiszpanów. Słowem nie byłoby jeszcze nic straconego dla Czechów przez klęskę biało-

górską, gdyby mieli najprzód świadomość swéj sprawy narodowéj, następnie narodowego człowieka, wreszcie, co najważniejsza, ową wytrwałość i siłę oporu narodowego, która przed dwunastu laty podtrzymywała i ożywiała Husytów, wyrzucając na powierzchnią walczących mas—wodzów wiodących do zwycięztwa. Nieszczęsną wadą temperamentu słowiańskiego jest fluktuacya między zdolnym cudów nastrojem ducha z jednéj, a między jego bezprzykładnym, więcéj niż rezygnacyjnym upadkiem z drugiéj strony. Objawia się to czy to po przegranej Słowian zaodrzańskich na polu bitwy Dymińskiéj, czy po klęsce Serbów na Kossowém Polu, czy po własnych naszych klęskach. Biała Góra jest podobnego pojawu, regularnie powtarzającego się w dziejach słowiańskich, nieodrodném stwierdzeniem. Straszna chwila, w któréj smutna rezygnacya i uległość zgromionych nie są w stanie przebłagać równie srogiéj, jak nikczemnéj mściwości zwycięźców...

Po ucieczce Fryderyka i jego dygnitarstwa z Pragi, po rozbiciu i rozprzężeniu czeskiéj armii, dostaje się, jak wiadomo, namiestnictwo z ramienia Cesarskiego w Czechach księciu Lichtensteinowi. Chwilowo ważą się jeszcze w Wiedniu postanowienia natury *politycznéj*, ze względu na okoliczności, na usposobienie zagranicy, ze względu mianowicie na fakt, iż zachodnie grody kraju znajdują się ciągle jeszcze w ręku rewolucyi, pod dowództwem Mansfelda. Cesarz Ferdynand nie wie jeszcze dobrze, co robić i jak sobie postąpić ze zwyciężonymi Czechami; za to sroży się nad krajem ruina z rąk bezpośrednich zwycięźców na miejscu, nie mająca nic wspólnego z czynami jakiejbądź polityki. Kraj ulega spustoszeniu, rabunkom, łupiestwu nietylko, co rzeczą naturalną w owych czasach, z rąk rozpasanego żołdactwa, ale co więcéj zastanowienia godna, z rąk samychże dowódzców armii Cesarskiéj. Na czele łupiezców i zdzierców widzimy tyle mądrego zkądinąd, stojącego wówczas na świeczniku księcia Maksymiliana Bawarskiego. Obok niego odznaczają się gwałtami i rabunkami cesarski feldmarszałek Buquoy i pułkownik hiszpański Verduga. Jeden Tilly tylko, Tilly napiętnowany w historyi przez protestantskich pisarzy jako pogromca i zniszczyciel Magdeburga, przedstawia na widowni czeskiéj żywioł umiarkowania, występuje jako obrońca i opiekun uciśnionych zdeptanych wobec samego cesarza Ferdynanda a głos jego nie przebrzmiewa bez skutku. Mimo to, dowodzi choćby sama jedna tylko cyfra dwóch milionów talarów zdartych z *jednego* miasta Pragi, jak mało skuteczną była interwencya Tillego, a późniéj nawet Maksymiliana bawarskiego, rozdrażnionego gwałtami żołnierstwa cesarskiego, na jak straszny los wystawiła klęska Białogórska kraj i naród czeski. Co się tyczy poli-

tyczno-wojennéj strony pierwszych owych miesięcy po klęsce czeskiéj, widzimy czynność gabinetu wiedeńskiego zwracającą się na dwie przedewszystkiém, różne charakterem i naturą, widownie.

Jak powiedziano wyżéj, dzierżył jeszcze kondottier Mansfeld z ramienia Fryderykowego grody w zachodnich Czechach. Pilzno, Cheb (Eger), Żatec (Saaz), Falknow, nie wymieniając innych. Chodziło o przełamanie ich oporu, raczéj na drodze zgody i pokoju, aniżeli wstępnym bojem, ponieważ obawiano się w Wiedniu groźnéj odsieczy Bethlen Gabora z jednéj, książąt protestantskich niemieckich z drugiéj strony. Mansfeld był osobistością nadającą się wybornie do podobnéj kombinacyi dworu wiedeńskiego. Kondottier sprzedający swe służby i osobę więcéj dającemu, wszedł w układy z agentami Ferdynanda, a jeżeli mu nie oddał wręcz zamków czeskich, przypisać to tylko należy ubóstwu skarbca cesarskiego. Nie widząc podobieństwa korzystnego handlu z Wiedniem, wolał na tymczasem pozostać wiernym sprawie protestanckiéj, ale opuścił widownią wojny czeską i przeniósł się osobiście do Palatynatu, by późniéj nieco rozpocząć walkę z inwazyą hiszpańską pod dowództwem Cordovy. Grody czeskie pozostawił łasce Opatrzności. Do miesiąca marca r. 1622 legły one jeden po drugim; Maksymilian Bawarski doprowadzał z kolei każdy z nich do kapitulacyi przekupstwem lub głodem; wiosna roku 1622 nie przedstawiała panowaniu cesarskiemu na widowni czeskiéj poważnych przeszkód. Loket, Tabor, Falknow, Cheb znalazły się w ręku zwycięzców.

Tego tylko, jak się zdaje, hasła, czekał gabinet wiedeński, by przystąpić do drugiéj części swego zadania, natury czysto już tylko politycznéj. Nasuwało się pytanie, co uczynić z Czechami i jak sobie postąpić z wybitniejszemi postaciami powstania? Dwa przeciwne prądy walczyły tu z sobą. Książę Lichtenstein, generał ligi Tilly, nawet Maksymilian Bawarski byli za polityką łagodności dla osób przynajmniéj. Tilly mianowicie, obawiając się czy jego rady będą usłuchane, doradzał tak zwanym dyrektorom czeskim czyli członkom powstańczego rządu, ucieczkę za granicę. Inny, przeciwny pierwszemu prąd, przemawiał w gabinecie wiedeńskim za środkami ostatecznéj surowości, za konfiskatą majątków, za karami śmierci, więzienia i wygnania. Na czele tego kierunku widzimy najprzód wojowniczego białogórskiéj bitwy mnicha Dominicusa, obok niego niecnego sprawy narodowéj renegata, radcę cesarskiego Wilhelma Slawatę, głównego bohatera *defenestracyi* praskiéj. Jeżeli drugi z pomienionych prądów zwyciężył w postanowieniach cesarskich, należy to przypisać nie mniéj mściwości Ferdynanda, jak chęci i potrzebie zapełnienia pustego skarbu cesarskiego. Obra-

no tedy drogę bezwzględnéj surowości, postanawiając ogólną konfiskatę majątków przeciw wszystkim osobom skompromitowanym w powstaniu, zarządzając daléj pomiędzy niemi samemi trzy kategorye: *pierwszą* podlegającą karze śmierci z barbarzyńskiemi dodatkami; *drugą* karze śmierci zwyczajnéj przez ścięcie lub powieszenie; *trzecią* skazaną na wieczne lub czasowe kary więzienia. Trybunał, mający sądzić winnych, złożony został, pod przewodnictwem księcia Lichtensteina, z samych tylko Niemców austryackich, z zupełném wyłączeniem Czechów, których względności dla obwinionych ziomków się obawiano.

Co wśród podobnego stanu rzeczy uderzająca, to dziwna jakaś rezygnacya czy bezpieczeństwo zagrożonych bezpośrednio zemstą rakuską. Istotny to spokój ofiary przykutéj do miejsca magnetyzującém spojrzeniem grzechotnika. Z co wybitniejszych postaci powstania czeskiego, uznał tylko Wilhelm z Rupowa, kanclerz króla Fryderyka, za rzecz stósowną towarzyszyć swemu panu za granicę i unieść w ten sposób swą głowę w miejsce bezpiecznego schronienia. Wszyscy inni zostali w kraju lub zostali, jak hrabia Schlick, wydani przez wiarołomnego elektora saskiego zemście austryackiéj. Na nieszczęście zaś tak dla nich, jak więcéj jeszcze dla sprawy krajowéj, nie kieruje postanowieniem tych co pozostali, jakabądź chęć oporu czy choćby nawet tylko działalności w imię interesu i dobra narodowego, lecz, co najwięcéj rezygnacya bierności, jeżeli nie dążność wykupienia się mało zaszczytną uległością od srogiego losu, który ich czekał.

Namiestnik książę Lichtenstein zawezwał wszystkich, obecnych w Pradze „*dyrektorów*“ na zamek, na tenże sam zamek, z którego komnat w dniu 23 maja r. 1618 hasło strasznéj burzy wypadło. Po krótkiéj rozmowie ogłoszono im ze strony namiestnika cesarskiego, że są więźniami i poosadzano ich po różnych gmachach miasta Pragi. Procedura śledcza nie była zbyt długą, ani niestety dla obwinionych zbyt zaszczytną. Zamiast stawić śmiało i otwarcie czoło srożącéj się burzy, usiłowała większa część obżałowanych zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności, wypierać się sprawy powstania, zwalać najgorszą część winy bądź na poległych, bądź na nieobecnych. Gdyby zaś przynajmniéj podobném postępowaniem byli sobie, swym majątkom, krajowi okupili względniejsze losy! Na nieszczęście nie dała się przecież mściwość austryacka przekupić podobną pokorą. Wyrok zapadł, był srogi, krwawy, nacechowany na każdéj ze swych długich stronic: szubienicą, toporem, konfiskatą, długoletniém, jeżeli nie wieczném więzieniem. U niektórych z obżałowanych obostrzono wyroki śmierci. Tak np. był skazany dr. Jessenius na ucięcie języka przed

ścięciem głowy; Michałowicz na ucięcie poprzednio ręki; sługa miejski Mikołaj Diwisz na jednogodzinne przybicie języka do szubienicy za powitanie mową króla Fryderyka. Jak widać z tych wyroków, nie wzdrygała się jezuicko-rakuska mściwość wobec wybryków najsroższego barbarzyństwa. Wykonanie potwierdzonych w całéj rozciągłości przez Cesarza Ferdynanda II wyroków naznaczono na dzień 21 Czerwca r. 1621. W nocy przed egzekucyą sprowadzono wszystkich więźniów, z różnych zamknięć Pragi, na ratusz starego miasta i pomieszczono ich pokotem w komnatach tego starożytnego gmachu. Jezuici nie byli bezczynnymi w ostatniéj téj chwili życia swych ofiar. Biegali od jednego do drugiego, usiłując namawiać do przejścia na wiarę katolicką, obiecując ułaskawienie lub złagodzenie kary. Nadaremno. Ogromna większość skazanych, nawet 86-letni Kaplirz, nawet 80-letni Łoś odrzucili ich ofiarę i zdobyli się w stanowczym tym momencie na męstwo, które im nie towarzyszyło w ciągu śledztwa. Mściwość austryacka nie posunęła się przynajmniéj do tego stopnia, aby skazanym w ostatniéj téj chwili odmawiać pociechy religijnéj z rąk i ust kapłanów ich wyznania. Dopuszczono do nich w nocy księży-utrakwistów, którzy całą noc z 20 na 21 czerwca spędzili ze skazanymi na pobożnych rozmowach i przygotowaniach do dalekiéj podróży, jaka ich czekała. Posłuchajmy teraz opowiadania autora o samymże akcie owéj bezprzykładnéj w dziejach, tłumnéj egzekucyi.

„Tak przeminęła noc a nareszcie oznajmiły dzwony z wież miasta piątą godzinę z rana; równocześnie odezwał się z zamku strzał działowy na znak, że odbywają się ostatnie przygotowania do egzekucyi i że się tuż rozpocznie. Wszystkie bramy miasta były zamknięte, wszystkie furty mostowe zawarte, a żołnierze zajęli przeznaczone sobie stanowiska. Rada starego miasta i sąd królewski miasta Pragi znaleźli się na ratuszu, ponieważ egzekucya miała się odbyć w ich obecności i pod ich przewodnictwem. Sędziowie królewscy wstąpili do różnych komnat, w których więzniów pomieszczono i oznajmili im, że godzina nadeszła i że każdy ma być gotowym do stawienia się na miejsce egzekucyi, skoro będzie zawezwany przez sędziego miejskiego. Pierwszy, którego zawezwano, był hrabia Schlick. Ubrany w czarny jedwab, puścił się w krótką drogę w towarzystwie księdza Lippacha. Gdy schodził na dół ratuszowemi wschodami, czekało nań dwóch Jezuitów, z których jeden raz jeszcze uczynił próbę nawrócenia, lecz z niczém odprawiony został. Swobodnie i bez kajdan wszedł hr. Schlick na rusztowanie, gdzie go pomocnik kata czekał i kark jego odsłonił. Po dopełnieniu tego ukląknął, położył głowę na pień, a kat odciął ją jednym ciosem od

ciała. Pomocnik kata przyskoczył i położył prawą rękę hrabiego na pieniek, poczém i ją odcięto i wraz z głową schowano. Ciało zawinięto w przygotowane prześcieradło; sześć czarno zasłonionych osób odniosło je z miejsca. W podobny sposób postąpiono sobie ze wszystkiemi następnemi osobami, które ścinano. Z jednym tylko dr. Jesseniusem (skazanym na poprzednie ucięcie języka) uczyniono wyjątek. Po Schlicku wstąpił na rusztowanie Budowec bez jakiegobądź otoczenia i odebrał cios śmiertelny. Trzeci z rzędu, Krzysztof Harant z Połżyc, korzystał z kilku chwil, jakie mu do życia pozostały, by za pośrednictwem księdza Rosaciusa przesłać swéj żonie ostatnie upomnienia, aby wiernie wytrwała przy ewangelii, aby nie dopuszczała żadnemu Jezuicie wstępu do swéj rodziny i poddanym swoim w ciężarach roboczych ulżyła. Życzenia i upomnienia umierającego nie znalazły przecież żyznéj roli; wdowa oddała później rękę katolikowi i uczestniczyła późniéj w prześladowaniu swych dawniejszych współwierców. Czwarty ze skazanych, 86 letni Kaplirz, odpowiedział skwapliwie wezwaniu, zawikłał się jednakże w swoją szatę, tak, że byłby prawie upadł na ziemię i poprosił dla tego pastora Rosaciusa o rękę przy dalszym pochodzie, bo dodał, gdybym upadł i kark skręcił, powiedzieliby moi nieprzyjaciele, że to uczyniłem z rozpaczy. Gdy wstąpił na rusztowanie i chciał uklęknąć, mógł to z powodu słabości z wielkim trudem tylko uczynić a trzeba go było upominać, jak położyć głowę, aby kat cios swój mógł wykonać. Po nim szli Dworzecki, Fryderyk Bile i Otto Łoś. Nim jego wywołano, skarżył się na barbarzyńskie ćwiertowanie, które go czekało, „niechaj tam moję głowę i członki mego ciała choćby w najdalsze kraje roześlą, znajdzie je już i odszuka mój zbawiciel w dniu sądu ostatecznego.“ Gdy ksiądz Rosacius doń przystąpił, aby mu w téj ostatecznéj chwili towarzyszyć, pospieszył naprzeciw niego i żałował, że komunii z rąk jego nie odebrał; zaręczał przecież, że gdy się właśnie przez kilka chwil zdrzemnął, zbawiciel we śnie go pocieszył tak, że całkiem pocieszony na śmierć idzie. Wstąpił następnie na rusztowanie, upadł na kolana, zmówił krótką modlitwę i odebrał cios śmiertelny. Jak się zdaje, nie ćwiartowano go po śmierci. W podobny sposób ścięto i inne osoby a u dwóch tylko obostrzono tę karę; byli to Bogusław z Michałowic, któremu przed śmiercią rękę ucięto i dr. Jessenius (Jesenski), któremu najsamprzód wycięto język, potém odrąbano głowę, ciało zaś za bramy miasta wyniesiono i tamże ćwiertowano. Rüpplowi i Haunschildowi odcięto również rękę, dopełniono jednakże téj kary już po ich ścięciu. Gdy przyszła kolej na jedynego katolika, Dionizego Czernina, a on się zabierał stanąć przed katem, usunął się brat jego Herman Czernin, który jako komendant miasta egzekucyi był obecnym i wrócił do-

piéro po jéj spełnieniu. Żal swój i obawę śmierci objawiał Dyonizy w ostatnich chwilach gorzkiemi łzami, ponieważ się widział zawiedzionym w nadziei ułaskawienia. Podobnież słabymi pokazali się w ostatnich chwilach Rüppel i Masztierowski, ponieważ obu spokojne poddanie się zakłucono fałszywemi obietnicami. Rüppel pytał, wstąpiwszy na rusztowanie, czy nie będzie ułaskawionym, a dopiéro za odebraniem przeczącéj odpowiedzi, poddał się swemu losowi, Masztierowski oglądał się na wszystkie strony, czy mu kto nie oznajmi łaski, a skoro się w swéj nadziei zawiedzionym spostrzegł, opanował go najgłębszy smutek. Wszyscy inni przecież szli odważnie na śmierć i postępowali w godny sposób. Kochan chciał nawet, aby syn jego był świadkiem egzekucyi. Na trzech skazanych dopełniono kary śmierci przez powieszenie. Teodorowi Sixtowi ogłoszono, według postanowienia powziętego w Wiedniu, ułaskawienie za wstąpieniem na rusztowanie; zawdzięczał je swemu stryjowi kanonikowi praskiemu Platteisowi von Plattenstein. Podczas całéj egzekucyi bębniono, aby zapobiedz słuchaniu ostatnich słów skazanych przez zgromadzony na tysiące tłum ludu. Wszystkich egzekucyj tak mieczem, jak szubienicą, dopełnił jeden kat, który robotę swą w blisko cztery godziny skończył i za nią nagrodę 634 talarów otrzymał. (Nazwisko tego Sansona bogobójnego Cesarza Ferdynanda było *Mydlacz*). Głowy dwunastu skazanych zawieszono na wieży mostowéj starego miasta; dodano zarazem do nich ręce Schlicka i Michalowica i język Jesseniusa. Hrabina Schlick prosiła w roku następnym Cesarza o wydanie zwłok męża a ponieważ prośba jéj wysłuchaną została, dozwolono jéj zdjąć jego głowę i rękę. Inne głowy za to pozostały zawieszone, a obrzydłe to widowisko mieli Prażanie przez dziesięć lat przed oczyma; dopiero gdy elektor saski w roku 1631 z królem szwedzkim się połączył, broń swą przeciw Cesarzowi obrócił i Pragę zdobył, zdjęto i pochowano głowy.“

Otóż to akt zemsty pobożnego Ferdynanda i reakcyi jezuickiéj przeciw najszlachetniejszéj, najoświeceńszéj, najprzedniejszéj warstwie narodu czeskiego, przeciw jego reprezentacyi moralnéj i politycznéj, która jeżeli czém zgrzeszyła, to, że zamiast podjąć sztandar narodowy, podniosła kosmopolityczną chorągiew reformy religijnéj, to, że zamiast odwołać się, jak przed dwustu laty Zyszka do zwolnionych ze społecznego i religijnego ucisku mas ludowych, wolała trzymać lud w niewoli a tworzyć sobie armią swéj sprawy z najrozmaitszych żywiołów awanturnictwa europejskiego. Dodać tutaj dla dokładności należy, że *krwawa* zemsta Ferdynanda ograniczyła się właściwie na wyprawieniu głównych swych orgji w Czechach tylko i na widowni pragskiéj. W Morawii, w Górnéj i Dolnéj Austryi mści się

zwycięzka reakcya nie tyle na osobach, ile na własności pokonanych. Rabunek partykularny, praktykujący się przez rozpasane żołnierstwo cesarskie, idzie tu w parze z systematyczném, uregulowaném z góry zdzierstwem władz cesarskich, mającém na celu z jednéj strony zubożyć żywioły oporne, z drugiéj napełnić pusty skarb austryacki. Rozjemcza w Morawii osobistość Karola z Żerotina, wielkiego obywatela kraju, który w pierwszych chwilach rozpoczynającego się powstania czeskiego chciał zażegnać burzę, stanąć w roli pośrednika między cesarzem Ferdynandem a powstaniem, nie znalazła również wśród orgij reakcyjnych miejsca dla siebie w ojczystym kraju. Wyniósł się zeń na Szląsk, który podobnie jak Łużyca, zostawał w sekwestrze elektora saskiego, politycznie związanego z Austryą, religijnie nie uczestniczącego w jéj mściwych prześladowaniach. Później nawet następuje nader rozdrażnione naprężenie stosunków między dworem drezdeńskim a wiedeńskim, z powodu prześladowań czeskich wyznawców kościoła augsburskiego, który elektor saski napróżno i bezskutecznie przeciw mściwości austryackiéj chciał brać w opiekę.

Po opisaniu strasznéj egzekucyi praskiéj i pierwszych czynów zemsty Ferdynandowéj, opuszcza autor na długo zajmującą nas w pierwszym rzędzie widownię czeską, by na nią znów dopiéro pod sam koniec niniejszego tomu swego dzieła powrócić. W dalszym ciągu swego opowiadania przenosi się na wielką widownię europejską, przedstawiającą z każdym dniem niemal więcéj, skutki oddziaływającéj siły powstania czeskiego. Zachowując sobie streszczenie opowiadania autora w *téj* części dzieła na późniéj, zapiszmy nawiasowo niezbędną według nas w tém miejscu uwagę o stanowisku i zapatrywaniu się samego autora. Nie jestto rzecz obojętna ani dla ocenienia wartości dzieła, ani nawet dla należytego zrozumienia jego treści. Czém że jest autor, przyszłoby nam zapytać. Czechem czy Niemcem, katolikiem czy protestantem? Pytania tego nie stawiamy, aby badać narodowe czy religijne sumienie autora, lecz aby z odpowiedzi nań, módz wyciągnąć podstawną i zasadniczą myśl dla jego dziejów wojny trzydziestoletniéj. Przedmiotowość historyczna, ważny bez wątpienia przymiot działalności dziejopisarskiéj, przestaje być przymiotem, skoro się posuwa aż do zupełnego starcia barwy obozu, do którego autor należy czy powinien należéć. Otóż przecież, co mimo wszelkiego zasobu uczoności i bogactwa materyału, mielibyśmy powód zarzucić autorowi. Autor nie jest ani Czechem ani Niemcem, ani katolikiem, ani protestantem; autor nie jest wreszcie wyznawcą żadnéj innéj prawdy politycznéj czy społecznéj, z któréj stanowiska by się na bieg wypadków zapatrywał. W opowiadaniu dziejów tak głęboko *zasadniczego* sporu, jakim była wojna trzydzie-

stoletnia, było to przecież rzeczą nieuniknioną. *Trzeba* było stanąć na jakimś pewnym gruncie; *trzeba* było obrać sobie wyraźne i ściśle oznaczone stanowisko obserwacyjne, by zeń *umiéć* spoglądać na wypadki, by około niego módz je grupować, by około niego skupiać interes własnego opowiadania i uwagę czytelnika. Otóż tego wszystkiego w dalszym ciągu dzieła profesora Gindelego *nie* widzimy, odkąd opuścił widownię czeską. Od chwlli rozstania się z ojczystą glebą, *kosmospolicieje* opowiadanie autora, rozstrzeliwa się w szczegóły akcyi wojennéj i dyplomatycznéj, bądź to na teatrze wojny nadreńskiéj i palatynackiéj, bądź na różnych dworach europejskich, a słabą nić wiążącą owe późniejsze wydarzenia wojny trzydziestoletniéj z ich czeskim początkiem, przedstawia zaledwie, nędzna pod każdym względem, równie mało sympatyczna autorowi jak czytelnikowi, osobistość ex-króla czeskiego Fryderyka, mającego ciągle przy swym boku kanclerza czeskiego Wilhelma z Roupowa, bawiącego się w Hadze królewskim tytułem bez zamiaru poparcia go czynem, patrzącego z obojętnością na orgie w nieszczęsnym kraju, który mu nieoględnie zaufał. Tymczasem wskazuje całe ogólne położenie rzeczy, że przy pewnéj dozie zimnéj krwi i stanowczości ze strony Fryderyka, nic jeszcze straconego przez klęskę białogórską nie było i że zewsząd przedstawiały się widoki i żywioły ratunku. W środkowych Niemczech istniała ciągle jeszcze tak zwana *unia* miast i książąt protestanckich, gotowa podać rękę Fryderykowi i bronić palatynatu przeciw inwazyi hiszpańskiéj Spinoli i Cordovy. W samym Palatynacie znajdują się zastępy kondottierskie hr. Mansfelda; na pograniczu Morawii i Węgier wojuje jeszcze margrabia Karniowski; w samych Czechach, mianowicie w zachodniéj części kraju, znajdują się wreszcie różne miasta i twierdze w posiadaniu powstańczych załóg. Bethlen-Gabor wzywa co chwila Fryderyka do powrotu, obiecując mu skuteczną pomoc, ale niedołężny elektor czeski rozkoszuje w bezpiecznéj Hadze, nie myśląc wystawiać na niebezpieczeństwo swéj osoby ani w Czechach, ani w dziedzicznym palatynacie. Rzecz aż nazbyt naturalna, że sprawę, która się *sama* opuszczała w ten sposób, spieszyli opuszczać i inni.

W lipcu r. 1621 rozwiązała się wobec zwycięstwa austryackiego, wobec groźnych postępów w Palatynacie Cordovy, Spinoli, Maksymiliana bawarskiego i Tillego, protestancka unia, zostawiając na placu tylko Mansfelda i księcia heskiego Leopolda. W tę to chwilę trafia upokarzająca dla Fryderyka interwencya jego teścia Jakóba I króla angielskiego. Usposobienie protestanckiéj Anglii, nie wyjmując następcy tronu księcia Karola, jest wyborne dla sprawy protestantyzmu kontynentalnego, dla Fryderyka i Czech. Idąc za po-

pędem swych sympatyi, nie byłaby się Anglia leniła pośpieszyć z pomocą zięciowi swego króla. On sam przecież jest słabym, wahającym się, żądnym dobrego porozumienia z cesarzem Ferdynandem a przedewszystkiém z Hiszpanią. Pretensya jego nie sięga po za zamiar utrzymania Fryderyka przy Palatynacie w zamian zrzeczenia się korony czeskiéj. W tym kierunku podejmuje Jakób I negocyacye z Wiedniem i Madrytem, przez posłów swych lorda Digby i palatynackiego radzcę Pawela, właściwie po za plecami i bez udziału Fryderyka, który nie wie jak się ma, który gotów już prawie poświęcić daleką i niepewną koronę czeską za gwarancyą bezpiecznego posiadania dziedzicznego palatynatu, ale który w chwili stanowczéj nie zdolny nigdy przypieczętować ciągłego wahania ostateczną decyzyą i bawi się ciągle ułudném mamidłem tronu czeskiego. Tymczasem zaś czyha z istną drapieżnością sępa na zdobycz palatynatu Maksymilian bawarski, czyha na nią ku zgorszeniu nie tylko już Fryderyka, ale najnieprzyjaźniejszych mu nawet książąt niemieckich, samego wreszcie nawet Wiednia, który czuje ciężar opieki zwycięzcy z pod Białéj Góry, zdobyczą zaś samą po Fryderyku swobodnie chciałby rozporządzić.

W takiéj to chwili przybywają w Sierpniu 1621 do Wiednia lord Digby i Pawel, żądając od cesarza restauracyi Fryderyka w palatynacie, grożąc wojną, gdyby dwór wiedeński na podobną kombinacyą zgodzić się nie chciał. Gabinet wiedeński znalazł się w krytycznéın położeniu i nie byłby zeń znalazł podobnie furty wyjścia, gdyby mu jéj nie był otworzył, sam Fryderyk. Naturalnym warunkiem zgody dworu wiedeńskiego na propozycyą angielską było zrzeczenie się ze strony Fryderyka tronu czeskiego i wycofanie swych załóg z miast i twierdz czeskich. Niewiadomo przecież, jaki wiatr znów zawiał w Hadze. Tyle tylko pewna, że Fryderyk odrzucił proponowaną ugodę, a tém samém uniepodobnił skuteczność interwencyi angielskiéj na rzecz swoję, prawda zresztą, że interwencyi upokorzającéj i krzywdzącéj, bo nakładającéj mu obowiązek wyparcia się wszelkiéj spółki z Czechami. Odmowa ta ułatwiła gabinetowi wiedeńskiemu jego postępowanie. Fryderyk został wyrokiem cesarza uroczyście pozbawiony swego dziedzictwa, które przysądzono z nieszczególném zadowolnieniem księciu Maksymilianowi. Mimo to nie ustają przecież usiłowania Jakóba I na drodze dyplomatycznéj około zgody Fryderyka z cesarzem, usiłowania, które mimo słabości i chwiejności króla angielskiego, byłyby się z pewnością zamieniły na interwencyą wojenną, gdyby sam Fryderyk tylko był się zdecydował rzucić spokój hagski i stąpić na arenę toczącéj się w jego imieniu i za jego sprawę walki. Digby jedzie następnie do Madrytu, by i tam

wytargować Fryderykowi zawieszenie broni i restauracyą w Palatynacie, coby się było może powiodło, a zwłaszcza przy cichéj niechęci dworu wiedeńskiego przeciw pretensyom Maksymiliana bawarskiego, gdyby elekt czeski był chciał raz przecież powziąść jakąbądź stanowczą decyzyą. Tymczasem jak dotąd, tak później, sam nic osobiście nie robiąc, nie wstępując na widownię walki, bawiąc się grą w piłkę w stolicy Holandyi, posiada przecież i objawia dość wyglądającego na stałość uporu, by odmawiać zrzeczenia się korony czeskiéj, by nie pozwalać kapitulować Mansfeldowi, by trzymać swe załogi w miastach czeskich. Zresztą nie można zaprzeczyć, że jak się bardzo często wśród podobnych okoliczności dzieje, biednego ex-króla czeskiego te same mocarstwa i wpływy wstrzymywały po cichu od koncesyi na rzecz mającéj się zawrzeć z cesarzem ugody, które go głośno i poważnie do niéj skłaniały. Najlepszym tego dowodem postawa posła angielskiego lorda Digby w przejeździe przez Palatynat za powrotem z Hiszpanii. Z jesienią roku 1621 rozpoczęła się tu na nowo, z różném szczęściem, wojna między Maksymilianem bawarskim i Tillym z jednéj, a hr. Mansfeldem z drugiéj strony. Kondottier Mansfeld był przecież i mimo względnego powodzenia swego, skłonnym każdego czasu kapitulować i sprzedzać siebie i swego żołnierza, byle tylko dobrze, na usługi cesarza. Negocyacye w tym kierunku zaczęły się toczyć. W takiéj to chwili stanął na widowni palatynackiéj lord Digby i wbrew oficyalnym swym instrukcyom zgromił go surowo i upomniał do przestrzegania obowiązków ludzkiego i wojskowego honoru. Wystąpienie podobne angielskiego posła odniosło pożądany skutek, Mansfeld pozostał wiernym Fryderykowéj sprawie; drzemiąca przez niejaki czas w palatynacie wojna zawrzała na nowo w miesiącu Październiku 1621.

Jeżeli tak, jak dopiéro powiedziano, sprawa Fryderyka a raczéj, o co *nam* przynajmniéj głównie chodzi, sprawa pobratymczego nam narodu czeskiego,—byle tylko była znalazła człowieka i energią,—mogła nawet w zimnéj na pozór i obojętnéj Anglii znaleść dla siebie pożądanego sprzymierzeńca,—przedstawiał się jéj jako wiele ważniejszy, skuteczniejszy, bo bliższy sprzymierzeniec *Bethlen Gabor*. Zbuntowany przeciw domowi rakuzkiemu, dążący do korony węgierskiéj, oparty o pomoc turecką, groźny stosunkami z książętami protestanckimi Niemiec, groźniejszy swém bezpośredniém sąsiedztwem z opornemi żywiołami Szląska, Morawii, Czech i samejże Austryi,—wojuje wciąż z cesarzem na pograniczu Austryi i Węgier, bawiąc się z nim od czasu do czasu na przemian niedotrzymywanemi nigdy traktatami pokoju czy zawieszenia broni. Francya Ludwika XIII, tyle niepodobna w pierwszych owych początkach wojny trzy-

dziestoletniéj do Francyi z późniejszzéj epoki tejże saméj wojny,— występuje tu w roli sekundanta dworu wiedeńskiego i usiłuje pośredniczyć w zgodzie między cesarzem a dumnym magnatem madziarskim. Z początku nie odnoszą jednakże pośrednicze usiłowania Francyi żadnego skutku, a wojna sroży się przez całą pierwszą połowę roku 1621. W jednym z jéj bojów, pod Neuhausel, ginie nawet bohater bitwy białogórskiej, pogromca i niszczyciel Czech, wódz cesarski Buquoy. Margrabia na Karniowie towarzyszy wiernie swemi zastępami Bethlenowi; młody hrabia Thurn wreszcie trzyma się oparty o podobne plecy, bohatersko w Kłodzku. I tu więc otwierałoby się Fryderykowi, powiedzmy lepiéj, *narodowemu* prawdziwie mężowi Czech, szerokie pole działania wraz z nieskąpemi widokami powodzenia. Wzywają go też na swą naturalną widownię akcyi tak Bethlen, jak Karniowski margrabia, nadaremno jednakże. Żądny blasku i tytułów władzy, bez chęci i zamiaru wystawienia za nią swéj osoby, pozostaje Fryderyk na uboczu holenderskiem a znużona jego lenistwem fortuna odwraca nareszcie oblicze.

W Lipcu roku 1621 zawiera Bethlen ponowny pokój z cesarzem, poświęcając Fryderyka, poświęcając politycznie sprawę margrabiego na Karniowie, który osobę swą przynajmniéj do Węgier unosi. Owo ustąpienie możnowładzcy węgierskiego z widowni walki pociąga za sobą ważne dla sprawy cesarskiéj następstwa. Poddaje się Ferdynandowi Szląsk, a hołd od kraju w imieniu jego odbiera we Wrocławiu elektor saski. Tuż potém kapituluje w Kłodzku po długiéj, bohaterskiéj obronie młody hrabia Thurn w miesiącu Październiku 1621; cesarz Ferdynand syt zwycięstw, chwały a nadewszystko krwi czeskiéj, może bezprzeszkodnie święcić akt swych uroczystych zaślubin z młodą Eleonorą, księżniczką Mantuańską.

Trwa tymczasem bez przerwy wojna w nadreńskim Palatynacie, jakoby ku żywemu dowodowi, że i *tu* jeszcze sprawa Fryderyka bezpowrotnie straconą nie jest. Zbrojnym jéj reprezentantem jest tamże utrzymujący siłę 18 tysięczną Mansfeld, którego, jak wyżéj powiedziano, Anglik Digby zdołał powstrzymać od zamierzonéj już dezercyi do obozu cesarskiego. Postawa jego jest groźną i nakazuje szacunek. Generał ligi Tilly, Hiszpan Cordova działają przeciw niemu połączonemi siłami bez szczególnéj pewności zwycięztwa. Liczne potyczki, z odmiennem szczęściem, staczają obie strony z sobą nad Renem i Neckarą, pod Worms i Heidelbergiem. Zawarłszy przymierze z miastem Strasburgiem, przenosi Fryderykowy kondotier wojnę do Alzacyi, znacząc ją w zimie z roku 1621 na 1622 rabunkiem i pożogą po obu brzegach Renu. Wojna rodzi wojnę, przykład Mansfelda wywołuje na scenę nowych, tegoż samego rodzaju

waleczników. Rozpoczęta wojna trzydziestoletnia znamienuje na téj pierwszéj swéj niemal widowni ów charakter odznaczający ją przez cały dalszy ciąg trwania. Awanturnictwo, chęć rozboju i taniego życia kosztem nieszczęsnéj ludności kraju, pozorujące się i pokrywające szatą idei religijnéj. Występują nowi nibyto zwolennicy zagrożonéj sprawy Fryderyka i protestantyzmu, tworząc zbrojne, illustrowane tak wybornie w Schillerowym Wallensteinie bandy, łupiąc kraj, mordując mieszkańców, cokolwiekbądź przecież przymnażając kłopotu cesarzowi, wspierając Mansfelda, dowodząc wreszcie faktem samym swego wystąpienia możności zwycięztwa sprawy neo-elekta czeskiego, byle tylko on sam o sobie nie zrozpaczył. Takimi nowymi jego sprzymierzeńcami są Krystyan z rodu książąt brunświckich, biskup halberstadzki, zgromadzający swe bandy i rozkoszujący w biskupstwach kolońskiem i paderbornskiem,—daléj margrabia badeński. Pożar wojenny szerzy się daléj i coraz daléj, a położenie Fryderyka, mimo zdeptania Czech, mimo upadku nieszczęsnych exulantów czeskich,—pragnących tylko zgody z cesarzem i ocalenia zagrożonych majątków, wcale jeszcze rozpaczliwém nie jest. Z wiosną mianowicie r. 1622 przedstawia nadreński palatynat pełen życia i jaskrawéj zaniewieruchy obraz wojny. Z jednéj strony widzimy Tillego i Cordovę, z drugiéj działa Mansfeld, landgraf heski, Krystyan Halberstadzki. Podobny rozwój sił protestantckich przeciw zwycięzkiéj dotąd sprawie ligi katolickiéj, ożywia znowu nadzieje zmiennego i zależnego od powiewów wiatru Fryderyka. Napróżno usiłuje go sprowadzić jego teść król angielski Jakób I na drogę porozumienia z cesarzem, napróżno obiecuje mu dyplomatyczne poparcie i pieniężne subsydia, pod tym tylko warunkiem, jeźli się Fryderyk zrzecze korony czeskiéj; napróżno rozwiązuje parlament domagający się wojny z Hiszpanią i cesarzem w interesie protestantyzmu. Fryderyk nie zważając na to wszystko otacza, na wieść rozpoczynającéj się na nowo w palatynacie walki, najstarszego syna swego ostentacyjnie czeskimi nauczycielami i daje mu czeskie wychowanie. Sam wreszcie przedziera się z Hagi do obozu Mansfelda, by choć nie walczyć, to przynajmniéj przypatrywać się bliżéj nieco walce toczącéj się w imię jego sprawy. Walka ta zaś równie zacięta, jak wahająca się ciągle i przechodząca rozmaite fazy. Pod Wimpfen, Schwetzingen, Höchst spotykają się obie strony, przypisując sobie każda z osobna zwycięztwo, zakrwawiając, znacząc pożogą piękny kraj nadreński, bez możności sprowadzenia jakiegobądź stanowczego rezultatu.

Najważniejszym walki owéj epizodem jest z jednéj strony pozyskanie stanowcze Holandyi dla sprawy Fryderykowéj, z drugiéj po-

wolne stygnienie Francyi dla sprawy cesarskiéj. W Czerwcu roku 1622 przebiera się sam Mansfeld przez terrytorium francuzkie do Hagi i zyskuje przyrzeczenie pomocy hollenderskiéj. Równocześnie wchodzi w porozumienie z Francyą, która obawiając się przewagi cesarsko-ligistycznéj tuż u granic swoich, zakłada protest przeciw destytucyi Fryderyka w palatynacie i robi się patronką jego sprawy. Podobna postawa Francyi dodaje odwagi związanym dotąd z cesarzem państwom protestanckim Niemiec, jak Brandeburgii i Saksonii; słowem, znaczy rok 1622 chwilę korzystnego zwrotu ówczesnéj zawieruchy na rzecz niefortunnego króla czeskiego. Nieszczęście tylko, że podobnie on sam, jak naród czeski, nie stoją na wysokości swego stanowiska i swego ówczesnego europejskiego znaczenia. Fryderyk, po krótkim wysiłku nie umiejący nigdy dotrzymać energii, powraca z niebezpiecznych obozów Mansfelda i Halberstadzkiego Krystyana do spokojnego ubocza hagskiego, Czesi, a exulanci czescy przedewszystkiém, po starciu swych głów i naczelników w barbarzyńskiéj rzezi Czerwcowéj z roku 1621, przedstawiają widowisko zastępu znużonego i podupadłego na duchu, nie dbającego tyle o sprawę narodu i ojczyzny, ile raczéj o wyniesienie, jeśliby się dało i udało, prywatnych tobołków z ogólnej powodzi.

A tymczasem szedł, postępował, szerzył się coraz daléj i daléj pożar, którego pierwsza zapalająca iskra padła na widowni czeskiéj. Biedny kraj i naród czeski przedstawiały już tylko niestety mogiłę pochłaniającą ofiary barbarzyństwa rakuskiego i win samobójczych, kiedy Niemcy, kiedy cała niemal za niemi Europa poczęła świecić coraz szerszą łuną pożogi, co się zatliła na tym milczącym już teraz cmentarzu. Wracając doń mimowolnie, jako do przedmiotu głównie nas w niniejszém sprawozdaniu obchodzącego, nie możemy przecież pominąć w niém europejskich następstw wybuchu czeskiego. Po za wojną palatynacką staje tu, jako pierwsza owczesnego porządku rzeczy sprawa, zatarg o inwestyturę na palatynat po destytuowanym zeń neo-elekcie czeskim. Rozwija się pod tym względem ciekawa, pełna rozmaitości walka między głównym pretendentem do téj sukcesyi, Maksymilianem Bawarskim a samymże dworem wiedeńskim i licznymi patronami i protektorami interesu Fryderyka. Maksymilian nie żałował ani gwałtu, ani intrygi, by na podstawie usług, świadczonych niezaprzeczenie sprawie cesarskiéj, wytargować sobie jakimbądź kosztem dziedzictwo pofrydrykowe. Pretensya podobna nie odpowiadała przecież bynajmniéj widokom i potrzebom dworu wiedeńskiego. Maksymilian zaczął mu, jak Niemcy powiadają, wyrastać nad głowę, stawać jako osobna potęga obok potęgi, poczynał mu być niewygodnym, może niebezpiecznym. Zatrzymując palaty-

nat w swym ręku, bez oddawania go w stałe posiadanie komubądź innemu, dzierżył dwór wiedeński ważny zakład, który poświęcając, który oddając może samemuż Fryderykowi, mógł wyjednać na nim zrzeczenie się korony czeskiéj, okupić sobie w razie dalszych zawikłań neutralność i przymierze Anglii i Francyi. Wypuszczając z rąk własnych palatynat, oddając go Maksymilianowi, zmuszało si ę Fryderyka gwałtem do rozpaczliwéj obrony, do trwania przy fikcyi korony czeskiéj, zniewalało się wszystkich jego protektorów i opiekunów do mniéj lub więcéj stanowczego wystąpienia przeciw Austryi. Głównym zaś a skutecznym na tém polu czynnikiem widzimy przez rok 1622 i 23 Anglią, króla jéj Jakóba i posła jego lorda Digby.

(*d. c. n.*) *Kazimierz Jarochowski.*

Z ŻYCIA NIEMIECKIEGO.

Gustaw Freytag i jego powieści: „Die Ahnen.“

Niewesołe były czasy w Niemczech, kiedy się po rewolucyi z r. 1848 na całéj linii bojowéj reakcyjne hasło: *zurück*! odezwało. Przepadły wszystkie dążności „młodych Niemców“ (das junge deutschland), ryceże ducha (die Ritter vom Geiste) cofnęli się w zacisza bibliotek i pracowni, egoizmem narodu, dla którego pracowali, zrażeni. Kiedy pokonana hydra rewolucyi u stóp tronu legła, a król licząc się z potrzebami czasu, naród o życzenia jego zapytał, posypało się tyle nędznych samolubnych petycyj, że zdala stojący, a mniejszéj wiary widzowie musieli, ręce załamawszy, zawołać: i wartoż to było dla takiego ludu ideały narodowe wytwarzać? Bo czegóż chciał naród? Oto żądali robotnicy powiększenia płacy, a zmniejszenia godzin pracy, oto domagali się majstrowie, konkurencyą niecehowców zagrożeni, powrotu dawnych cechów, rolnik pragnął zniżenia podatków, a mieszczanin rozpuszczenia wojska, które za wiele kosztuje. Włościanin łaknął pałaców szlachty, szewc wywyższenia swego, tkacz swego, a rzeźnik swego rzemiosła. Każdy myślał tylko o sobie, o własnéj korzyści, zapominając o hasłach „młodych Niemców.“

Wartoż to było dla takiego narodu narażać się na banicye, na więzienie w fortecznych kazamatach, na wszelaką nędzę? Rozumiałże szewc, tkacz, krawiec, rolnik itd., pamiętający tylko o sobie, ideał wielkich, zjednoczonych Niemiec? Od początku bieżącego stulecia pracowali natchnieni patryoci nad przygotowaniem ludu do wolności politycznéj, lat czterdzieści pracowali, uciekając z miejsca na miejsce przed siepaczami rządów, a gdy nareszcie gorące ich słowo ospałemu ludowi broń do ociężałéj ręki wtłoczyło, zapaliło

rewolucyą, kilka rakiet błysnęło, zaświeciło i zgasło. Samolubstwo filistrów odezwało się z dawną obrzydliwością...

Nie, nie warto! Nie ma ideałów narodowych, nie ma narodu bo wszystko nicość nicości. Zapanowała cisza grobowa w literaturze niemieckiéj, przerażająca cisza, jak zwykle po zbytniem naprężeniu nerwów, przerywana tylko szyderstwem reakcyonistów i brutalstwem ich siepaczów,—podłéj biurokracyi. Żołnierze „młodoniemieckiéj idei“ schowali miecz do pochwy, wycofali się z walki, albo łamiąc pióra, albo tonąc w redakcyach dzienników.

I młody wówczas Gustaw Freytag należał do rozbitków „młodych Niemców.“ W pierwszych komedyach jego widzimy język epigonów „rycerzy ducha,“ którzy porządkiem i spokojną pracą gardzili, szydząc z kupczących i zarabiających filistrów, nie rozumiejąc życia w społeczeństwie. Takimi bohaterami byli: Jerzy Saalfeld, hr. Waldemar, Walentyna, Georgina i Bolz. Są-to jeszcze wnuki Wilhelma Meistra, ostatnie epigony tak zwanéj „Kraft i Genieepoche,“ ostatni reprezentanci osobistéj wartości jednostki.

Jak inni, schronił się po r. 1848 i Freytag w oficynie dziennikarskiéj, milcząc przez lat siedm. Ale w czasie tym pracował usilnie, kształcił się, uczył, wyrabiał, przetrawiał, słowem, przebywał potężny proces psychiczny. Artystyczna dusza jego szukała nowego ideału, bo było jéj duszno w zatęchłéj atmosferze bezczynności. I znalazła nowy ideał. Jakżeż?

„Więc naród tylko z orężem w ręku, na polu bitwy coś znaczy, więc niczém są jego warsztaty, fabryki, sklepy, pracownie i ogniska domowe? Więc tylko ten na imię bohatera zasługuje, kto awanturnicze, niezadowolone, hałaśliwe wiedzie życie, a kto cicho pracuje, niczém jest; filistrem, zerem? Więc wyswobodzenie starego Barbarosy z Küffhäuser ma być jedynym ideałem narodu niemieckiego? Nie! zadaniem artysty jest: dźwigać naród z błota bezwiary! I dla tego pokaże narodowi, gdzie dzielność jego, gdzie siła i potęga!“ Tak pisał Freytag w r. 1855 na wstępie swéj sławnéj powieści „Soll und Haben.“ I oto jego olbrzymia, prawie misyjna zasługa. On pierwszy wskazał autorom niemieckim nieznane dotąd, pomijane, rozmyślnie wyszydzane pokłady artystycznych przedmiotów. Jest on twórcą tak zwanéj społecznéj powieści („sociales Roman“), ojcem dalszych, z tego kierunku wynikających podgatunków. Spielhagen, Schücking, Grimm, Marlitt, Werner—wszyscy synami są Freytaga.

Że się poezya niechętnie apoteozą powszedniego życia zajęła, że długo się namyślała, zanim raczyła bohaterskie koturny porzucić, aby wejść między lud, do warsztatów, pracowni i sklepów, któżby się dziwił? Jest że szewc, kujący dziś i jutro i pojutrze i przez całe

życie buciska, poetyczną postacią? Albo kupiec, sprzedający pieprz i cynamon, albo robotnik, obijający beczki itd? Lecz rolnictwo, przemysł i handel są podwalinami prawidłowo rozwijających się społeczeństw. Z tych podwalin wybrał sobie Freytag jedną, najmniéj poetyczną, bo kupiectwo. Zaprawdę, wielkiego talentu potrzeba, aky odkryć w kantorze, sklepie i w magazynach kupieckich poezyą. Kto czytał „Soll und Haben“ wie, że się autor z trudnego zadania znakomicie wywiązał. Lecz właściwie nie apoteozował Freytag kupiectwa, boć prawdę powiedziawszy, trudno zrobić z kramarza ideał. Freytag apoteozował *poczucie obowiązku i uczciwość* niemiecką. Poczucie obowiązku jest zaletą rozważnego, flegmatycznego Niemca, a z tego poczucia rodzi się uczciwość, bez któréj nie ma właściwego kupiectwa. Wytrwałość i usilność, olbrzymia, niezmordowana praca i zmysł praktyczny są pomocnikami poczucia obowiązku. Wszystkie te zalety posiada mieszczanin niemiecki, który właśnie tym przymiotom znaczenie swoje zawdzięcza. Kupiec Schröter w powieści Freytaga jest ideałem poczucia obowiązku i porządku.

Bogaty i różnobarwny obraz wyhaftował Freytag na téj kanwie. Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed duszą czytelnika setne postaci dzielności niemieckiéj. Subjekci handlowi firmy Schröter, robotnicy, rzemieślnicy, leśniczowie, urzędnicy, gospodarze i cały szereg *pracujących* ludzi, szereg na pozór drobnych mrówek, lecz właściwie zasadniczych składników społeczeństwa niemieckiego, reprezentantów niemieckiéj uczciwości i dzielności, tworzą miły, wdzięczny i rozmaitością powabny obraz. Wszyscy ci ludzie pracują, bawią się, kłopoczą bardzo *powszednio*, a zupełnie inaczéj, niż poprzednicy ich w powieściach „młodych Niemców.“ Tylko ktoś, co włada bardzo delikatnym pędzlem, komu nie ujdzie najmniejszy rys życia codziennego, słowem, tylko znakomity malarz rodzajowy mógł się do pracy takiéj zabrać. A Freytag jest najznakomitszym malarzem rodzajowym Niemców. Charaktery swoje wycieniowywa do najskrytszych fałdeczek duchowych, dyalog jego jest zawsze charakterystyczny i prawdziwy, umie on wyzyskać najdrobniejszą scenę, złocąc wszędzie trywialność życia powszedniego blaskami fantazyi poetyckiéj. A gdzie go fantazya opuszcza, gdzie nie można mimo najszczerszych chęci choćby cienia poezyi odnaleść, tam pomaga sobie ciepłym humorem. Rubaszny, ordynaryjny robotnik Schurn zamienia się, humorem poety ozłocony, w sympatyczną postać. A malutki synek jego „Knirps“ jest wprost perłą humorystyczną.

Lecz w samych zaletach mieszczaństwa niemieckiego spoczywa już zaród jego wad. Poczucie obowiązku surowo pojętego nie dozwala ofiar i poświęceń, a uczciwość, do krańców doprowadzona, niezna

pobłażliwości dla chwilowo upadłych. Skoro ja pracować mogę i czynić, co do mnie należy, niechże też każdy za siebie, dla siebie pracuje i za siebie odpowiada. Oto źródło znanego egoizmu mieszczaństwa niemieckiego, źródło nietolerancyi i obrzydliwego filistrostwa. Freytag apoteozuje obowiązkowość i uczciwość mieszczanina, stawiając obok zalet kupca i robotnika nieopatrzność i lekkomyślność szlachcica Rothsattek; Freytag, człowiek wytrawny, rozumny, w szkole życia wyspokojniony, widzi w żywotności mieszczaństwa przyszłość swéj ojczyzny i dlatego każe szlachcie zmarniéć, lecz Freytag, poeta, który się do apoteozy mieszczaństwa *przymusza*, stoi sercem po stronie szlachty. Bo w szlacheckiém życiu jest poezya a w sklepie kupca tylko proza, bo szlachcic jest nieopatrzny i lekkomyślny, lecz rycerski, a *bourgeois*, choć pracowity i uczciwy, małodusznością grzeszy, pedanteryą zraża, samolubstwem odpycha. Serce poety czuje to i dla tego staje po stronie ginącéj szlachty. Rozum wytrawnego człowieka widzi nieuchronny upadek klas uprzywilejowanych i dlatego przekonywa się do apoteozy mieszczaństwa.

Lecz Freytag jest także patryotą a mianowicie pruskim. Nawet tam, gdzie maluje powszednie, pracowne życie, nie zapomina o idei niemieckiéj, która powinna pod pruską hegemonią na sąsiednich Słowian, czyli Polaków oddziałać. I dla tego posyła swego barona na granice Polski i rozwija z téj okazyi obraz naszego nierządu „polnische Wirthschaft“ dla nas Polaków ma część ta doniosłe znaczenie, bo możemy się z niéj bardzo wiele nauczyć. Niekocha nas Freytag, ale to jego rzecz.

Jakież tedy stanowisko zajmuje Freytag w literaturze niemieckiéj? Jest on twórcą, powieści społecznéj. Wskazał pierwszy nieodkryte dotąd skarby nowych pomysłów, zrozumiał pierwszy wielkie znaczenie pracy mieszczanina i dał hasło do walki przeciw szlachcie.

Jako artysta zaś jest pierwszy realista w niemieckiem powieściopisarstwie, bo on to pochował upiory romantyzmu, owych rycerzy ducha, dla których na ziemi szczęścia nie było. Z nim zaczyna się nowy zwrot w literaturze niemieckiéj i artyści wchodzą między lud, i dla ludu piszą. Jako pisarz jest Freytag przedewszystkiém malarzem rodzajowym. Szczegółowa, starannie wycieniowana charakterystyka, wspaniałe krajobrazy, urocze obrazki szczęścia domowego, znakomity dyalog, cicha, dźwięczna mowa serca, słowem wszystkie czynniki, które się składają na utworzenie znakomitego malarza rodzajowego, są przymiotami freytagowych powieści. A wszystkie owiane są ciepłem niemieckiéj uczuciowości „Gemüth,“ ozłocone szczerym humorem i strojne przepiękną szatą dykcyi poetyckiéj.

Po apoteozie pracowitego mieszczaństwa zabrał się Freytag do apoteozy mrówczéj pilności nauki niemieckiéj. Profesor w powieści „Verlorene Handschrift“ ma być ideałem uczonego, jakich tylko Niemcy wydają. Lecz blady ten, sztucznie do wysokości ideału wyciągany obraz przekonał autora, że nie ma w mieszczaństwie tyle poezyi, aby mogła całe życie pisarza wypełnić.

Freytag wycofał się po drugiéj swéj powieści społecznéj z szeregu beletrystów i pracował znów przeważnie naukowo, aż go tryumf oręża niemieckiego w r. 1870 do nowéj twórczości poetyckiéj zapalił. Wkrótce po wojnie francuzkoniemieckiéj zabrał się do olbrzymiego dzieła, do apoteozy polityki niemieckiéj, wracając na stare lata do wierzeń młodości, do ideałów politycznych. Ponieważ w powieściach, znanych pod wspólnym tytułem „die Ahnen“ (Przodkowie), ujrzymy polityczną ideę Niemców od mgieł barbarzyństwa począwszy aż do jaskrawych blasków dni naszych, mniemamy, że się czytelnikom polskim przysłużymy, streszczając genialną tę pracę.

I.

Pierwszą powieść z szeregu „Przodków“ pt. *Jngo und Jngraban* pisał Freytag zaraz po zwycięztwie, odniesioném nad Francyą, a wydał ją w r. 1872.

„Rok 357. Na wzgórzu, wznoszącém się na pograniczu plemienia Turyngów i Kattów, stoi młody strażnik i spogląda w dolinę, gdzie się do dzierżaw Kattów kręta ścieżka wije. Postawili go tam ojcowie turyngscy, bo Kattowie nie żyją w przyjaźni z sąsiadami, a w lesie jest wiele tajemnych dróg dla zdradliwych nieprzyjaciół.“

Strażnik niecierpliwi się, bo daremném zdaje się być jego czekanie: już się słońce schyla ku zachodowi, a na ścieżce od wzgórzów wiodącéj, nie ukazała się nawet lękliwa łania. Cisza w około, tylko las wspaniale szumi, tylko pogodny, jasny dzień dzwoni, a brzęczy. W tém—strażnik pochylił się, ukazuje się na ścieżce między drzewami wysoka postać. Stój, leśny wędrowcze, i odśpiewaj hasło, które cię przed żelazem mem broni! Wędrowiec nie śpiewa hasła, lecz uchodzi szybkim zwrotem za najbliższe drzewo. Pozdrawiam cię przyjaźnie; cudzoziemcem jestem, więc hasła waszego nie znam—odpowiada. Nieufnie spogląda nań strażnik. Z daleka przychodzę, mówi daléj wędrowiec—koń mój utonął w potoku i szukam gościnności u waszych panów. Jeśli jesteś w naszych stronach zupełnie obcym,—odpowiada strażnik, musisz czekać, aż towarzysze moi nadejdą. Tymczasem bądź mi przyjacielem, jak ja tobie przyjaźń ślubuję. Kiedy wędrowiec po tém wezwaniu włócznią odłożywszy pod drze-

wem strażnika spoczął, zatrąbił młody syn Turyngii w róg bawoli, dając towarzyszom, po lesie rozrzuconym, znak. Wędrowiec rzucił się na murawę z przyjemnością: snać długą miał za sobą podróż.

Kiedy na odgłos trąby jeden z pogranicznych stróżów nadbiegł, udał się pierwszy strażnik z wędrowcem do wsi, ukrytéj w lesie. Szeroko rozłożona, rowem i okopami obronna, wychyliła się turyngska wieś z po za drzew, gdy wędrowcy z lasu na dolinę wyszli. Za wsią, na pagórku, osobnym otoczony rowem, stał dwór pana doliny. Pan doliny, książe Answald, wysoki barczysty mężczyzna z szeroką, germańsko-poczciwą twarzą, ubrany w zwyczajną, wełnianą oponę bez ozdób, siedział właśnie w gronie swych dworaków przed domem, bawiąc się widokiem dwóch tłustych byków, któremi się pasterz przed panem chwalił, kiedy sługa o przybyciu nieznanego gościa doniósł. Przygotujcie mu przyjęcie w hali (Halle) rozkazał książe. Wydawszy taki rozkaz, poszedł do hali, gdzie zasiadł na „pańskiém krześle,“ które stało na wywyższeniu na przeciw drzwi. Cześć tobie, książe Answaldzie, Irmfryda synu, wyrzekł gość, stanąwszy przed pana obliczem. I tobie cześć, odparł książe, mierząc przychodnia badawczym wzrokiem. Pozwól napić się człowiekowi, podróżą zmęczonemu z twego rogu, nie odmów mu owocu twych łanów i opieki twéj strzechy. Bez przyjaciół i ojczyzny, bez opieki, do twego ogniska zbliżam się, udziel mi gościnności, któréj prawa twego narodu wędrowcom nieodmawiają—prosił gość. Na to odparł Hildebrand, radca księcia: Pan mój udziela ci stosownie do zwyczajów naszych trzy dni odpoczynku i gościnnego przyjęcia, zanim zwoła starszych ludu swego, aby o dalszym twoim losie postanowili. Zanieście mu stołek do ogniska, chłopcy—zwraca się rządca do służby i nieskąpcie mu darów, których nam bogowie nie skąpią. Tak na dworze przyjęto zmęczonego daleką drogą, przybywającego bez koni i towarzyszów, zużytemi sukniami odzianego gościa, jak przyjmowano w starożytnéj Germanii każdego wędrowca, nie pytając go przez dni trzy nawet o nazwisko. Lecz znak, który gość Answalda księciu okazał, zdradził jego pochodzenie.

Kiedyś był ojciec księcia gościem na dworze sławnego Ingberta wielkiego Wandalów króla, któremu dozgonną zaprzysiągł pamięć. Król Ingbert, syn słońca, owoc miłości bogów, jak wierzyli Germanowie, wrócił już do niebieskiéj swéj rodziny, zasiadł bowiem w komnatach Walhalli, lecz młodziuchny syn jego, królestwa i imienia przez wuja pozbawiony, tułał się długie lata po dalekim świecie, spiesząc wszędzie, gdzie namiętność ludzi wojenne pożogi wznieca-

ła. Garstka wiernych Wandalów szła za królewiczem, ale i ta garstka, któréj nieodstraszało ubóstwo króla, zginęła gdzieś w Renu wirach, wśród zwycięzkich odgłosów rzymskich trąb. Jeden król tylko, bohater strasznéj między Rzymianami i Germanami bitwy, ocalał, a król ten, Ingo, syn Ingberta, stał jak żebrak przed turyngskim księciem, o gościnę prosząc.

Trzy dni odpoczywa Ingo w książęcym dworze. Choć jest królem, choć pochodzi z bohaterskiego rodu, któremu tradycya boski dała początek, nie siada do pańskiego stołu wśród dworaków i poważnych wojowników, bo pochodzenie jego ma być tajemnicą, dopóki mu ojcowie ludu nie nadadzą prawa obywatelstwa w leśnéj dolinie. Trzy dni potém przyjmuje u siebie książę Answald „szlachetnych i wolnych“ którzy konno i pieszo na wezwanie pana z wiosek, w dolinie rozrzuconych, do głównego dworu spieszą. Stanęli wszyscy, dwudziestu wsi przedstawiciele, w szerokim półkolu na dziedzińcu, wszyscy uzbrojeni, z jesionowym oszczepem w dłoni, z mieczem i sztyletem przy boku, jak przystało na wolnych mężów. Książę stanął na progu dworca, obok niego żona i córka z niewieścią świtą. Z szacunkiem pozdrawiają Ojcowie ludu swego pana i wchodzą na dany znak poważnie do „hali“. Tam siadają na ławach i krzepią się chłodném piwem, które służba w drewnianych dzbanach roznosi, i raczą się słodkiém pieczywem i wędzoném mięsiwem. Tymczasem sposobi się żwawa młodzież do rycerskich zabaw, na murawie przed dworem. Już skaczą przez konia, strzelają z łuku do celu, rzucają oszczepem, i wielkiemi skał odłamami. Wśród młodzieży odznacza się Teodulf krewny księżnéj, a towarzysz książęcego ogniska. W krótce rozlega się w około wesoły okrzyk, który i komnaty ściany przenika i rozgrzewa krew ojców ludu, gawędzących tam o starych dziejach. Wychodzą i oni przed dwór, aby się igrzyskom młodzieży przypatrzyć, i przypomnieć sobie dawne, lepsze czasy.

Między widzami stoi także Ingo, i przypatruje się zabawom w milczeniu. W tém przystępuje do niego stary Izanbart, jeden z przednich ojców doliny i mówi: Pokaż i ty młodzieńcze, czego cię w ojczyznie uczono, aby się nasza młodzież przekonała, że się nietylko u nas do rycerskiéj sposobią służby. Książe każe Ingowi podać starą maczugę którą przywiózł z kraju Wandalów, a Teodulf drwi z téj broni, nazywając ją pałką do zabijania psów. Ale kiedy Ingo tą wzgardzoną bronią na daleką odległość żelazny hełm kruszy, milkną dowcipnisie. Pokaż nam teraz czy znasz rycerską służbę, mówi Teodulf bo maczugą obracać umie każdy linoskok. Przez pięć koni, obok siebie postawionych, skacze Teodulf, najśmielszy ju-

nak doliny, ale Ingo skoczył przez sześć koni. Szept podziwu rozpływa się w około bo skok taki nazywają Germanowie „królewskim.“ Tylko boscy bohaterowie i królowie skaczą w Germanii tak lekko i pewno. Szept podziwu owiewa Inga, lecz w sercu Teodulfa i księżnéj, krewnéj junaka, zapala się żółty płomień zazdrości.

Już skłania się słońce ku zachodowi, więc Ojcowie i młodzież do hali wracają, gdzie na nich biesiada czeka.

Z początku panuje milczenie w komnacie. Każdy bowiem spożywa dary bogów w spokoju. Ale kiedy biesiadnicy pierwszy głód zaspokoili, zaczyna się zwykła gawęda. Piwo krąży już ogniem w żyłach gości książęcych, już wre zdala burza kończąca zwykle biesiady starych Germanów. Lecz widzi to książę i daje znak służbie. Otwierają się podwoje i do komnaty wchodzi dwóch grajków, a za nimi dwunastu młodych wojowników w białych szatach pod przewodnictwem Wolfa, tego samego strażnika który Ingo do księcia przyprowadził. Przy dźwiękach fletu i dud, rozpoczyna się germański taniec mieczowy, którego widok zbierające się nad głowami rozgrzanych biesiadników chmury rozprasza. Kiedy się taniec skończył, podnosi się jeden z przednich ojców doliny, Rothari i pije zdrowie dzielnego gościa. Ale Teodulfa gniewa zaszczyt, jaki spotyka obcego nieznanego włóczęgę; więc miota przeciw niemu słowa obelgi. I powtórnie zbiera się burza nad stołami, w tém rozlega się okrzyk powitania, bo goście widzą przez okno wjeżdżającego właśnie do dworu, śpiewaka ludowego, Volkmara. Ciągnie on od wsi do wsi, zjawia się wszędzie, gdzie się naród czy na radę czy na ucztę zbiera. Zna on cały kraj, zna wszystkie bitwy i czyny bohaterów, bo śpiewak ludowy ciągnie także za wojskami, gdy z nieprzyjacielem do walki stawają. On musi wszystko własnemi oglądać oczyma, bo jest żywą chodzącą kroniką, poezyą i historyą. Co widział śpiewa, co uwielbiał ubóstwia, a naród dowiaduje się od niego o czynach swych bohaterów i o wojnach dalekich. Na progu dworu przyjmuje go córka domu, jasnowłosa, piękna Irmgard uczennica jego, bo śpiewacy ludowi, kształcą także szlachetne dziewice w pieśni i opowiadaniu. Śpiewaj nam, śpiewaj! wołają biesiadnicy, opowiadaj nam, opowiadaj. Volkmar uderza w struny liry a kiedy się na znak ten w komnacie uciszyło, śpiewa o wielkiéj, mężów mordującéj bitwie, którą przed kilku tygodniami Rzymianie na Alemanach wygrali; śpiewa drżącym, rozżalonym głosem, bo opowiada o klęsce pobratymców. Ale kiedy o bohaterze téj bitwy, o wielkim wydziedziczonym Wandalów królu, o Ingu, śpiewać zaczyna, o bohaterze który się z garstką rozbitków potędze orła rzymskiego opierał, który gdy Alemanów wojska w ucieczce pierzchły, sztandar rzymski z rąk chorążego

wydarł i mimo pogoni, mimo strzałów, falami Renu ze sztandarem wrogów, sam, bez towarzyszów bez konia odpływał, wtedy, rośnie głos śpiewaka i dźwięczy pełno a oczy jego płoną świętym zapału ogniem. Dopiéro przy końcu słabnie znów głos poety, bo opowiada, że sztandar rzymski przepadł, ale z nim zginął, w bystrych Renu falach i wielki Wandalów król, boski bohater Ingo. W tém kiedy skończył, spójrzał po gromadzie, osłupiał wlepiwszy wzrok w bohatera, który z pochyloną głową opowieści słuchał „Duch rzeki ocalił bohatéra—zawołał oprzytomniawszy, bo oto siedzi tam Ingo, Ingberta syn, mój zbawca i ostatni rycerz alemańskiéj bitwy. Dzień dzisiejszy, w którym oblicze wielkiego bohatera oglądam, jest najszczęśliwszym w mém życiu.“ Zerwali się biesiadnicy ze stołków a piersi ich wydały okrzyk na cześć bohatera. Kiedy kilka dni potém książe zwołał ojców swéj doliny na radę, udzielili starsi wiosek mimo oporu Teodulfowych krewniaków Ingowi prawo obywatelstwa i przywileje gościa w turyngskiéj lesistéj dolinie.

Odtąd żyje Ingo na dworze Answalda w szacunku i spokoju. Kiedy wkrótce potém rozbitki orszaku królewskiego, tułający się po nieszczęśliwéj alemańskiéj bitwie po różnych dworach, o pobycie swego pana się dowiedziawszy, do turyngskich lasów przybywają, podejmuje książę Answald i towarzyszów swego gościa chętném sercem. Wandalowie polują razem z ludźmi Answalda, i żyją niejaki czas w zgodzie. Lecz księżna, która po królewskim Inga skoku nie mogła zapomnieć obrazy swego krewniaka, i zawzięty Teodulf, zaczynają tajemnie ogólną zgodę podminowywać. Za namową pani, rządca książęcych zapasów, nie chce koni Wandalów dobrym paść owsem, a służba odmawia gościom pomocy. Wandalowie, choć wszyscy szlachetnego są pochodzenia, milczą, znosząc cierpliwie obelgę, młócą sobie sami owies, i sami ziarno na mękę mielą. Pewnego razu wraca Ingo rychléj niż zwykle z książęcego dworu do gościnnych kwater i słyszy zgrzyt żaren.

Co to? pyta. Czy niewiasty w sypialnym domu mężów kamień obracają! Nie niewiasty kamień obracają, odpowiada stary Berthar, dowódca orszaku królewskiego, lecz sami mężowie. Gorzka to praca dla towarzyszów króla, a hańba gościom wyrządzona. Ingo staje za filarem i zakrywa twarz dłonią... On byłby już dawno ciche leśne ustronie opuścił, bo serce jego bohaterskie gnuśnieje w życiu bezczynnym, a hart woli gnie się, ale na dworze książęcym jest ktoś, co go do miejsca przykuwa. Piękna, łagodna Irmgard, córka gospodarza, panuje w sercu bohatera bez podziału. Znosi więc cierpliwie obelgi, aż go konieczność z domu wypędzi.

W krótce potém urządza książę Answald wielkie polowanie. Śpieszy i Ingo z towarzyszami swemi do lasów. Wandalowie mają dziś szczęście. Oni to znachodzą stado bawołów, prowadzone przez wspaniałego byka, o którym sobie myśliwi już dawno opowiadają. Wandalowie zabijają prawie całe stado, jedyny przewodnik przełamuje koło myśliwych i ucieka do lasu. Ale śpieszniejszą od chyżych nóg jego jest włócznia króla. Ingo rzuca—trafia, bawół ucieka z włócznią w boku, znacząc ślad swój krwawą wstęgą, król śpieszy za nim. Już dogania Ingo swą ofiarę, kiedy z boku nowa włócznia świsnęła. Bawół pada, a Teodulf który włócznią swą z ukrycia puścił, staje na trupie wołając: mnie należy się sława polowania. Powstaje spór a kiedy Teodulf nie ma odwagi rzucić się z bronią na współzawodnika, poszczuwa zgraję psów na króla. Nadbiegli w téj chwili Wandalowie, i byliby wnet na Teodulfie obelgę swego pana pomścili, gdyby ich Ingo nie wstrzymał. Myśliwi przyznają Wandalowi zwycięztwo, on bowiem pierwszy bawoła ugodził.

Jeszcze spoczywały cienie nocy nad doliną Answalda, kiedy Ingo z dwoma towarzyszami za wieś śpieszy, aby pomścić krzywdę swoję na nikczemniku. Bóg światłości, dnia jasne słońce, nie może patrzéć na walkę ludzi, którzy sobie sami sprawiedliwość wymierzają, bo rzeczą bogów jest: mścić się i karać. Przeto staje stary Germanin do pojedynku pod osłoną nocy. Pomodliwszy się do potężnych bogów, stają zapaśnicy po pas w wodzie strumienia i walczą gołym mieczem bez tarczy, w obliczu świadków. Żelazny hełm Teodulfa pęka pod ciosem Inga. Teodulf pada, a Ingo klęka na piersi jego i dotyka końcem miecza gardła wroga. Życie Teodulfa zależy teraz od łaski zwycięzcy, który według zwyczajów staréj Germanii staje się panem powalonego, gdy piersi jego kolanem dotknąć może. W tém wychyla się z po za lasów bóg dnia—już świta, więc wołają przyjaciele Teodulfa: nie zabijaj go, bo słońce widzi! Ingo rzuca miecz i wraca do wsi, a towarzysze zwyciężonego zabierają go z miejsca walki. W halli księcia zbierają się radcy i dworacy. Książę miota się na gościa, który krewniaka księżnéj pod nocy osłoną mieczem zranił. Kiedy Ingo przed księciem staje, przemawia do niego pan doliny temi słowy: „śmiertelnie raniłeś towarzysza mego i krewniaka, o Ingo, Ingberta synu, zamiast sprawę swą sądowi memu przedłożyć. Obraziłeś moję część książęcą, przekroczyłeś prawa gościa, złamałeś przysięgę, i dlatego wymawiam ci nadal mój dom. Płomień, który cię ogrzewał gaszę a wodę i dla ciebie wrzącą wylewam.“ Po słowach tych wziął książę kocioł i wylał z niego wodę na domowę ognisko. A Ingo odpowiedział: „spełniłem czyn, który każdy spełnić musi, jeźli nie chce zasłużyć na wzgardę wojowników. Kiedy Teo-

dulf pod mieczem moim stękał, pamiętałem, że jestem ci winien za gościnę łagodne obejście się z twoim dworakiem, i oto dlaczego go nie zabiłem. Za wszystko dobre dziękuję ci, a przeciw złemu, którém mnie prawdopodobnie będziesz odtąd prześladował, będę się umiał zastawić. Potargane są węzły przyjaźni między mną a tobą; opuszczam dom twój jako obcy.“ Wyrzekłszy to, opuścił Ingo komnatę książęcą, wyszedł przed dworzec, dosiadł konia i oddalił się z towarzyszami swemi w stronę lasu. Jedna tylko Ingmar płakała we dworze Answalda po królu wygnańcu. Ze łzami pani łączyły się łzy sługi Frydy, któréj ulubiony w orszaku Inga odjeżdżał.

Za lasem w zamczysku warownèm, siedział Bizino król Turyngów. Żona jego Gizela, córka dworu burgundzkiego, była niegdyś dzieckiem, narzeczoną Inga. Ale kiedy Wandalów król dziedzictwo swe stracił, wydano Gizelę za Turyngskiego króla. Bizino poczciwy, dobry, pijący wino i piwo, upijający i śmiejący się codziennie w gronie swych giermków, nie wystarczał, wykształceńszéj córce dworu burgundzkiego. W samotnych godzinach tęskniła za pierwszym narzeczonym, o którego bohaterskich czynach wiele słyszała. Dowiedziawszy się, że przebywa w lesie u księcia Answalda, namawiała męża, aby bohatera na dwór królewski zaprosił. Tam-to podążył Ingo z drużyną swoją. Lecz i tu nie zagrzał miejsca, bo zaledwie ochłonął po smutnych wrażeniach w lesie, przybył posłaniec od rzymskiego imperatora, domagający się wydania bohatera alemańskiéj bitwy. Przemocą i podstępem wydobywa się Ingo z téj biédy, bo królowi podobają się dary, które wysłaniec rzymski za głowę króla Wandalów ofiaruje. Opuszcza dwór królewski i ucieka z drużyną swoją do Marwingów. Mały ludek, uciskany zewsząd, przyjmuje gościa chętném sercem, bo potrzebuje dzielnego ramienia, któreby go zasłoniło przeciw napaściom sąsiadów. Ingo staje na czele Marwingów, buduje sobie zamek, wykrada nocą Irmgard, kochanie swoje z zamku ojca Answalda i żyje szczęśliwie rok cały. W tém umiera król Bizino, a królowa prosi Wandala, aby objął rządy nad Turyngią w czasie małoletności królewicza. Ona to zatruła króla, żywiąc ciągle tajemną miłość do Inga. Kiedy Ingo propozycyą królowéj ze wzgardą odrzuca, zamienia się miłość niewiasty w nienawiść furyi. Wojsko królowéj napada zamek Inga. Garstka walecznych Wandalów pada pod naciskiem przemocy. Sam Ingo ginie wraz z żoną pod gruzami zamku swego.

Druga powieść: *das Nest der Zaunkönige* (1873) zaczyna się w r. 1003. Wchodzimy do klasztoru Herolsfeld, który stoi wśród urodzajnych łanów Turyngii nad brzegami rzeki Fuldy. Bogaty to klasztor, bo stoi pod opieką dwóch apostołów germańskich, którzy w tych

stronach słowo Boże kazali. Relikwie apostołów, w klasztorze przechowywane, mają moc uzdrawiania i t. d. Ludzie ciągną zewsząd do miejsca łaski, płacąc za dobrodziejstwo złotem; panowie i rycerstwo zapisują klasztorowi zamki i dobra. Klasztor Herolsfeld jest już w r. 1003 panem wielu wsi i zamków, ma łany i lasy, ma własne rycerstwo, które mienia jego przeciw napaściom butnych panów broni. Sam klasztor wygląda jak małe, obronne miasteczko. W środku klasztor z kościołem, a na około stajnie, obory, stodoły, domki służby, kwatery rycerstwa, a wszystko otoczone murem, jak zamek wolnego szlachcica. Sto pięćdziesięciu zakonnych braci siedzi w klasztorze pod wodzą dziekana Totyla. Sam opat Bernheri, nie mieszka w klasztorze, lecz w zameczku na wzgórzu, skąd widać lasy i góry turyngskie, bo opat klasztorny jest wielkim panem: poluje, pije włoskie wina, przyjmuje gości, miesza się do polityki kraju, staje z rycerstwem swojém po téj lub innéj stronie, nie troszcząc się wiele o sprawy klasztorne, chyba wtenczas, gdy mu butne, tłuste mnichy posłuszeństwo wypowiadają. Bo mnichy zgnuśnieli już w dostatku. Nie trzymają się ostréj reguły. Zapomnieli o godzinkach i mszach, o ubóstwie i czystości, a używają wesołych dni, jak rycerscy ludzie. Jedzą dobrze, jeszcze lepiéj piją, kłócą się o politykę, tańczą ze śpiewakami klasztoru na otwartéj łące, a gdy im opat regułę przypomina, buntują się przeciw niemu.

Przy każdym większym klasztorze średniowiecznym znajduje się szkoła i nowicyat. W nowicyacie w Herolsfeld uczy się reguły zakonu i łacińskiéj mądrości młody Immo. Jest on synem szlachetnéj, wolnéj rodziny turyngskiéj. Z trudem wydała go matka na świat, a kiedy się dźwignęła z łoża, poświęciła pierworodnego Bogu. Posłano tedy chłopczyka do szkoły klasztornéj, aby nowicyat przebywszy, został prałatem. Gdy nauki ukończy, kupi mu rodzina kanonią, a papież da późniéj biskupstwo. Ale młody Immo nie ma talentu na księdza. W jego żyłach płynie krew rycerska, bo ród jego należy do tych nie wielu już rodzin, których początek w mrokach legendowych ginie. Wieść niesie, że pierwszego przodka słońce rodziło, że ojcowie na tronie Wandalów siedzieli, że Immo pochodzi od Inga, któregosyn ocalał, gdy marwingski dom gruzami swemi przykrył bohatera. Immo wie o tém, i dlatego nudno mu między leniwymi mnichami. Serce jego rwie się do wrzawy bitew, która i do klasztoru dochodzi, lecz mnichy go strzegą, bo Immo jest dziedzicem zamku Mühlburg, któryby się klasztorowi znakomicie przydał. Może szlachcic zostanie w klasztorze, może przywdzieje sukienkę zakonną.

Za murami klasztoru wichrzy tymczasem wojna domowa. Król Henryk ciągnie naprzeciw hr. z Babenbergu, którego wrogie Henry-

kowi stronnictwo królem obrało. W klasztorze dzielą się zdania mnichów na dwie strony. Opat jest za królem prawowitym a butny dziekan Totylo za panem z Babenbergu. Opat zwołuje konwent, aby się z braćmi naradzić, ale dumny Totylo zbuntował mnichów. Kiedy opat na krześle swém przed ołtarzem siada, podnosi się bunt jawny. Mnichy grożą panu swemu. Krzyk dochodzi uszu Imma. Staje na czele uczniów i nowicyuszów i spieszy z nimi do kościoła. Jemu nie wolno jeszcze przestąpić progów klauzury, bo nie ma święceń kapłańskich, ale krew rycerska nie pyta co wolno a nic wolno. Przez szczeliny bramy widzi on opata, stojącego z krzyżem na stopniach ołtarza, a w około niego mnichów z podniesionemi pięściami. Więc wysadza bramę, skacze jak kot na ramiona pierwszego mnicha i spieszy, po grzbietach zdumionych braci biegnąc, do ołtarza, gdzie staje obok opata. Dziekan Totylo podnosi nań bicz, ale Immo uderza butnego mnicha krzyżem w głowę. Mnich pada—bunt się uspakaja—opat odchodzi, a za nim Immo.

Zamknęli nowicyusza w podziemném więzieniu, bo mnichy chcą go rozszarpać, a opatowi żal rycerskiego dziecka. Więc kazał go ukryć. Immo siedzi w podziemiach i zgrzyta zębami. On wie, że przestąpił prawa zakonne, że go mogą za taką zbrodnię zamurować. Kiedy się tak w podziemiach miota, przychodzi do niego o północy opat. Patrz, Immo—mówi pan Bernheri—stałeś się zgrozą dla całego narodu Izraela, iż ci wszyscy: biada! wołają. W ten sposób mówi opat dość długo, drwiąc z więźnia, bo pan Bernheri ma humor dobrze najedzonego mnicha. W końcu upuszcza z brzękiem pilnik. Immo wie co to znaczy. Opat nie może go uwolnić, bo nowicyusz przestąpił prawa zakonu, lecz pan Bernheri, także syn rycerski, nie chce oddać szlacheckiego dziecka na pomstę mnichów. Lecz Immo odpowiada: nie chcę uciekać z klatki jak zbrodniarz, wolę zmarniéć. Kiedy opat odszedł, przychodzi do więzienia poufny pana mnich Eggon i prowadzi go do komnat opata. Tu przysiada się do chłopca mnich Reinhardt, zgrabny zakonnik i namawia go, aby mnichem został, bo klasztorowi chodzi o zamek Mühlburg. Immo nie chce; woli zmarniéć. Gdy mnich daremnie przekonywa, wchodzi sam opat. I on namawia, ale Immo opiera się. W tem odzywa się w opacie duch rycerski. I on był kiedyś rycerzem zanim do klasztoru wstąpił i on był dumny dumą wolnego pana, i on szukał wrzawy wojennéj. Widok chłopca, któregoprzemocą w sutanę wtłoczyli, a który się rwał do światła, do blasku, życia i sławy, przypomniał staremu dawne dzieje. Rozgrzał się i zaczął o swoich czynach z młodzieńczym opowiadać ogniem. W końcu rozwiązuje pierwsze śluby Imma i pozwala mu wrócić na świat. Nocą, aby go mściwe oko mnichów nie wróciło, ucieka Immo z klasztoru.

W domu przyjmują go z niechęcią, bo matka nie myśli cofnąć ślubów swoich, a bracia gniewają się na pierworodnego, którego obecność władzę ich zmniejsza. Więc rzuca Immo dom, zbiera ochoczą gromadkę z włości swoich i spieszy do obozu króla Henryka. Tu walczy długo, przebiega ze zwycięzkim królem księstwa buntowników, okrywa się sławą, lecz gdy się wojna kończy, nie spieszy do rodziny, tylko jedzie na zaproszenie saskiego księcia do Saksonii. Ztamtąd wraca późniéj do domu, a bracia, sławą jego ujęci, ustępują mu chętnie praw pierworodnego, władzy jego się poddając. Wróciwszy na Mühlburg, myśli o usłaniu rodzinnego gniazdka. Jeszcze, kiedy w klasztorze był, pokochał córkę hrabiego Gerharda, Hildegardę. Wróciwszy do kraju dowiedział się, że król ulubioną jego chce za winy ojca jéj, który w czasie wojny monarchę zdradził, w klasztorze zamknąć. Oswobodzę ją z rąk króla, ojca i klasztoru! woła Immo, a bracia nie odmawiają pomocy. Zwyczajem wolnego szlachcica, który nie zależał od nikogo, nawet od króla, wpada Immo z braćmi do miasta Erfurt w przeddzień obłóczyn, wykrada kochankę, którą brat Oto na Mühlburg uwozi. Sam Immo przez rycerstwo miasta ścigany i raniony, ukrywa się u jednego z wolnych chłopów swego dziedzictwa. Król, który się właśnie do włoskiéj wyprawy sposobił, dowiedziawszy się o tym gwałcie, ciągnie z orszakiem i rycerstwem swem na Mühlburg. Henryk jest władzy chciwym monarchą. Wolni panowie, którzy od wieków na dziedzictwach swych siedzą, nie chcący się poddać rozkazom królewskim, nie uznający się lennikami korony, lecz równie jak monarcha, niezależnymi panami swych włości, gniewają go. Gdzie się tylko sposobność zdarzy, łamie król upór wolnych panów, zwyciężonych lennikami swymi mianując. Nie o zemstę, lecz o zasadę mu chodzi. Chodzi mu o to, aby go wolni panowie za swego władzcę uznali, i dlatego ciągnie z rycerstwem przeciw dziedzictwu Imma, choć bohaterowi wiele zawdzięcza. Ale bracia Imma sposobią się do obrony. Oni nie wydadzą narzeczonéj brata, choćby rycerstwo całych Niemiec przeciw nim ciągnęło, bo oni są panami, jak królowie, a prawa ich są nawet starsze. Byliby się bronili, ginąc pod gruzami zamczyska, lecz zdrada wydała Imma w ręce króla. Aby brata ocalić, dostawiają się sami do obozu Henryka, który u stóp góry zamkowéj do sądu na wolnego pana z Mühlburga zasiada. Dostawiają się pieszo, bez hełmu, bez miecza, jako lennicy przed obliczem pana, nie zaś wolni przed wolnym władcą. Tego tylko chciał król. Z rąk jego odbiera wolna rodzina dziedzictwo swe jako lenne dobra państwa niemieckiego. Immo ciągnie z braćmi na wojnę włoską już jako lennik a wróciwszy z niéj żeni się z Hildegardą.

Trzecia powieść: *die Brüder vom deutschen Hause* (1875) zaczyna się w r. 1226. Panem Turyngskiego zamku Ingersleben jest wolny pan Iwo, o którym wieść niesie, że od wandalskich królów z rodu Inga pochodzi. Ojcowie jego, stali się lennikami króla Henryka i następców tegoż, cesarzów niemieckich. Choć Iwo nie ma wielkich posiadłości, służy jednak tylko cesarzowi, jak możni książęta państwa, którym jest równy. Wprawdzie panuje nad całą Turyngią landgraf, lennik cesarski, a pan hrabiów i rycerstwa, ale Iwo nie potrzebuje słuchać jego rozkazów bo jest wolniejszym od niego panem. Jak książęta pasuje na rycerzów, sądzi poddanych swoich, utrzymuje własne rycerstwo, a kiedy udaje się na dwór landgrafa, wjeżdża na dziedziniec zbrojno, jak każdy inny władca. Bogato ustroił Iwo komnaty swego zamku, bo dawne czasy prostoty i surowych obyczajów przeminęły. Dziś stroi rycerz siebie, konia i służbę w złote blachy, a posadzki swych komnat wykłada miękkim kobiercem. Iwo jest typem skończonego rycerza. Jeździ konno jak do siodła przykuty, kruszy kopie jak glinę, zwycięża w turniejach, nie ceni złota, które rozrzuca między potrzebujących i niepotrzebujących, i hołduje wszystkim zwyczajom swojego czasu. A ówczesny rycerz musi być poetą i musi mieć „damę swego serca.“ Iwo jest lirycznym poetą, choć pisać nie umie; dyktuje wiersze swoje pisarkowi Mikołajowi, tworzone na cześć „damy“ hrabiny z Meranu, mężatki. Na cześć damy téj, potyka się Iwo stosownie do ówczesnego zwyczaju z każdym, kogo na drodze spotka, bo im więcéj rycerzów z siodła wysadzi, tym bliższym jest spełnienia swych życzeń. Gdy się surowe obyczaje na miękkie wygódki zamieniają, gdy wewnętrzny płomień. wiara, gaśnie, kołacze do serca człowieka, zawsze cichy głos: na co to wszystko? I Iwo nudzi się czasem mimo ruchliwego życia i tęskni, choć nie wie za czém, jak dzieci epok, których kwiaty więdną. Tu i owdzie filozofuje już Iwo na temat pesymistyczny. W tém przebiega kraj głośne wołanie: do broni! Papież nawołuje znów do krucyaty. Rycerze spieszą wprawdzie, boć na to są, aby się bili, ale nie przyświeca im już gwiazda, która wiodła dawniejszych krajowców. Spieszy także Iwo na wschód, jest towarzyszem cesarza Fryderyka, walczy, dostaje się do niewoli niewiernych, którzy go kilka lat trzymają, w końcu wraca do kraju i zaczyna żyć, jak dawniéj. Kiedy się cesarz z wolnymi panami na dalekim wschodzie za jerozolimską koroną ugania, rodzą się tymczasem w państwie dwie hydry, które niebawem kraj zniszczą i krwi się napiją. Książęta, cesarza lennicy, nie czując nad sobą ręki pana, butnieją domagając się praw udzielnych, wyzwolenia się z pod cesarskiéj władzy. Ilekroć cesarz na wojnę ciągnie, a lennicy po-

módz mają, musi pan sługom przywileje rozdawać, bo za darmo iść nie chcą. Stopniowo gaśnie blask cesarskiego majestatu, opromieniając głowy pojedyńczych książąt. Rozebrawszy cesarza z purpurowego płaszcza, zdzierają książęta przemocą swobodę z ramion wolnych, jak Iwo panów. Dorobkiewicze nie znoszą obok siebie starych wolnych rodów. Równocześnie nadyma się kler obrzydliwą pychą grubych, otyłych, zarozumiałych a głupich mnichów. Już zaczyna się polowanie na kacerzów, już płonie tu i owdzie stos, na który pijane mnichy w imieniu Boga, nieprzyjaciół swoich wloką. Nienawiść mnichów dotyka włości Iwa. Żyje tam stary, wolny chłop z córką Triderun. Od wieków siedzi chłop pod bokiem pańskiego dworu, bo od wieków byli ojcowie Iwa wolnymi panami okolicy a przodkowie chłopa, wolnymi kmieciami wsi. Chłopa nie lubią mnichy, więc chwytają go z córką i wiozą na taczce przed sąd inkwizytora. O tém dowiaduje się Iwo, w chwili, kiedy hrabina z Meranu po śmierci męża wolna, rękę mu swą i nadzieje tronu turyngskiego ofiaruje. Iwo odtrąca rękę hrabiny i koronę, bo on nie chce być sługą, choćby cesarza, bo woli być swobodnym na kilku wioskach sędzią, niż posłusznym wykonawcą cudzéj woli. Odtrąca rękę hrabiny i koronę, a siada na koń i spieszy z towarzyszami na drogę do miasta wiodącą, aby z rąk mściwych mnichów wyrwać kmieciów swego rodu. Napada tłuszczę i uwozi oswobodzonych z sobą do zamku. Lecz mnichy są już panami w Cesarstwie niemieckiém. Spieszą za rycerzem, którego poznali, oblegają jego zamek, wyjąc psalmy śmiertelne. Giermkowie zamku odmawiają panu posłuszeństwa, bo „nie chcą walczyć przeciw Bogu.“ Iwo zostaje z dwoma rycerzami. Oswobodzonych kmieciów zamyka w wieży, i staje przed wejściem z mieczem w ręku. Dwaj rycerze walczą przeciw tłuszczy, którą mnichy na dziedziniec pędzą. Sam inkwizytor Konrad zjawia się i żąda głośno wydania „kacerzów.“ Kiedy Iwo odmawia, rozkazuje inkwizytor zamek spalić. Już płonie zamek, już ogień chwyta wieżę, któréj wejścia Iwo broni, woląc zginąć w płomieniach pod gruzami swego zamku, niż wydać pysznym mnichom, wolnych kmieciów włości swoich. W tém nadjeżdżają niemieccy zakonni rycerze (krzyżacy), z którymi Iwo na wschodzie w przyjaźni żył i wybawiają go. Iwo zostaje sam krzyżakiem, bo tylko pod tym warunkiem może go zakon przeciw potędze inkwizytora zasłonić. Z kmieciami włości swoich opuszcza ojczyznę i ciągnie jako rycerz zakonny na wschód, nad Wisłę. Tu zakłada pierwszą stacyę krzyżacką — Toruń.

Powieść czwarta: *Marcus König* (1876) rozgrywa się nad brzegami Wisły. Rok 1519. Nad brzegiem Wisły wznosi się stare miasto

Toruń. Trzysta lat temu przybyło kilku rycerzów i wolnych kmieciów niemieckich, i założyło tu na dalekim wschodzie miasto warowne, które było przez cały ten czas ogniskiem germanizmu. Rycerski zakon krzyżaków urządził tu pierwszą swą cywilizacyjną stacyą. Ztąd szli „mnichy w zbrojach“ daléj na północ, szerząc ogniem i mieczem słowo chrystusowe i rozsiewając ziarno kultury niemieckiéj. Świetnym i potężnym stał się zakon w krótkim czasie, lecz gdy podbił i ochrzcił niewiernych Prusaków, gdy się cel jego skończył, uległ ogólnemu prawu wszystkiego, co żyje ...zniewieściał, zleniwiał i zaczął upadać. Rycerze zamienili twardą zbroję na miękkie lamy i pieściwe aksamity, urządzali swe zamczyska na wzór świeckich siedlisk z przepychem i z wygodami zniewieściałych sybarytów. Zamiast służyć idei i w służbie jéj na krwawém ginąć bojowisku, służyli cielsku i umierali na miękkich posłaniach. Zamiast praw zakonu i przepisów wiary przestrzegać, zamienili się w tyranów, w niesprawiedliwych samodzierzców. Sprzykrzyło się w końcu ludowi gnuśnych mnichów panowanie, więc poddały się miasta pruskie rozkazom potężnego Polski króla. Ostatni wielki mistrz zakonu, Albrecht Brandeburski, jest już tylko karykaturą, zaledwie cieniem dawnych, dumnych krzyżaków. Życie niemieckie niknie, upada, idea niemiecka przestaje być hasłem wnuków tych kolonizatorów, którzy niegdyś nad Wisłę przybyli, aby tu murem przeciw słowiańszczyznie stanąć.

I mieszkańcy Torunia stracili zmysł do haseł swych ojców. Stali się kupcami, właścicielami domów, ukochali mienie, a z miłością tą ginie zapał, wykwitający tylko z niesamolubnych celów. Mieszczuchom obojętną dziś rzeczą, kto panuje, byleby im dobrze było i wygodnie w ciepłém gniazdeczku. Nawet radcy miasta, wybierani dotąd z kilku rodzin, które tradycya potomkami pierwszych turyngskich kolonizatorów mianuje, nawet ojcowie miasta, wnuki pierwotnych germanizatorów, zapomnieli o idei niemieckiéj, bo ten, który tę ideę reprezentuje, wielki mistrz zakonu, nie jest dość silny, aby mieszkańców przeciw burzom wojennym zastawił. Oni potrzebują potężnego pana, pod którego skrzydłami mogliby spokojnie używać i trawić, a tym panem jest król polski. Tylko jedyny Marcus König, należący także do rodzin wybranych, pochodzący nawet, jak wieść niesie, od samych założycieli Torunia, przechowuje dotąd w sercu swojém stare tradycye. Jest i on bogatym kupcem, i jego słowo waży wiele w mieście, lecz König trzyma się zdala od spraw publicznych, bo jest—Niemcem, takim samym Niemcem, jakimi byli wielcy jego przodkowie. Miasto hołduje królowi polskiemu, którego König nie uznaje i dlatego nie miesza się do spraw miasta. Stoi on

pozornie na uboczu, lecz pod nocy zasłoną pracuje nad tém, aby Niemcom Toruń wrócić. Znosi się tajemnie z wielkim mistrzem, zasila go radą i pieniędzmi, marząc o powrocie czasów minionych. Mała tylko garstka skupiła się w około Königa, lecz zwolennicy jego zostali Niemcami (mówi Frejtag) ...Niemcami, co patrzyli z pogardą na polski nierząd za Wisłą. König ma syna. Narwany to, awanturniczy chłopiec, któremu za duszno w kupieckiéj pracowni ojca. Jerzemu figle i wojaczka w głowie, nie zaś książki kupieckie. Gdzie może, płata figle i robi burdy uliczne. Już nieraz stawał ojciec, za burdy syna pozywany, przed sądem rady miejskiéj i nieraz już płacił kary za niego. Ale Jerzy jest niepoprawny. Otóż na samym wstępie powieści przebiera się Jerzy za dyabła i ciągnie z gromadą różnie wystrojonych współtowarzyszów przez ulice miasta, strasząc przechodniów i potrącając, kto się w drogę nawinie. Taki tu zwyczaj w czasie karnawału. Wśród awanturniczéj włóczęgi, zelżył Jerzy jakiegoś mnicha i pana Piotrowskiego, wysłańca króla Zygmunta. Mnich pogroził pięścią, ale polski szlachcic dobył szabli i mach po djabelskiéj masce. Powstają ztąd trudności dla starego Königa, bo średniowieczne mnichy umieją się zemścić, a krzywda posła polskiego może spaść na odpowiedzialność miasta. Mnichów gniew łagodzi König podarunkami, a krzywdę pana Piotrowskiego zaciera Hutfeld, zręczny burmistrz Torunia, szwagier Königa. Jerzy musi się za karę poddać dyscyplinie szkolnéj. König oddaje go pod dozór magistra Fabriciusa, który właśnie do Torunia przybył. Lecz i tu płata niesforny chłopak figle, bo zamiast się uczyć, romansuje z Anną, córką swego nauczyciela.

Kiedy się Marcus König po cichu polityką niemiecką zajmuje a Jerzy w miłostki bawi, zaczyna się w umysłach ludu coś tajemniczego ruszać i okoniem stawać. Jest to „człowiek,“ który sobie despotyzm, pychę i obłudę mnichów sprzykrzył. Panują oni wszechwładnie nietylko nad sumieniami, lecz także nad kieszeniami wiernych, rozrzucają za pieniądze kartki z odpustami na tyle a tyle dni, robią z Boga i szatana profesyą. Lud korzy się, modli, klęka, płaci, bo mnisza zemsta nie zna miłosierdzia, lecz, gdy go nikt nie widzi, gwarzy z przyjacielem o bezprawiach księży i dowiaduje się chciwie o nowéj nauce, którą dr. Luter w Wittenberdze wygłasza. Wędrujący księgarz Hannus, rozdaje od czasu do czasu między zaufanych wittenberskie broszurki. Podziemną tę pracę zdradza w końcu jakiś nikczemnik: mnichy zabierają książki Hannusa i postanawiają je dla odstraszenia ludu publicznie, uroczyście spalić. Obecny w mieście legat papiezki i biskup kamieniecki jadą z wielką świtą na miejsce, gdzie heretyckie książki na stosie złożono. Stos i tłumy

mnichów otacza lud toruński. On pił z tych książek słowa pociechy, on je ukochał. Milczący czeka na smutny obrzęd. Między ludem stoi także magister Fabricius, zagorzały Lutra wyznawca. Suchy, słabowity, nie wojenny człowieczek zapomniał, w chwili gdy pod książki mistrza jego ogień podłożono, że się *autodafe* na rozkaz rady miejskiéj i władzy kościelnéj odbywa, zapomniał, że nie dobrze słabemu, ubogiemu nauczycielowi przeciw uznanéj potędze walczyć, i zawołał: protestuję przeciw obeldze, jaka mistrza wittenberskiego tu spotyka! Wołanie to jest hasłem do bijatyki. Pan Piotrowski, który obrzędowi z ramienia króla polskiego asystuje, dobywa na magistra miecza. Ale obok nauczyciela stoi dziki Jerzy. Chwyta jakiś drąg i uderza nim wysłańca polskiego. Szlachcic spada z konia, powstaje ogólna bijatyka, leje się krew, padają trupy. Teraz przebrała się miarka. Sam król żąda zadosyć uczynienia za krew swego wysłańca, a mnichy pienią się ze wściekłości. Rada miasta osadza niesfornego chłopaka w więzieniu. Jutro ma spaść głowa jego. Nocą jednak uchodzi przestępca podziemnemi schodkami. Burmistrz, wuj jego, pomaga mu do téj ucieczki. Jerzy ucieka na falach Wisły na północ, i spotyka wśród drogi magistra Fabriciusa z córką, który tą samą drogą miasto opuszcza. Gdy minęli granice toruńskie, chcą na brzegu wypocząć, lecz zaledwie wysiedli z łodzi, napada ich kilkunastu rabusiów i zabiera do niewoli. Są to landsknechci niemieccy, którzy przez Albrechta Brandeburskiego najęci, rabują teraz na własną rękę w dzierżawach wielkiego mistrza. Nie zapłacił im służby: płacą sobie sami ówczesnym zwyczajem. Ponieważ im się Jerzy podoba, robią go swoim chorążym, przydając mu córkę magistra, Annę, za żonę, bo każdy landsknecht musi mieć żonę. Tymczasem starzeje się König w Toruniu z dniem każdym, bo nie tylko syna stracił, lecz także nadzieje swe polityczne. Wojna, którą Brandeburczyk z królem polskim w części za pieniądze kupca toruńskiego podjął, łamie ostatecznie potęgę zakonu. Krzyżak składa hołd Zygmuntowi i staje się księciem świeckim. Na wiadomość tę łamie się i siła żywotna Königa. Sprzedaje wszystko, co mu jeszcze zostało, bo „niechce mieszkać w mieście polskiém,“ spieszy do Rzymu pieszo, na pielgrzymim opierając się kiju, aby tam żale swoje u stóp grobu piotrowego złożyć. Nie znalazłszy w Rzymie spokoju, wraca do Niemiec, do Turyngii, do ziemi swych ojców, spotyka się z synem, synową, wnukiem swoim, staje przed trybunałem Lutra i umiera spokojny. Ostatnia ta scena z Lutrem na przedzie, który się jak meteor na chwilę ukazuje, jest najpiękniejszą w całéj książce.

I w piątéj powieści: *Die Geschwister*, r. 1878 (dwie części: 1) *der Rittmeister von Alt Rosen*, 2) *der Freicorporal bei Markgraf Albrecht)* widzimy politykę niemiecką, lecz w innym rodzaju. Jeżeli serce niemieckie na wspomnienie wojny trzydziestoletniéj zapłacze, jeżeli dusza niemiecka na widok wewnętrznego rozbicia narodu za jednolitem państwem niemieckiém zatęskni, rozumiemy to, a nawet szanujemy. Naród bowiem, który innemu, choćby nieprzyjaznemu, swobody nie życzy, nie zasługuje sam na wolność. Piątą powieść „Die Geschwister" moglibyśmy nazwać wojennym obrazem, bo słyszymy w niéj od początku do końca szczęk broni. Rzecz odbywa się w r. 1647. Dwadzieścia dziewięć lat wichrzy już w Niemczech wojna. To Szwed, to Francuz wyzyskują ludy niemieckie dla swoich celów, prowadząc Niemców na Niemców. W kilku regimentach saksońsko-turyngskich, walczących pod rozkazami marszałka Tureniusza odzywa się nareszcie duch niemiecki, nie chcą one dłużéj dla celów francuskich walczyć. Więc opuszczają sztandary Tureniusza, wybierają sobie osobnego dowódcę i ruszają w świat, aby na własną rękę wojnę prowadzić. Bitne to, dzielne regimenty! Są w ich szeregach starzy wojacy, którzy się w obozie zrodzili i wychowali, którzy nie znają życia po za wrzawą bitew. Śmierć—towarzyszem ich, dobrym znajomym, niewygoda—rzeczą, która się sama przez się rozumie, bo wygody nigdy nie zaznali. Königsmark i Wrangel, cesarz niemiecki i marszałek francuski chcieliby ich koniecznie pozyskać, lecz wiarusy sprzykrzyli sobie służbę u obcych. Więc, kiedy zmiarkowali, że na własną rękę nic zrobić nie mogą, postanawiają oddać się pod rozkazy jakiego niemieckiego księcia. Brat Bernharda wejmarskiego, Ernest, znany z uczciwości i germańskich celów, daje im największéj gwarancyi. Do niego wysyłają delegacyą. Młody kapitan König jedzie na czele delegacyi do Gotha, do rezydencyi księcia Ernesta. Dokądkolwiek przybywa, widzi wszędzie zniszczenia i ostatecznéj nędzy obraz. Wędrowcy, spotykający jeźdźców po drodze, uchodzą z trwogą na stronę, bo kto w owych czasach konno z bronią w ręku gościńcem spieszy, może być tylko żołnierzem, czyli rozbójnikiem. Wsie stoją samotne, wyludnione, obdarte. Mieszkańcy pokryli się w górach i lasach, gdyż nikt nie jest przed bandami rozbitków, które po kraju ciągną, bezpieczny. Nie warto uprawiać roli, nie warto siać, ani zapasów na zimę sposobić. Dziś są pełne szpichlerze, a jutro przyjdzie jaki uzbrojony włóczęga i zabierze owoc długiéj pracy. Chłopi uzbroili się sami; napadają kogo mogą, żyją sami rozbojem lub kradzioną w pańskich lasach zwierzyną. Zdziczeli, zapomnieli o Bogu, drwią z księży i z władzy świeckiéj, bo dziś jest tylko ten panem, co ma pod sobą cztery chyże nogi silnego konia,

a w ręku miecz i krucicę. Smutny obraz widzi młody kapitan König. Na widok tego zniszczenia przebudza się w nim dusza niemiecka i odzywa się żal do cesarza, który obojętném okiem na ruinę ojczyzny niemieckiéj patrzy.

Już byli blizko Goty, kiedy ich pod wieczór banda chłopów napada. Tylko energii Judyty, córki zmarłego pastora, zawdzięcza König życie swoje i swéj siostry, która z nim jedzie. Chłopi bowiem poznali w jeźdzcach żołnierzów i mierzą już na nich z rusznic. Judyta zasłania ich sobą i prowadzi w góry do ukrycia, gdzie cała gmina z trwogą na wynik bitwy czeka, bo właśnie napadła gromadka cesarskich rozbitków wieś, w dolinie leżącą. Wzniosła postać Judyty, któréj gromkie słowo niesforną bandę zdziczałych chłopów w porządku utrzymuje, podoba się Königowi. Po raz pierwszy w życiu zaczyna marzyć o szczęściu przy ognisku domowém, lecz nie żołnierzowi o słodyczach pokoju dumać. Zostawia strudzoną siostrę w domu Judyty, a sam spieszy do Goty przed księcia. Ernest nie chce przyjąć zbuntowanych regimentów, bo to spokój lubiący, nie wojowniczy pan. On jest wrogiem wojny, która całe kraje zniszczyła, on chce pokoju. Ze smutkiem w sercu wraca König do swoich regimentów. Kiedy nas Niemcy nie chcą, musimy się Szwedom oddać!— wołają żołnierze. Sprzedajmy się Königsmarkowi, bo ten, choć szwedzkiéj królowej służy, pochodzi przecież z krwi niemieckiéj. Znów ciągnie kapitan König na czele delegacyi, wśród zniszczonych pól i opustoszonych wiosek, do obozu Königsmarka, z którym po długich układach targu dobija. Regimenty maszerują do Gettyngi, aby złożyć Szwedowi w ręce Königsmarka przysięgę wierności.

Równocześnie stawiają Judytę przed sądy konsystorza. Pisarz z wsi, który sobie dzielną i piękną dziewczynę upodobał, mści się na niéj za odmowę. Spieszy do Goty i oskarża sierotę o czary, bo Judyta zna się na tajemnicy ziół i wpływa potęgą swego bohaterskiego słowa na umysły ludu. Zjeżdża sąd, złożony z przednich księży, a zbadawszy rzecz na miejscu, więzi Judytę w jéj własnym domu. Dopóki sąd nie orzeknie wyroku, pilnują jéj stróżowie księcia, nie pozwalając przekroczyć progów własnego domu. Razem z siostrą zostawił König Judycie małego chłopczyka, którego w obozie znalazł, wychował i na swego pazia wykształcił. Sprytny chłopiec wie, jaki wyrok opaśli księża na „ciotę“ wydadzą, ale on wie także, że Judyta nie jest ciotą, bo jest kochanką jego pana. Kradnie więc konia we wsi, siada na niego i pędzi w świat, aby pana swego odszukać. Przybywa do obozu Königsmarka w chwili, kiedy właśnie regimenty przysięgę składają.

W obszernéj izbie, światłem nocnéj lampy słabo rozświeconéj, siedzi Judyta i patrzy przed siebie w ponuréj rozpaczy. Na dworze jęczy wicher burzliwéj nocy, a z gór dochodzi łoskot przeraźliwy, bo dziki strzelec (*der wilde Jäger)* ciągnie, jak lud mówi, nad lasami, na szatańskie łowy. Jutro powiodą Judytę do miasta, a tam rozciągnie ją ręka kata na torturach, aby się do stosunków swych z piekła mieszkańcami przyznała. Nie, ciała mego, które jest własnością kochanka, nie dotknie się żadna świętokradzka ręka, nagości mojéj nie odkryje nikt, nikt! Jestem ciotą? Ha, ha, ha! Więc zginę jak ciota w płomieniach, bo lepsza taka śmierć niż sromota. Tak mówi Judyta i już sięga po lampę, aby dom podpalić—w tém, uderzył ktoś ze dworu we drzwi; drzwi prysły, padły rozbite na posadzkę, a do izby wpadło kilku uzbrojonych mężów. Chwytają ją, sadzają na konia i uchodzą galopem do lasów. To kapitan König w sam czas z towarzyszami nadbiegł, aby kochankę z niemiłosiernych rąk głupstwa wyrwać, a ludzie opowiadali sobie na drugi dzień, że dziki strzelec ciotę żywcem porwał.

Rok cały żyje młoda para w ukryciu szczęśliwie. Lecz po roku, gdy się pieniędzy przebrało, wraca kapitan do swoich regimentów. Na czele swych hufców ciągnie Königsmark przeciw cesarzowi, aby się na nim za krzywdę, ludowi niemieckiemu wyrządzoną, pomścić. Pułki Königsmarka zdobywają Pragę, płacą sobie bogatym łupem za długoletnią poniewierkę. Kapitan König wraca z żoną i dzieckiem w rodzinne strony, lecz w drodze ginie i on i żona, zdradą osobistego nieprzyjaciela zabity. Sierotę ich, malutkiego synka, wychowuje siostra kapitana. W szóstéj i ostatniéj powieści z szeregu: „Przodków“ *Aus einer kleinen Stadt*, 1880 spotykamy się już z bezpośrednimi znajomymi, bo z dziećmi wieku bieżącego. Ostatni wnuk Inga, Ernest König, jest lekarzem w jedném z mniejszych miast Szląska pruskiego. Rzecz zaczyna się w pierwszych latach naszego stulecia. Młody doktór przybywa do małéj mieściny i rozgląda się nasamprzód po najbliższém otoczeniu. Z humorem i niewymownym wdziękiem opisuje Freytag, który w téj powieści na swoim gruncie, bo na tle rodzajowém stanął, małomiejskich „bürgerów“ urzędniczków, mędrców i ten cały zastęp wielkich ludzi do małych interesów, którym się zdaje, że się bez nich świat obyć nie może. Główną miłością otoczył autor poborcę powiatowego, humorystyczno-sentymentalnego zwolennika Jana Pawła. Kiedy „szpisbürgery“ w „knajpach“ świat po swojemu przerabiają, zaczął inny „ziemi obywatel“ nieco głośną reformę dotychczasowych stosunków europejskich. Wielki Napoleon puścił już orły swoje na Wschód, aby pobiegły nad Europą i zwiasto-

wały jéj z hukiem i wrzaskiem zbliżanie się nowéj epoki. Słychać już zdala niewyraźne echa zbliżającéj się burzy, ale Amor, który wśród armat psoty swoje wyrządzać gotów, drwi sobie z napoleońskiéj potęgi. Prowadzi on bohatera powieści, d-ra Königa, na wieś, do cichego domku pastora, gdzie kwitnie piękna Henryka. Miluchną plebanią i szczęście pierwszéj miłości opisuje znów autor z nieporównanym wdziękiem, boć to jego dzierżawa. „Siedzieli na ławeczce, a nad nimi stał księżyc; tylko on sam, bo słońce ułożyło się do snu. Cichutko i z uśmiechem spoglądał niebieski wędrowiec na ziemię, jak przystoi księżycowi, gdy nad szczęśliwą stoi plebanią. Patrzył sobie przez szczeliny winogradowych liści na dwie młode, do siebie zwrócone twarze. A podczas, kiedy dwie pary młodych oczu na siebie serdecznie spoglądały, złocił sobie księżyc mury cmentarza i srebrzył nagrobki, a nawet starą wieżę kościołka nadziemskiém światłem tak sowicie opromienił, że nietoperz, z dziur wyglądający, oczki zmrużył, mniemając, że nadszedł dzień.

Tymczasem zbliżyła się wojna i stanęła pod miasteczkiem, a wielcy ludzie do małych interesów przekonali się teraz, że się bez nich nie tylko świat obyć może, lecz nawet, że się ich nikt nie lęka, bo kiedy wojna w postaci oficerów francuskich do miasteczka weszła, nie uszanowała ani burmistrza, ani poborcy, ani żadnéj rzeczy, która ich była. Wojna, to człowiek, rozkuty na czas niejaki z kajdan praw i więzów powagi. Wojna, to zwierzę, drapieżniejsze od tego, które w lesie słabszego brata napada. Więc, kiedy także progi cichéj plebanii przestąpiła, sięgała po wszystko, co się schwycić dało. Dwóch oficerów francuskich chwyta Henrykę, jako łup bezecnych chuci, ale w tém wpada do pokoju inny, starszy oficer i widząc, co się dzieje, woła: puśćcie tę dziewczynę! Lecz kiedy koledzy nie myślą rozkazu jego usłuchać, bo wojna nie zna żadnéj powagi, woła oficer głośniéj: biada temu, kto się dotknie narzeczonéj oficera francuskiego i chwyta rabusiów za kołnierz i wyrzuca ich za drzwi. Nachylił się potém do zemdlonéj dziewczyny i włożył na jéj palec własny pierścionek. Była odtąd jego narzeczoną, więc bezpieczną przed chciwą wojny chucią?, a właściwy kochanek Henryki, dr. König, pośpieszył do swoich, do Prusaków w góry, bo on Niemcem jest od stóp do skroni, więc woli zginąć, niż zaprządz się do rydwanu imperatora francuskiego. Rzuca go autor z miejsca na miejsce, z obozu do obozu, z jednéj bitwy w drugą. Widzimy znów cały szereg różnych wojennych obrazków, które ³/₄ „Przodków“ zapełniają. Tymczasem popłynęła krwawa fala wojny daléj na wschód, do Rosyi. Tam zmarzła,

ścięta oddechem klimatu. Nędzne, wyniszczone niedobitki wracają przez Niemcy do Francyi. Widzimy je w powieści, widzimy także przelotnie uciekającego cesarza. Z niedobitkami wraca także ów oficer francuski, który pierścieniem swoim Henrykę ocalił. Pułkownik Dessale zatrzymuje się w miasteczku, bo go siły opuszczają. Leży w plebanii, a u łoża jego siedzi Henryka i dr. König, który znienawidzonego współzawodnika leczyć musi. Pułkownik, poznawszy teraz słodycz Henryki, obstaje przy swych prawach. Pułkownik wyzdrowiał i wraca do czynnéj służby, a dr. König spieszy także napowrót w szeregi, bo właśnie król pruski powołał naród swój do ostatecznéj obrony. Wojna kończy się, Francuzi ustępują z Prus, Dessale zrzeka się teraz praw swych do Henryki, bo musi do Francyi wrócić, König żeni się z ukochaną... i oto pokój w kraju i w sercach. Lecz powieść nie kończy się z małżeństwem, bo König ma syna, który jest autorowi do wykończenia planu potrzebny. Zamiast nową powieść stworzyć opisuje jeszcze Freytag awantury młodego Wiktora, który się jako student lampartuje, różne przechodząc koleje. Po burzach młodości zostaje dziennikarzem i literatem. Ostatni więc wnuk Ingo wojuje już piórem.

II.

Olbrzymich rozmiarów i jaskrawych barw obraz mamy przed sobą. Do starannego wycieniowania tak wielkiego płótna nie wystarczyłoby najpłodniejsze życie autorskie, bo żywot niemieckiego narodu jest wielce bogaty i różnobarwny. Nie może nam więc o to chodzić, co Frejtag *miał* napisać, lecz głównie o to, co *chciał* odtworzyć, a potém co wykonał. Chciał zaś, jak mówi wyraźnie w dedykacyi, umieszczonéj na wstępie pierwszego tomu, *odtworzyć w wielkich rysach życie swego narodu*. Bez tego oświadczenia nie mielibyśmy prawa przykładać łokieć krytyczny do *ogólnéj* kompozycyi, do przypatrzenia się owym *wielkim rysom*, boć wolno powieściopisarzowi wyrwać z księgi dziejów te kartkę, która mu się właśnie najwięcéj podoba, a wtedy pyta tylko krytyk czy tę lub ową kartkę, ten lub ów odłamek życia narodowego, choćby jedną bitwę, należycie zrozumiał i oświecił—lecz gdy ktoś wyraźnie powiada: chcę wymalować obraz rozwoju narodu niemieckiego! wtedy mamy prawo zapytać: podołałżeś zadaniu? Powiedziało się już, iż do *wycieniowania* tak wielkiego płótna nie starczyłoby jedno życie. Przypatrzmy się więc tylko ogólnéj kompozycyi, badając, czy też jest rzeczywiście obrazem życia niemieckiego.

Wiek czwarty, początki jedenastego, trzynastego, szesnastego, siedemnastego i dziewiętnastego są podług „Przodków“ Frejtaga głównemi kamieniami milowemi na gościńcu niemieckiéj cywilizacyi. Że wszystkie te momenta należą do główniejszych chwil życia niemieckiego, zgadza się historyk, lecz żeby miały być wytycznemi punktami w pochodzie rozwoju historycznego, przyznać nie może. O ile się dotąd życie niemieckie w przejrzysty całokształt złożyło, widzimy głównie trzy wielkie epoki. Pierwszéj początki giną w mgłach czasów przedhistorycznych, a koniec jéj opiera się na żelaznych barkach poczynającego się rycerstwa. Między bohaterami legendy a rycerzami chrześciańństwa leży kilkaset lat, pełnych wojennego łoskotu i religijnego fanatyzmu; druga epoka ogarnia średnie wieki od pierwszych chwil poczynającego się rycerstwa, które z krzyżem na ramieniu, honorem w sercu i wspaniałą pieśnią na ustach szło bronić grobu chrystusowego i zdobywać królestwa, aż do owych rabusiów, co prawami religii, uczciwości, honoru i kraju wzgardziwszy, ufali tylko własnéj pięści. Na progu trzeciéj a najgłówniejszéj epoki stoi Luter z biblią w ręku, a kończy ją cesarz Wilhelm, koronujący się w Versalu. Między Lutrem a Wilhelmem leży cały szereg jaskrawych, a wspaniałych obrazów, bo to epoka, w któréj duch niemiecki po raz pierwszy bez obcéj pomocy czuć, myśléć i tworzyć zaczął. Na tę epokę powinien był Frejtag zwrócić najbaczniejszą uwagę, boć, jeźli za lat tysiąc dalekie wnuki będą o Niemcach wiedzieli, to chyba z łaski prac, które trzecia epoka życia niemieckiego potomnym przekazała.

Frejtag zaczął, jak widzieliśmy, od samego początku, od owej legendowéj epoki, kiedy jeszcze po ziemi germańskiéj „boscy“ synowie chadzali. Nie mamy wprawdzie z owych czasów świadectw historycznych, bo Tacyta, Strabona i innych podania są niedostateczne, lecz znamy bohaterów „boskich“ z legend, z opowieści. Nie mamy prawa żądać od powieściopisarza, aby nam za pomocą poetyckiéj intuicyi prawdziwie, realnie owe czasy odtworzył, i poetycka bowiem intuicya nie jest rękojmią prawdy. Dość nam, gdy ujrzymy w pierwszéj powieści ludzi i stosunki, do jakich przywykliśmy w starożytnych opowieściach germańskich. Legendowi junacy wszystkich narodów bywają dla tego „boskimi synami,“ że przewyższają zwykłych śmiertelników o całą głowę. Siła ich cielesna przekracza miarę ludzkich władz i klęski nie znają, śmierć nie ma do nich przystępu. Kiedy Sigendt śpi pod drzewem, łamią się gałęzie, oddechem jego, jak wichrem dotknięte. Ciałem, siłą cielesną (bo owe czasy nie znają innéj potęgi) przewyższa bohater epoki legendowéj ludzi zwykłych. Dla niego nie ma trudności, przeszkód i niemożliwości. On walczy

ze smokami, i potworami, których pokonywa, on kruszy niebotyczne sosny i przenosi góry z jednego miejsca na drugie. Ta olbrzymia, nadludzka siła jest znamieniem bohatera legendowego. Powtóre! W czasach, kiedy cielesna siła ludzi ujarzmia, nie ma praw, któreby *wszystkich* ludzi obowiązywały, bo junak wymierza sobie sam sprawiedliwość. Dla junaka nie ma praw, powag, kodeksów, wolno, a nie wolno, bo *on* sam jest najwyższém i jedyném prawem. Indywidualność występuje w tych czasach wybitnie, a osobista dzielność znaczy wszystko. W legendowych epokach nie znamy ludów, ustawami rządzonych, lecz wolę jednego, najdzielniejszego. W powieści Frejtaga nie widzimy olbrzyma junaka, napełniającego kraje drżeniem bojaźni, podbijającego *na własną rękę* całe narody; niewidzimy „boskiego syna", przed którym się nawet duchy nocne korzą. Ingo, choć się rzeczywiście ze słońca rodzi, choć nieziemski jego początek, choć jest walecznym wojakiem, nie pokonywa jednak smoków i potworów, narodów i mocarzów: poluje, pojedynkuje się, siedzi na łasce u księcia Answalda i króla Turyngii, choć się tam z nim jak ze zwykłym pieczeniarzem obchodzą, obrażając, gdzie się tylko da, to jego, to służbę „boskiego syna." Ingo, zbudowawszy sobie własne gniazdko, ulega w końcu przemocy siły królewskiéj, siły liczebnéj, choć podług tradycyi, w opowieściach ludowych spowitych, uledz nie powinien, bo ramię jego musi być silniejsze od tysięcy pospolitych mieczów. Jest on bardzo bladą odbitką legendowego bohatéra. Przeczytawszy wszystkie powieści, widzimy, że Frejtag początki i rozkwit epok pomijał, stawając zawsze na pierwszych szczeblach upadających momentów dziejowych. Dlatego nie pomylimy się prawdopodobnie, gdy powiemy, że Ingo Frejtaga ma być epigonem bohaterów legendowych, epigonem, ginącym pod przewagą nadchodzącego *porządku* społecznego. Jeźli przypuszczenie nasze nie jest mylne, będzie rysunek Inga ogólnéj kompozycyi odpowiadał, choć nie dostraja się do wzorów, które nam poezya przechowała. Jako *epigon* legendowych junaków jest Ingo dobrze narysowany. W drugiéj powieści stoi już Frejtag na gruncie pewnym, bo historycznym. Możemy go tedy wprost zapytać: czy rycerską epokę dobrze odmalował? bo możemy z historyą owych czasów w ręku odpowiedzieć. I odpowiadamy, że Frejtag jeden odłam tego życia, stosunek wolnych panów do monarchy znakomicie uchwycił. Ale drobny to tylko odłam wielkiéj całości, która się zowie: początkiem wieków średnich. Nadto przeskoczył autor odrazu kilkaset lat, a właśnie bardzo ważną epokę cywilizacyi niemieckiéj, bo czas przetwarzania się Germanów. Między pierwszą a drugą powieścią leżą wojny Germanów z Rzymianami, zwycięztwo nierozumnéj, świeżéj siły nad wyso-

ko umysłowo wykształconą a zniewieściałą bezsilnością. W czasie tym zatliła się i rozbłysła idea chrześciańska, w czasie tym przebierał się, w skóry odziany Germanin, w suknie wygodniejsze i zaczął łagodnićć, myśléć, kształcić się i pojmować życie po za lasem, dzikiego zwierza pełnym. Wpływ kultury rzymskiéj a więcéj jeszcze chrześciaństwa oddziałał potężnie na życie germańskie, bo stał u saméj kołyski tego ludu. W ramach życia niemieckiego rozwinęła się idea chrześciańska tak wszechstronnie, jak nigdzie. Od pierwszych ascetów począwszy, od zapału wojen krzyżowych, śpieszymy przez całą skalę wojen, burz i porywów religijnych. Niemcy wydały świętych, lecz także Lutra, mistyków, ale i krańcowych pessymistów. Jeźli w innych narodach chrześciaństwo tylko na zewnętrzne, społeczne i polityczne życie wpłynęło, dotarło u Niemców do najtajniejszych kątków ich głębokiego ducha. Dlatego to niepodobieństwem pomijać wpływ chrześciaństwa, gdy się maluje obraz cywilizacyi niemieckiéj. Frejtag pominął tak samo pierwsze zapały religijne, jak pierwsze boje polityczne Germanów. A przecież zrobiły rzymskie wojny Niemców politycznym, a zapały religijne myślącym, filozoficznym narodem. Jest to błąd w ogólnéj kompozycyi Frejtaga, którego nie możemy wytłómaczyć twierdzeniem: że powieściopisarz tylko za to odpowiada, co zrobił, a nie za to co był powinien, lub mógł uczynić. Obraz cywilizacyjny bez tła duchowych wpływów, jest kościołem bez Boga, domem bez mieszkańców.

W drugiéj powieści widzimy już gotowe rycerstwo i początki rozkładu chrześciańskich zakonów. Całą więc epokę przeobrażania się narodu niemieckiego pominął autor, stanąwszy odrazu na tle skrystalizowanych już stosunków społeczeństwa średniowiecznego. Data postawiona na czele drugiéj powieści, r. 1003 jest nieco zawczesna, nawiasowo mówiąc. Wtedy nie było jeszcze w Niemczech *stanu* rycerskiego w późniejszém rozumieniu, bo rycerz w Anglii i Francyi zrodzony zaczął dopiéro około r. 1050 do Niemiec przechodzić, a *stan* rycerski wytwarzał się jeszcze późniéj, bo przy samym końcu XI wieku. Lecz to drobnostka. Większe znaczenie ma obraz życia klasztornego. Nie ulega wątpliwości, że się już w XI w. tu i owdzie w klasztorach zepsucie gnieździło, że już w tym czasie byli leniwi, obżarci opaci i ambitni zakonnicy, bo w Anglii, gdzie się chrześciaństwo z całym swym aparatem zakonów, stowarzyszeń religijnych itd. daleko wcześniéj, aniżeli w Nieczech przyjęło, powstrzymywali królowie już w X w. rozwiązłość zakonników surowemi edyktami, lecz zepsucie zakonów nie było jeszcze w X w. w Niemczech *powszechną* chorobą, *ogólném* znamieniem. Zachodzi pytanie, czy wolno autorowi, gdy maluje obraz cywilizacyi, wysuwać przegniłe *jednostki* na

pierwszy plan? Nam się zdaje, że nie. Freytaga zaś sceny klasztorne w drugiéj powieści, więc w XI w. mogłyby być śmiało i w XVI wieku powtórzone. Zakrawa to więc na tendencyą, na rozmyślne zohydzanie klasztorów i w ogóle duchownych, tém więcéj, że autor zupełnie epokę rodzącego się zapału religijnego, wschodzącéj gwiazdy wiary odczuwanéj i wypełnianéj, pominął, a nawet i w téj powieści tylko śmieszne lub brudne strony *con amore* oświecił. I w dalszych powieściach nie widzimy ani jednéj jasnéj postaci duchownéj, a przecież nie potrzeba być wcale przyjacielem hierarchii, aby powiedzieć, że i ona spełniała swego czasu misyą, że i ona wiele dobrego sprawiła. Nie żądamy apoteozy klasztorów, które się już dawno przeżyły, lecz dziwimy się, że pisarz artysta nie umiał być sprawiedliwym.

Jak celem pierwszéj powieści było wykazanie niemożliwości bohatera legendowego wśród nowych, do stałych form dążących, warunków państwowych, tak jest idea polityczna drugiéj powieści przewodnią ideą. Immo syn wolnych panów, sam wolny, każdemu władzcy równy pan, który, choć na jednym tylko siedzi zamku, nie jest nawet króla poddanym, ulega w końcu majestatowi monarchy. Schyla hardy kark, staje się królewskim lennikiem. Ponieważ się polityka bez szczęku broni i wrzawy bitew obyć nie może, zajmują pochody wojenne $^3/_4$ powieści. I w pierwszem i w drugiem dziele pełno brzęku i szczęku. Urozmaica to oczywiście koloryt powieści, lecz ktoś, co się obrazu cywilizacyi niemieckiéj spodziewał, pyta się daremnie; a gdzież życie domowe, gdzie zwyczaje, obyczaje, gdzie modlitwy, pieśni i opowiadania narodu w czasie pokoju?

Między drugą, a trzecią powieścią zaczynającą się w r. 1226, leży znów przestrzeń czasu, na którą Niemcy słusznie z dumą wskazują, a którą autor znów pominął. W XI w. zaczynają resztki rzymskiéj cywilizacyi, przez łacińskie duchowieństwo w chrześciańskich narodach pielęgnowane, stopniowo gdzieś uchodzić i ginąć, aż około r. 1050 tak dziwnie bez śladu przepadają, jak gdyby ich nigdy nie było. Na zaoranéj ziemi cywilizacyi grecko-rzymskiéj wyrasta nowy kwiat, podsycany sokami świeżych, niezużytych jeszcze ludów. Germańscy wojownicy zamieniają się w średniowieczne rycerstwo, które było początkowo na wpół duchowną, na wpół świecką instytucyą, a wyrosło z tęsknoty za ideałami. Jakie są te ideały? czy mylne, czy prawdziwe, nie naszą rzeczą oceniać, bo nie stoimy jeszcze u celu pielgrzymki ziemskiéj i dlatego nie wiemy, czy się synowie nasi nie będą z tego śmiali, w co my dziś wierzymy. Rycerze średniowieczni bronili swéj wiary z przekonaniem, nie odmawiali ubogiemu i sponiewieranemu pomocy, chylili hardy kark przed prawem miłości bli-

źniego, zanim się Raubritterami stali. A co marzyli, czego pragnęli, do czego dążyli, złożyli w poezyi, bo dziecięce ludy umieją tylko obrazami czuć i myśléć i tęsknić. Bogatą literaturę mają średniowieczni Francuzi i Niemcy. Truwerowie Normandyi i rycerscy epicy Germanii napełniali swe czasy pieśnią, muzyką, dźwiękami i poezyą. Dziś jeszcze, gdy się odczytuje epopeje takiego Wolframa z Eschenbachu, rycerza, który pisać nie umiał, podziwiać trzeba głębokość ówczesnych dusz poetyckich. A całą tę epokę woni i muzyki pominął Freytag, przechodząc od razu od jednostronnie tylko uchwyconego początku średnich wieków do pierwszych zwiastunów ich końca, bo szybko wybujały kwiat rycerstwa, trwał nie długo. Już bowiem w końcu życia głównych jego reprezentantów, około r. 1230—50 zaczął okwitać, chylić się do upadku, łamać. Gdy zapał religijny i rycerski, który ciepłem swem rozkwit jego przyśpieszył, minął, usunęły się podwaliny z pod stóp rycerstwa. Polityczne nieszczęścia Niemców dokonały reszty. Może na to kto odpowiedziéć: Freytag niechciał odtworzyć ideału rycerstwa. Bezwątpienia. Powieściopisarz może sobie wybrać epokę, którą tylko zechce, gdy *tylko tę a nie inną epokę* maluje, lecz gdy daje ciągły, całolity obraz, nie powinien tylko *samych* cieniów uwydatniać. Nie zapominajmy, że powieść nowoczesna jest nauczycielką wielkich mas, które nieumieją prawdy od nieprawdy odróżnić, że na tysiąc czytelników czyta jeden dzieło naukowe, a 999 czyta powieści. Kto się więc z „Przodków“ Freytaga historyi cywilizacyi niemieckiéj uczy, (a takich wielka ilość), jakież on będzie miał pojęcie np. o chrześciaństwie i rycerstwie niemieckiém? Chrześciaństwo to głupi, ambitny, obżarty, a późniéj mściwy mnich, a rycerz—to rabuś, który żyje łupem, na uczciwych zdobytym ludziach. Jest to oczywiście woda na młyn tak zwanych narodowo—liberalnych Niemców, ale dziś, kiedy i epoka burżoazyi niemieckiéj przeminęła, wiemy że bankierzy i fabrykanci w glansowanych rękawiczkach nie gorzéj od raubritterów rabowali. A gdzież jest między ludźmi złota, między sługami Molocha; rycerski honor, rycerska ofiarność, któremi się i najsurowszy ritter przejmował.

I w trzeciéj powieści przeważa brzęk broni, bo i tu jest idea polityczna gwiazdą przewodnią; Iwo, wolny pan, niemiecki freiherr; uznający nad sobą tylko majestat monarchy, wjeżdżający na książęcy dwór w pełnéj zbroi, świtą swych giermków otoczony, chyli się w końcu przed potęgą księcia. W powieści téj jest już więcéj ruchu, niż w poprzednich. Widzimy tu barwiste, jaskrawe, poetyczne życie bogatego rycerza: turnieje i biesiady, najazdy i gonitwy. Słyszymy nawet dźwięk miłosnéj liry, lecz Iwo nie jest już hartownym rycerzem, fanatycznym wiary obrońcą, nie jest hardym panem, który

woli zginąć, aniżeli swą herbowną tarczę niewalecznością lub cieniem nierycerskości splamić. Marnotrawny to, miękki, błyszczący pan zwiastun upadającego rycerstwa.

Jeżeli w pierwszych trzech powieściach idea polityczna ostatecznie całości główny ton nadaje, przechodzi Freytag z czwartą powieścią zupełnie na grunt polityczno-tendencyjnéj powieści. Opuszcza Niemcy, a spieszy nad Wisłę, bo polityka niemiecka dąży na wschód, bo celem polityki niemieckiéj jest podbić Słowiańszczyznę! *Der Drang nach Osten!* znane dziś hasło, odzywa się już wyraźnie w czwartéj powieści. Bo dlaczegoż autor akcyą nad naszę Wisłę przenosi? Przecież losy życia niemieckiego nie rozgrywały się nad żółtemi wodami naszéj rzeki, przecież zakon krzyżacki był właściwie tylko misyonarzem chrześciaństwa na północnym wschodzie, bo kiedy cel ten przeminął, skonał i zakon. Freytag zaś narzuca Krzyżakom hasło polityczne: *der drang nach Osten*! Według niego byli krzyżacy misyonarzami cywilizacyi niemieckiéj, byli na pierwszym planie Niemcami, a dopiéro na drugim chrześcianami. Nam się zdaje, że się rzecz odwrotnie miała. Z czwartą powieścią przechodzi Freytag do stanu mieszczańskiego, nie pokazawszy ani rozkwitu, ani upadku rycerstwa, ani téż początku mieszczaństwa, które się na gruzach średniowiecznéj szlachty, w czasie obrony przeciw raubritterom do solidarności zmuszone, w silny, niezależny od innych i bogaty *stan* organizowało. Gdyby autor był chciał kwitnące mieszczaństwo odmalować, nie byłby zabłądził nad Wisłę, bo wie on bardzo dobrze, gdzie trzeba prawdziwego mieszczaństwa szukać. Bogate miasta południowych Niemiec, potężny związek hanzeatycki, kwitnący przemysł, początki sztuki plastycznéj, oto mieszczaństwo. Jest że mieszczaństwo Torunia, które dla miłego spokoju, dla wygodnego trawienia, dla bezkłopotnego spożywania nagromadzanych bogactw narodowości swéj się zrzeka i przed Polską się korzy, właściwém mieszczaństwem? To już nowoczesna burżoazya, to kupcy, których jedyną wiarą, kochaniem, ideałem jest grosz. To nie jest to świeże, dumne mieszczaństwo, z którego wyrosł kwiat narodowy cywilizacyi niemieckiéj, bo to poprostu obrzydliwe filistry, czyli stan dla artysty najmniéj sympatyczny. Marcus König błądzi wśród tych karłów jak upior dawno minionéj przeszłości. Nikt go nie rozumie ani popiera: stoi on zupełnie samotny wśród swego otoczenia, wśród szwagrów, kuzynów i innych krewniaków. Polityczna idea niemieckości „das deutschthum,“ przez Königa reprezentowana, robi także wrażenie bezkrwistego upioru. Poszła ona już dawno do rupieci: nikt o niéj nie myśli. Swoją drogą jest Marcus König jako *artystyczna* postać sympatycznem zjawiskiem, boć to człowiek, który dla idei

walczy; który, gdy widzi, że go otoczenie nie rozumie, że go nawet wielki mistrz, daremnemi walkami zmęczony, zdradził, bo ugiął kolana przed królem Polski; nędzne miasto z żalem, nawet z rozpaczą w sercu opuszcza. Lecz *typem* swego czasu nie jest Marcus Konig: jest on, jak powiedzieliśmy upiorem wśród swego otoczenia, jest po prostu wcieleniem politycznéj idei Freytaga, jest tém co dziś „kulturträger“ nazywamy. A syn jego Jerzy? Jest-że to mieszczanin? Gdzież tam! Awanturnik, haraburda, zawali-droga, który na miejscu dosiedzieć nie może, który się z całym światem boryka, aż w końcu, gdy miarkę przebrał, między zdziczałych landstknechtów idzie i tam bez celu i myśli jak raubritter walczy, jest wnukiem Inga w prostéj linii, wnukiem junaków swéj pięści tylko ufających. Jakiż cel téj powieści? W poprzednich była idea polityczna ostatecznym rezultatem, lecz idea, wpływająca bezpośrednio na społeczny ustrój Niemców. Junak, ustępujący przed potęgą wytwarzającego się porządku, wolny pan, przysięgający królowi, którego dotąd nieuznawał, posłuszeństwo; ten sam wolny freiherr, poddający się w końcu rozkazom bliższéj swéj ojczyzny, czyli jéj reprezentantowi, księciu, wszystko to postacie typowe, stojące wśród drogi pochodu niemieckiego. Więc choć Freytag rozkwitu średnich wieków nie odsłonił, choć stawał zawsze na schyłkach historycznych momentów, niepofatygowawszy się na wierzchołek, widzimy jednak przejrzysty, jednolity plan. Tą drogą daléj idąc, powinien był Freytag upadek rycerzów, którzy się na stanowiska panów wcisnęli (w. XIV), a daléj upadek rycerstwa na korzyść mieszczaństwa (w. XV), a w końcu, gdy się i chłopstwo przebudziło, ogólne zamięszanie stanów (w. XVI), z którego nowy porządek wyszedł, odmalować. Nie uczynił tego.

Z całości wyrwana, za siebie tylko odpowiadająca czwarta powieść miałaby cel, gdyby autor powiedział: chcę upadek Krzyżaków odmalować! Lecz w rzędzie „Przodków“ jako część całości nie ma żadnego celu. Może mnie kto o niechęć do téj powieści z powodu polskich, w niéj znajdujących się karykatur, posądzić. Że nas Freytag nie lubi, wiemy już z powieści jego „Soll und Haben,“ że nam, gdzie może, łatkę przypina, znaną jest rzeczą. Niemca razić musi polska żywość i nieopatrzność, a Polaka niemiecka flegma, egoizm i utylitaryzm. Że się Freytag o nas ostro i bezwzględnie, często rozmyślnie niesprawiedliwie wyraża. to jego rzecz. Samo się przez się rozumie, że naród tak krewki i gorący, jak nasz, musi mieć wiele wad obok zalet, o jakich się flegmatycznym Niemcom ani śniło, samo się także przez się rozumie, że obcy a tak bystry jak Freytag spostrzegacz, wszystkie nasze wady znakomicie opisuje, ale chyba dziecię gniewałoby się za to. Naród, który nie znosi krytyki, zjada się

z czasem, zadusza się mdłemi kadzidłami, nie ma przyszłości. Nie gniewamy się za to na Freytaga, że wady nasze odsłania, za to zaś, że w nas nic dobrego, tylko same cienie widzi, niech odpowie przed własném sumieniem artystyczném, które nienawiści znać nie powinno. Że nas karykatura naszego życia przy téj ocenie nic nie obchodziła, dowodem, iż nie robimy na nią nacisku. Nie tedy niechęć, lecz prawda historyczna skłania nas do powtórzenia twierdzenia: że przedmiot czwartéj powieści jest zupełnie chybiony, bo nie należy właściwie wcale do historyi cywilizacyi niemieckiéj, bo rozgrywa się za granicami właściwych Niemiec. A przecież nie próżnowały wcale ówczesne Niemcy. Właśnie w owych czasach krystalizował się zupełnie nowy porządek społeczny, który miał być podstawą wieków następnych. Upadek mieszczaństwa, wojny chłopów, Luter, humaniści, Melanchton, Hutten, gdzież to wszystko? Dalekie echa religijnego ruchu, odzywające się w Toruniu, są tak słabe, że nie naśladują nawet właściwych dźwięków. Jakiż tedy cel czwartéj powieści? Oto—pruska polityka. Jeżeli Freytag w tych pierwszych powieściach był Niemcem, nie znającym Prusaków, staje się w czwartéj Niemcem, który uznaje hegemonią Prus. W myśl takiego planu powinien był epokę upadających krzyżaków zupełnie pominąć, a wychwycić kilka kartek z dziejów młodych, świeżych jeszcze, ale ustalonych już i samowiednie pracujących Prusaków. Wiarołomny i słaby Albrecht Brandeburski nie nadaje się wcale na twórcę *idei pruskiéj*.

Piątéj powieści „die Geschwister“ nie możemy nic zarzucić. Historyk cywilizacyi niemieckiéj nie mógł trzydziestoletniéj wojny pominąć. Należy ona do głównych epok dziejów niemieckich. Że Freytag z trzydziestoletniéj klęski chwilę ostatnią, chwilę opamiętania się i tryumfu *sumienia niemieckiego* wybrał, przynosi mu, jako patryocie zaszczyt. Piąta powieść jest obrazem wojennym, jak powiedzieliśmy. Od początku do końca słyszymy szczęk broni; bohater Bernhard König, ginie też wśród wojennéj wrzawy. Jako obraz wojenny jest powieść całolitym, skończonym w sobie obrazem; nic tam dodać, ani ująć nie można. Zarysowująca się na groźném tle bratobójczéj wojny postać Judyty, na jaskrawe to malowidło rzuca łagodne, srebrzyste blaski poezyi.

Z powieścią szóstą wstępujemy w progi bieżącego stulecia. I wybór wojny o niepodległość wytrzymuje historyczną krytykę, bo wojna ta jest bezpośrednią przyczyną dzisiejszéj wielkości Prus a daléj Niemiec. Już to samo, że Freytag w ostatniéj powieści prawie współczesne typy odtwarza, jest rękojmią ich prawdziwości, znaną bowiem rzeczą, że Freytag to co widzi, znakomicie odtwarza.

Ze streszczenia i z tego co się wyżéj o ogólnéj kompozycyi powiedziało, możemy zawnioskować, że Freytag nie miał zamiaru odmalowania cywilizacyi niemieckiéj, a jeżeli się pierwotnie, gdy się do pracy zabrał, z podobną myślą nosił, zmienił plan w ciągu roboty, gdy się w olbrzymim rozpatrzył materyale. Nie stworzył obrazu cywilizacyi niemieckiéj, nie pokazał nam, jak naród niemiecki w zaciszu domowém żył, pracował, marzył, modlił się, lecz ubrał postępującą ideę polityczną w powiewne szaty artystycznych słów i obrazów. Nie widzieliśmy już w pierwszéj powieści obyczajów starożytnych Germanów, bo kilka społecznych rysów, wplecionych do opowiadania, kilka zwyczajów, panujących na dworze Answalda, są zaledwie odłamkiem ówczesnego życia. Nie widzieliśmy germańskich kapłanów, ani kapłanek, nie słyszeliśmy starożytnéj modlitwy, nie bawiliśmy się i uczyli z dziećmi, z kobiétami, słowem nie poznaliśmy całego domowego życia, z którego publiczne jako naturalny skutek wypływa. Powiedziało się już, że między pierwszą a drugą powieścią leży epoka, przyszłościowemi brzemienna przewrotami. W powieści drugiéj i trzeciéj nie widzimy chrześciańskich mnichów, którzy z zapałem kazali, ani pierwszych wojen krzyżowych, ani rycerskich epików. W dalszych powieściach szukamy daremnie pracownego, bogatego mieszczaństwa, z którego wyszli artyści, poeci i filozofowie, nie widzimy walk idei religijnych i filozoficznych, a przecież to główna spuścizna pracy niemieckiéj. Obrazem cywilizacyi niemieckiéj nie możemy tedy „Przodków“ Freytaga żadną miarą nazwać. Jest to obraz polityki niemieckiéj, a jako taki byłby dokładny, gdyby Freytag nie był rozmyślnie epok rozkwitu pomijał.

Nie będziemy się nad tym rozwodzili, jaki przedmiot dla artysty lepszy: polityka, czy cywilizacya? Kto jednak sam powieści pisze, wie dobrze, iż daleko trudniéj odmalować ciche, niehałaśliwe życie aniżeli wojenne odtworzyć obrazki. Szczęk broni, wrzawa bitew, wojenne pochody, bohaterskie śmierci, rozmaite nieprzewidziane zdarzenia, nie tylko urozmaicają koloryt powieści, lecz ułatwiają także pracę, bo śmierć na polu bitwy, niespodziewany napad i t. d. są wygodnemi środkami do zakończenia czy sceny, czy saméj powieści. Nie potrzeba się téż bardzo o realną prawdę akcyi, o staranne uzasadnianie czynów troszczyć, boć na co zda się motywowanie tam, gdzie cięcie mieczem lub zdradliwa kula, życie bohatera w każdéj chwili zakończyć może. Lecz właśnie tego wojennego kolorytu „Przodków“ naturalnym skutkiem jest zasadniczy, artystyczny błąd szczegółowéj kompozycyi: to jest wielkie podobieństwo bohaterów! Są oni wszyscy, z wyjątkiem Marcusa Königa, wojakami, wszyscy więc jako *bohaterowie* niezwalczonymi, nieskalanymi, nieustraszonymi ju-

nakami być muszą, zanim ich autor pochowa, lub inaczéj niemi się rozporządzi. Ingo, Immo, Iwo, Jerzy König, Bernhard König, w końcu i sam dr. König—wszyscy oni muszą być wszędzie i zawsze zwycięzcami. Kto się pod miecz ich dostanie, pożegnać się musi najprzód z życiem. Raz, dwa razy podoba się oczywiście taki junak, lecz gdy się piąty i szósty raz powtarza, musi znużyć. Z tego samego źródła płynie drugi błąd szczegółowéj kompozycyi; ta sama zawsze scenerya! Widzimy w każdéj powieści bitwy, pochody wojsk, opisy obozów, te same w końcu krajobrazy, łuną pożogi oblane, dymem bitew owiane. Zdarza się nawet, że autor tę samę scenę prawie dosłownie *mutatis mutandis* powtarza, bo skądże w końcu brać nowe scenerye do tego samego przedmiotu? Porwanie np. Judyty przez Bernharda Königa w piątéj powieści, nie różni się prawie wcale od takiego samego uwiedzenia Irmgardy przez Inga w powieści pierwszéj. Oto są główne wady „Przodków“ Freytaga: niewłaściwy wybór epok, podobieństwo bohaterów i tożsamość sceneryi.

Zalety zaś? Już sam pomysł takiéj pracy zasługuje na uznanie. Bądź jak bądź, czy Freytag wszystkim żądaniom krytyki zadosyć uczynił, czy odtworzył zupełny obraz życia niemieckiego, w każdym razie ogarnął całą historyą swego narodu w kilku przejrzystych, a rzeczywiście pięknych obrazach. W „Przodkach“ widzimy przynajmniéj jedną stronę pochodu myśli niemieckiéj, politykę, zwięźle i przejrzyście odmalowaną.

A wszędzie, gdzie się sposobność do rodzajowego malowania zdarza, jest Freytag wręcz niezrównanym mistrzem. Wszystkie sceny miłosne są tak urocze, tak owiane poezyą i ciepłem uczucia, iż nie ma podobnych w całéj beletrystyce niemieckiéj. Rozmowa Inga z Irmgardą (I powieść), Iwa z hr. Meranu (III p.), pożycie małżeńskie Jerzego Königa z Anną, córką magistra (IV p.), marzenia Judyty (V p.), sceny sielankowe na plebanii (VI powieść) są perłami beletrystyki. I charakterystyka „Przodków“ jest znakomita. Pominąwszy podobieństwo samych bohaterów, są oni wszędzie, czy mówią, czy się ruszają, alboli czynią — samemi sobą. Mają oni kilka wspólnych rysów, lecz każdy z nich jest dzieckiem swego czasu i otoczenia. Freiherr Iwo, bogaty pan, gdy stoi na balkonie swego zamku i cieszy się ze śpiewu ptasząt, świergocących na gałęziach drzew ogrodowych i sam piosenkę nucić zaczyna, jest na wskroś Niemcem: *ein gemüthliches deutsches Herz.* Wszystkie drugorzędne i trzeciorzędne postacie „Przodków“ są po mistrzowsku nakreślone. Towarzysze Inga, kmiecie Imma, giermkowie Iwa, koledzy Bernharda Königa są wprost z życia wychwyconemi figurami: *treue, biedere, deutsche Naturen.* Tu i owdzie przypomniał sobie Freytag, że był dawniéj

także panem poetyckiego humoru. Sługus Marcusa Königa jest paradnym okazem szubienicznika, który sobie ze śmierci drwi, a paź Bernharda Königa jest rodzonym bratem „Knirpsa“ z „Soll und Haben.“ Freytag należy do tych nie wielu beletrystów niemieckich, którego postaci *żyją* i po ludzku mówią i czynią. Zwykle *filozofują* bohaterowie powieści niemieckich, a żyją tylko w głowach autorów.

Obok tych głównych zalet powtórzyć wypada to samo, co się na początku niniejszéj oceny powiedziało. Krajobrazy Freytaga są przepiękne. Kiedy Ingo nocną porą po kochanie swe spieszy, a wichry tak wyją i huczą po lesie, jakby się gniewały na zuchwałość nocnego wędrowca, a drzewa gną się, a niebo, błyskawicami rozdzierane, jaskrawemi blaski przeraża, wtedy woła się z uwielbieniem: potężne jest słowo artysty! Pod piórem Freytaga ożywiają się lasy, pola, miasta i wioski, płoną zdobyte fortece i walą się rycerskie zamczyska. Gdy Freytag przy sosnowém ognisku, lub pod cienistą lipą z parą kochanków zasiędzie, wtedy widzi każdy rys, każdy ruch, wtedy słyszy, co sobie robaczki, w stołach i krzesłach piłujące, opowiadają. Delikatny jego penzel odtworzy najmniejszą drobnostkę. Dykcyą Freytaga ocenili czytelnicy ze streszczenia pierwszéj powieści. Zakończmy: Freytaga „Przodkowie“ należą mimo usterek do tych niewielu powieści niemieckich, które nie utoną po latach dwudziestu w ciemnościach zapomnienia.

Teodor Jeske-Choiński.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

XIX.

Była niedziela. W dniu tym otwierał jeden ze znanych w mieście domów swoje salony dla przyjęcia gości. Zebrania te były dosyć liczne, ograniczały się jednak tylko do pewnego kółka towarzyskiego.

Gospodarz domu, pan Alfons, stoi właśnie niedaleko progu, przyjmując gości. Jest to człowiek już w podeszłym wieku, wysoki, chudy i twarzy gładko ogolonéj. Wydatny profil znamionuje pewną bystrość umysłu, a szczęśliwego uśmiechu koło ust trochę za grubych pozazdrościłby mu niejeden dyplomata. Ma frak czarny i białą chustkę pod szyją, na klapie od fraka widać czerwoną wstążkę niepośledniego orderu.

Po drugiéj stronie wchodu stoi niska, szczupła o siwych włosach dama, z pewną wyszukaną prostotą ubrana. Ma czarną jedwabną suknię, obszytą koronkami. Nic się na niéj nie świeci, tylko pod szyją przesłonioną koronkami błyśnie od czasu do czasu snop światła jakby z bateryi zamaskowanéj.

Powitania i krótkie rozmowy odbywają się po francusku, tylko od czasu do czasu wmiesza się jakieś słowo polskie na świadectwo, że wieczór ten nie odbywa się w departamencie niższéj Sekwany, ale w murach polskiego miasta.

Zebranie już dosyć liczne. Główniejsze figury już się stawiły— kółka zaczynają się grupować. Powoli zdążają marudery.

Do tych należy właśnie gość, który w téj chwili wszedł do salonu. Wszedł ze swobodą, która zdradza krewnego domu.

— *A, monsieur George*!!—ozwał się pan Alfons podając mu rękę — już zwątpiłam o tobie. Znikasz z naszego horyzontu co raz więcéj i obawiam się, aby pewnego dnia nienastąpiło zupełne zaćmienie!...

— *Ma foi!*—odparł gość spóźniony—myślałem, że właśnie wtedy dopiéro będę *błyszczał* moją nieobecnością!

— To ci się słusznie nawet należy... ale a propos mam słówko z tobą do pomówienia.

Pan Alfons wziął gościa pod ramię i wszedł z nim do bocznego pokoju.

Jerzy wyglądał dzisiaj świetnie. Ubiór wieczorowy zrobił go młodszym o jakie dziesięć lat. Na owym wieczorku w willi zamiejskiéj wydawał się starszym. Był nawet w lepszym humorze niżeli wtedy, gdy z panią Laurencyą rozmawiał. Widać to było po jego ożywionéj twarzy.

— *Cher cousin*—rzekł do niego pan Alfons—chciałbym z tobą o pewnéj sprawie pomówić, która wprawdzie jest twoją osobistą sprawą, nie mniéj jednak należy także do familii. Wszak sam to przyznasz!

Jerzy spojrzał z uwagą na krewnego, który wiekiem i stanowiskiem zajmował ważne miejsce w familii.

— Niewiem dotąd—mówił pan Alfons—czy stosunek swój do lokatorki bierzesz na seryo czy tylko bawisz się *pour passer le temps*. W pierwszym wypadku należałoby o tém pomówić—w drugim masz wolność osobistą nieograniczoną. Cóż mi na to odpowiesz?

Jerzy poprawił lornetkę i milczał czas niejaki.

— *Je vous assure*—odparł po chwili—że sam jeszcze nad tém dobrze niepomyślałem. Brakuje mi jeszcze pewnych danych, bez których o tém myśléć nie mogę.

— O te dane trzeba się postarać—bo gdy rzecz pójdzie w odwłokę, to będzie potém zapóźno!

— Oto się bynajmniéj nie boję—*je conais mes individus*—dla mnie nigdy nie będzie za późno!

— O cóż ci idzie?

— Idzie mi przedewszystkiém o to, jakby ją nasze towarzystwo przyjęło. Jest to zawsze sytuacya trochę niezwykła—możeby kto przeczuwał tam jaki skandal...

— W takim razie nie można nawet myśléć!... Ale ja o żadnych skandalach nie słyszałem. Jest rozwód formalny—powody ze strony męża. Ma być waryat!

— O rozwodzie nie wiem—ale wiem o unieważnieniu ślubu z powodu pewnych nieformalności.

— To na jedno wyjdzie. Ale nic niesłyszałeś co by...

— Plotki w takim razie zawsze są i będą—ale na nie uwagi się nie zwraca!

— Powiadasz... plotki... no, ty sam najlepiéj możesz osądzić, co jest plotką!

— Chodzi mi o to, czy towarzystwo niechciałoby takim plotkom dać wiary i potém...

— Jeżeli w moim domu z tobą ją obaczą... któżby się wtedy poważył?...

— Zapewne... niktby nie odważył się... a zresztą ja sam w takim razie umiałbym...

— Tego wszystkiego nie potrzeba — potrzeba tylko prędko skończyć... tak albo owak. Nic tak nie szkodzi, jak niewyraźne położenie. Ludzie zazwyczaj w takiém położeniu lubią widziéć rzeczy, których tam wcale nie ma!

Jerzy bawił się lornetką.

— Jeszcze jedna zachodzi okoliczność — mówił daléj pan Alfons—jeżeli masz nam ją wprowadzić, to nie trzeba pozwolić, aby przed tém wyrabiała sobie pewne stosunki towarzyskie, któreby w naszéj sferze były niewłaściwe. Słyszałem, że była na wieczorku u pani Euzebii.

— Tak jest, ale...

— Nie jest to jeszcze nic złego. Pan Filemon zacny, poczciwy sobie człowiek—pani Euzebii także nic zarzucić nie można, ale przy takiéj mięszaninie, jaka tam zazwyczaj bywa, nie trudno aby zabrać pewne znajomości, których potém pielęgnować nie można. Zresztą są domy, w których my mężczyźni możemy bywać i bywamy, ale kobiét naszych nie radzi tam prowadzimy... A innych znajomości nie ma ona?

— Żadnych—czeka bowiem na moje ostatnie słowo.

Pan Alfons przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Chciałbym jeszcze jedną rzecz poruszyć... Czy jest ci dobrze znane jéj położenie materyalne?

— O tyle o ile...

— Nie jest to rzecz mała—tém bardziéj, że nie masz majątku, któryby mógł być godnym twojéj pozycyi... Czy wiesz o jéj procesie z byłym opiekunem?

— Coś słyszałem o tém.

Pan Alfons zbliżył się teraz do Jerzego i z uwagą patrzał na niego.

— Pisał mi adwokat, który prowadzi interesa byłego jéj opiekuna... gdybyś zdeklarował się podpisać wspólnie z nią rachunki

odnoszące się do czasu, gdy ona była małoletnią... to nietylko nikt z jéj rodziny nie stawiałby waszemu związkowi przeszkód, ale owszem użytoby wszelkiego wpływu, aby ten związek do skutku przyszedł.

Jerzy cofnął się o dwa kroki.

— Cóż mi może zależéć na dobrych lub złych chęciach byłego opiekuna, który chociaż jest najbliższym krewnym, okradał ją niepospolicie? Idzie o znaczną sumę!

Pan Alfons milczał czas niejaki.

— Masz słuszność—odparł po chwili—ale w interesie większéj wagi nie trzeba być bardzo wymagającym. Jest ona pod względem majątku dobrą partyą—w takim razie bywa konkurencya—a wiesz dobrze, że konkurencya w środkach nie przebiera. Nie jesteśmy bez skazy, a jeżeli ktoś na tę skazę palcem wskaże, wtedy urośnie ona nagle...

— *Vous voulez dire*... ale ta sprawa już załatwiona.

— Moja rada jest, zgodzić się na podpis rachunku i rzecz zakończyć. Odwłoka dla was obojga niedobra!

Jerzy zaczął bakenbardy rozczesywać palcami.

— W każdym razie odłożę tę sprawę jeszcze do pewnego terminu. Nic mnie nie nagli—a pewny jestem siebie. Być może, że tak strasznie nie zakochała się we mnie, ale widocznie bardzo pragnie zostać moją żoną.

— Rzecz bardzo naturalna.

Na tém skończyła się rozmowa, bo właśnie wszedł do pokoju pan Witold, aby gospodarza o coś się zapytać.

Jerzy wyszedł do salonu. Wyglądał teraz jeszcze lepiéj. Rozmowa z panem Alfonsem, którego opinia wiele bardzo znaczyła, ożywiła go widocznie. Na ustach drżał uśmiech zadowolenia. Wielką miał ochotę zanucić sobie jaką aryjkę z wesołéj operetki, a nawet już przygotowania zrobił do tego mimo wiedzy swojéj—gdy nagle ktoś go w ramię trącił.

Obejrzał się—była to pani Aurora, która się go wachlarzem swoim z kości słoniowéj dotknęła.

Pani Aurora była kobiétą już nie młodą, miała jednak biust prześliczny i nadzwyczaj białe ramiona. Okazywała więc z rozkoszą te wdzięki swoje i znaną była z strojów mocno wyciętych. Dzisiaj miała suknią żółtą z czarném ubraniem.

— *Monsieur George!*—rzekła do niego z uśmiechem słodkim—alеż pan wyglądasz co dzień młodziéj? Wyznaj mi pan swój sekret—zda się on i dla mnie!

— W takim razie, *permettez madame*—odparł z galanteryą—że zaczekam jeszcze dosyć długo z wyjawieniem tego sekretu, bo dzisiaj niezdałby się jeszcze na nic!

— Prawisz mi pan komplementa, aby sekretu nie wyjawić!

— Jeżeli tego koniecznie pani żąda...

— Ależ ja przepadam... jak pan widzisz!

— Toż wyjawię ten sekret... *aimer et être aimé!*

— Ach to specyfik dawno już z mody wyszły!

— Ale nie mniéj skuteczny!

— Ja co innego panu powiem... panu służy świeże powietrze. Od czasu jak pan tak często za rogatki miasta wyjeżdżasz... stajesz się pan co raz młodszy!

— Rozszerzenie sfery swojéj jest zawsze higieniczne. Dowodem tego pani Egeja... czy dawno widziałaś ją pani?

— *Fi donc*—jak pan możesz mnie o to pytać!

— Bo mnie to uderzyło, że po eskapadzie swojéj po za... rogatki matrymonialne ślicznie wygląda!

Pani Aurora uderzyła mówiącego wachlarzem w ramię.

— W zamian muszę panu powiedzieć—rzekła po chwili—że i ja kogoś wczoraj widziałam, co tak ślicznie wyglądał, jakby już był lub dopiéro zabierał się do podobnéj eskapady!...

Jerzy zakręcił lornetkę w koło palca.

— Dowodzi to—odparł—że oczekiwana ta eskapada bardzo tę osobę uszczęśliwia!

I zapuścił palce w bujne swoje bakenbardy.

— Że ją uszczęśliwia, widziałam to na własne oczy. Patrzała na niego z niezwykłém zajęciem, podczas gdy jéj książki wybierał o astronomii!

Jerzy ustrzągł nagle w bakenbardach.

— Kto wybierał? *Que dites vous madame?*

— Młody, bardzo przystojny brunet!

Jerzemu wydały się te słowa niezrozumiałe. Pani Aurora zakryła twarz wachlarzem i uśmiechnęła się do przechodzącéj pani Anetty.

— Cóż państwo macie tak wesołego?—zapytała pani Anetta.

— Nic, mówimy o higienie!—odparła pani Aurora—pan Jerzy twierdzi właśnie, że zmiana eliksyrów, potrzebna jest dla zdrowia. Pić zawsze herbatę to denerwuje, trzeba ją czasem zmienić na kawę choćby tylko!... czarną!... Mówię panu, bardzo przystojny brunet!—dodała z pod wachlarza.

Jerzy nie był tak źle wychowanym człowiekiem, aby dał po sobie poznać, że to mocno go obeszło. Zresztą dalsza rozmowa nie

doprowadziłaby do niczego—a to co usłyszał, mogło mu posłużyć do dalszych myśli. Nawet niebezpiecznie było pytać dalej. Mógłby się o czemś dowiedzieć, coby go obowiązywało potém w zamysłach jego—a tak, niedomówione można mimo uszu puścić a nawet jedno oko przymrużyć... byle tylko ludzie niepowiedzieli, że się o tém wie lub wiedziało!

Z wesołym uśmiechem rozczesywał dalej bakenbardy.

— Pani masz dzisiaj humor nieoceniony—ozwał się—a szkoda, żeby tak marnie się zużył!... Pan Ignacy...

— Ależ ja dzisiaj liczyłam na pana jak na Zawiszę!—odparła wesoła dama—dla pana był ten dobry humor... *ingrat.*

Jerzy otrzymał znowu lekką kontuzyą od wachlarza.

— Przecież tak dobrze jesteś pani poinformowaną o mnie, wiesz o wycieczkach po za rogatki... jak w takim razie mogłaś pani liczyć?...

— Właśnie dla tego liczyłam wiedząc dobrze, że... serce zranione, bolejące, zrozpaczone, najłatwiejsze jest do okupacyi!

— Zkąd dowiedziałaś się pani o mojéj rozpaczy?

— Astronomia... księgarnia... książki...

— Stawiaj pani na loterją!

— Pan już i za mnie postawiłeś!

Ciekawa ta rozmowa przerwała się wejściem kilku innych osób do grona. Jerzy był zadowolony z tego, bo chciał właśnie uporządkować to w swojéj głowie, co słyszał. Najmocniéj drażniło go to, że o tém już mówiono. Mniejszéj byłoby wagi dla niego, gdyby sam tylko wiedział.

Cofnął się do ostatniego pokoju.

XX.

Tego samego dnia nad wieczorem siadł Teodor na swoim kulawym fotelu i zaczął obok siebie pilnie jakieś olbrzymie cyfry grupować. Zastępy liczb powiększały się za każdym pociągiem pióra i rosły jak lawina, gdy z wysokich gór w dolinę upada.

Pisał i mazał, mazał i pisał—wreszcie odrzucił pióro i oparł się o poręcz fotelu.

Światło lampy padało teraz na twarz jego. Na téj twarzy zaszła w ostatnich dniach jakaś widoczna zmiana. Rozumne, badające wejrzenie oczu zastąpił jakiś blask gorączkowy, który był podobny do blasku fosforu. Włosy z czoła usunęły się w tył i odsłoniły nabrzmiałe pręgi na skroniach, które zdradzały niezwykłą temperaturę głowy. Cały wyraz twarzy okazywał pewne niezadowolenie i niesmak. Wyciągnął obie ręce do góry i sparł je na głowie.

— Nie skończę rachunku!—rzekł do siebie—wszystko mi się mąci przed oczyma! Za każdą cyfrą widzę ją, z pomiędzy wierszy wychyla się do mnie i patrzy!... Co za oczy! Co w tych oczach gore!... Czego ode mnie chce ta kobiéta?...

Puścił wzrok w przestrzeń pokoju i zamyślił się.

— Czyż to podobna—myślał—aby ona mnie kochała? Czyż mógłbym przypuścić, żeby to serce, które w tysiącach wybierać może, właśnie mnie sobie wybrało?... Czyżby nie było szaleństwem z mojéj strony, uwierzyć że tak jest? Nie... nie... to być nie może!

I zrobił pauzę w swoich myślach.

— A jednak gdy jestem przy niéj... gdy mnie swojem okiem ogarnie, gdy w tém oku obaczę ten blask, który się mocniéj zapala, gdy się z memi spotka oczyma... gdy to wszystko widzę, to zdaje mi się, że ta kobiéta mnie kocha, że przy mnie czuje się szczęśliwą!

Rozśmiał się głośno z tych marzeń swoich.

— Zaczynam być śmiesznym sam przed sobą!—rzekł do siebie półgłosem—wierzę w to, czego sam pragnę, podczas gdy wiara moja najmniejszéj nie ma podstawy! Ona mnie kocha!... cha, cha, cha! Czyż ja dorosłem do jéj pozycyi? Młoda, czarująca, bogata... onaby mnie wybrała!... Nie, to szaleństwo! Tysiąc rąk wyciągnie się do niéj, gdy zechce—u jéj nóg złożą w ofierze tytuły i rangi a ja... cóż jéj dać mogę w zamian za jéj piękność i majątek?...

I smutno spojrzał na stosy papierów zapisanych bez żadnéj nadziei dobrych rezultatów!

— Gdybym przynajmniéj obliczył bieg komety... gdybym zabłysnął sławą... gdyby—

Rozśmiał się znowu.

— Kobiéty na takie rzeczy nie patrzą! — dodał smutno i pochylił głowę na piersi.

I zdawało mu się, że jakaś jasna postać zbliża się do niego i szepcze mu do ucha:

— Uparty matematyku! Cyfrą i cyrklem wszystko obliczysz i zmierzysz, ale nie zmierzysz i nie obliczysz tego, co się w sercu kobiéty odbywa. Czy ty wiesz co jest miłość? Czy wiesz zkąd się bierze i gdzie odchodzi? Czy możesz oznaczyć ją cyfrą lub cyrklem zmierzyć?... Tysiące kobiét szaleją za tém, co dla innych może być niezrozumiałem, a niejedne mogą odepchnąć to, za czém tysiące wzdychają!... Któż zgadnie, do czego serce kobiece żywiéj uderzy, albo od czego ze wstrętem się odwróci?... Serce kocha choć nie wie i niepyta, dla czego... kocha nawet wtedy, gdy wszyscy się temu dziwią, że kochać może!...

Młody astronom wstrząsł głową.

Inny znowu głos do drugiego szeptał mu ucha:

— Poznaj dobrze siebie a wszystko będzie ci jasném. Przeznaczeniem twojem jest niezwykłą chodzić drogą. Zerwałeś się jak Herkules do olbrzymiéj pracy, chciałeś walczyć z tém, w co wieki wierzyły, szukałeś po niebie dróg nowych, aby staremi nie chodzić... a gdy już na téj drodze zaczynasz doznawać zawodu... masz-że wrócić do skromnéj izdebki terminatora zwykłéj, codziennéj pracy, wrócić z owych hal niebieskich, po których z dumą tak długo jak orzeł bujałeś?... Masz-że zapukać do drzwi skromnego urzędu i prosić tam o kawałek chleba?... Twoi rówieśnicy którzy od razu to zrobili, wyprzedzili cię już w téj karyerze, a ty, którego czcili jako przyszłego kapłana nauki, masz teraz zdążać za nimi w ostatnim szeregu?... Nie, to być nie może! Musisz nową iść drogą. musisz bez żadnych etapów zabłysnąć od razu tém, czego oni dopiéro przez długie lata dorabiać się muszą! Tém wyprzedzisz ich, a do tego właśnie otwiera ci się droga!... Poślubisz kobietę piękną, bogatą... wszyscy będą ci zazdrościć, tak samo, jakby ci zazdrościli, gdybyś bieg komety obliczył i nowy na niebie odkrył system!...

Młody człowiek potarł ręką po czole i wstał z kulawego fotelu. Niechciał dłużéj słuchać tego szeptu, bo zdawało mu się, że od niedobrego ducha pochodzi. Mimo to ów duch niedobry, który w tak bliskich z naturą ludzką jest stosunkach, nieprzestawał szeptać daléj... i szeptał mu ciągle, póki na jego twarz przyjemnego nie wywołał uśmiechu.

Uśmiech ten przeszedł w prawdziwe zachwycenie, gdy usłyszał regularny turkot powozu, który zatrzymał się pod jego oknami.

Do pokoju wszedł lokaj w liberyi i podał mu mały liścik woniejący fijołkami.

Przebiegł list oczyma.

— Natychmiast! rzekł do lokaja, który z uszanowaniem cofnął się do sieni.

Za kilkanaście minut wyszedł Teodor z sieni kamienicy i wsiadł do znanéj mu dobrze karety.

Wsiadając do karety zdawało mu się, że pod latarnią stał dyrektor i groźnie patrzał na niego...

W téj chwili niewiele go to obchodziło.

Daleko więcéj uderzyło go, że wyjechawszy z ulicy na rynek obaczył mężczyznę w ciemny płaszcz owiniętego, który przed karetą nagle się zatrzymał. Podniósł rękę do góry jakby chciał coś mó-

wić. Z pod płaszcza widać było teraz białą chustkę pod szyją..... ale stangret nie spostrzegł tego sygnału i kareta szparko pojechała daléj.

XXI.

Willa zamiejska wyglądała dzisiaj przy świetle księżyca jak istna świątynia miłości. Cichy szmer potoku mieszał się ze szmerem liści, które wiatr z lekka poruszał. Kilka białych obłoczków żeglowało po niebie a jeden z nich podobny był do oblubienicy w szacie weselnéj. Płynęła cicho po niebie z głową zakrytą, jak płynie każda oblubienica do bram nieznanéj przyszłości swojéj!... Za nią posuwały się wesoło dwie drużki, a każda z nich miała na głowie duże wieńce kwiatów...

Takie niebo było dzisiaj nad spokojną willą, która jakby drzemała w śnie rozkosznym. Wszystkie okna były ciemne, wszędzie było cicho i głucho, tylko dwa skrajne okna migały przyćmione światłem różowém, a w trzeciem jaśniało przezrocze błękitne.

Coś czarodziejskiego miał ten obraz na tle uśpionéj natury, niemniéj piękny widok sprawiało w téj chwili wnętrze willi.

W znanym buduarze przed stołem zarzuconym książkami i mapami siedziała angielka o siwych lokach z takim wyrazem na twarzy, jaki widzimy na posągach marmurowych. Można być pewnym że ten wyraz nigdy się nie zmieni, że to, co się tutaj wydarzy, bynajmniéj na zmianę kamiennego posągu nie wpłynie.

Jest to w każdym razie sztuka umiéć tak pozować i to pozować nie z amatorstwa ale za pieniądze.

Angielka przerzucała karty i przypatrywała się rycinom wyobrażającym niebo gwiaździste.

Laurencya siedziała przy fortepianie i studyowała jakąś fantazyą. Dzisiaj wyjątkowo miała kostium z szarego jedwabiu, a we włosach jeden kwiatek. Na szyi miała kilka sznurów korali.

Wybierała właśnie jakiś pasaż melodyjny, gdy służąca z lekka drzwi otworzyła.

Laurencya wstała na przywitanie gościa.

Wszedł Teodor.

— Nie mogę sobie darować—rzekła do gościa, a nawet na drugi raz karę sama na siebie naznaczę... że pana tak często od pracy odrywam.

Teodor uścisnął podaną rączkę.

— Ale sam pan temu winien. Jak można kobiecie niebo okazać, a potém ją samą zostawić?...

Uśmiech melancholijny przebiegł po jéj bladéj twarzy.

— Chodzić i... błądzić na ziemi umiemy—mówiła daléj trzymając rękę gościa, ale latać po niebie i tam zabłądzić jeszcze... byłoby już wielkim grzechem!

— Jak mogą panie zabłądzić w swojéj ojczyznie? ozwał się z uśmiechem szczęścia młody astronom.

— Ach! My już tak długo błądzimy nad brzegami Eufratu... tak dawno wygnano nas z téj naszéj ojczyzny i do niewoli wzięto, że nic dziwnego, gdybyśmy zaraz na wstępie drogę zmyliły!... Wyobraź pan sobie, przed chwilą chcąc zajść do Wenery o mało co nie zaszłam do... Marsa! Pięknie-by się zdziwił sybaryta niebieski z dwoma księżycami, gdyby ujrzał kobiétę budzącą go z jego mglistych mrzonek...

— Może przebudzenie takie byłoby mu przyjemne...

— Ale dla mnie nie byłoby to wcale przyjemnością! Nie lubię sybarytów otaczających się swemi dostatkami! Mam większą słabość do tych, którzy potrzebują niżeli do tych, którzy dać mogą!

Teodor spojrzał z uwagą na mówiącą. Czoło jego zaczęło się marszczyć. Spostrzegła to młoda kobiéta.

— Naturalnie z wyjątkiem pana, dodała—bo pan zaprawdę wiele, bardzo wiele mi dajesz!...

I spojrzała w oczy swego gościa.

— Teodor uśmiechnął się smutno.

— Cóż ja pani dać mogę? zapytał patrząc na nią z uwagą, cóż może pani dać młody człowiek, który dopiero pracą swoją chce szukać stanowiska między ludźmi?

Wesoło rozśmiała się Laurencya.

— Ach! mężczyzni nigdy nie wiedzą—odrzekła—kiedy dają i kiedy... zabierają!

Spuściła oczy na dywan i zaczęła się bawić koronką. Teodor patrzał z rozkoszą na te długie rzęsy jedwabne, które drzały jak pajęczyna na słońcu. Z pod tych rzęs mimo ich spojności dobywały się promienie ukrytego światła, za którém w téj chwili tak mocno tęsknił...

Młody astronom nie wiedział, że więcéj mówią oczy spuszczone i zakryte, niżeli podniesione i otwarte! Mimo to przeczuł ich mowę, bo uczuł w sercu jakąś rozkosz niewypowiedzianą. Zbliżył się do rączki, która koronkę jak polny kwiatek obskubywała i chciał tę rączkę uścisnąć i ucałować... ale rączka ta przeczuła niebezpieczeństwo i prędko ukryła się w jedwabne fałdy...

I oczy podniosły się i uśmiech zwykły powrócił na usta.

— Gotowiśmy przy progu cały wieczór przegadać, ozwała się Laurencya, a pani Rosa da mi potém za to zasłużoną burę jak przedwczoraj. Czy wiesz pan, że bardzo loczkami swemi kręciła, gdym panu podała ulubioną moją żółtą różę?... Jest to chodząca książka konwenansu światowego, którego ja się jeszcze dotąd w żaden sposób nauczyć nie mogę. Proszę z góry pana, abyś mię przestrzegł; jeżeli przez roztargnienie w czém wykroczę!... A teraz chodźmy do Angielki, aby ją potém znowu na czas jakiś opuścić!...

I z rozkosznym uśmiechem zwróciła się do siedzącego posągu...

Posąg nie ożywił się wcale. Otworzył usta jak automat, odpowiedział na przywitanie i znowu zagłębił się w kontenplacyą nieba, o którém w téj chwili prawdopodobnie ani młody astronom ani elewka jego nie myśleli.

Rozmowa zeszła na rzeczy powszednie. Angielka bardzo mały udział brała w niéj, będąc przekonaną, że to była tylko dla niéj koncesya, że młoda para więcéj między sobą porozumiewała się oczami i grą twarzy. W końcu zamilkła zupełnie zagłębiwszy się w litografii księżyca.

Młoda para mogła znowu powrócić do swego języka i swego tematu.

— Czy daleko postąpiła praca pana? zapytała Laurencya przybierając na fotelu jedną z tych póz malowniczych, która więcéj mówi niżeli słowa.

— Praca moja—odpowiedział z westchnieniem Teodor, jest tylko nieustanném... łudzeniem się!

— Łudzeniem się? powtórzyła Laurencya poprawiając z pewną zalotnością korale na białéj szyi.

— Tak jest... łudzę się tylko! Rozpoczynając rachunek, zdaje mi się, że skończę go niebawem, że upragniony rezultat uwieńczy moje marzenie... tymczasem cyfry rosną i rosną w sposób przerażający, rachunek się przedłuża, a w końcu okazuje rezultat, żem się.., omylił!

— Żeś się pan omylił! powtórzyła Laurencya i przymrużyła oczy aby skoncentrować siłę wzroku.

Na twarzy młodego astronoma widać było smutek. Wywołało go wspomnienie żmudnéj pracy.

— Zaprawdę—mówiła daléj, jakby tu dobrze było, gdybyśmy niepotrzebowali obawiać się żadnych pomyłek!... Pomyłki nasze tak wielką odgrywają rolę!...

Teodor milczał, bo wiedział, do czego zmierzają te słowa. Niechciał dotykać się rany jéj serca, która dzisiaj powinna już się była zabliźnić.

— Moją pomyłkę mówiła daléj, odpokutowałam już, ale na samo wspomnienie drży mi serce, że taka pomyłka jeszcze raz powtórzyć się może!... Jestem w położeniu byłego więźnia, któremu nieraz śni się, że jest w więzieniu, że jeszcze ma żelaza zimne na nogach?... Bru... jak straszny jest sen taki... jak miłe jest przebudzenie, że to był sen tylko!...

Patrzała w przestrzeń przed siebie, jakby tam wspomnieniem ścigała, jakieś niewyraźne obrazy...

Teodor patrzał na nią i w twarzy jéj szukał klucza do tych słów zagadkowych. O jakich pomyłkach mówi ona? pytał się w duchu jakiéj pomyłki się obawia? Że pierwsze swoje zamążpójście nazywa pomyłką, nie ulega wątpliwości, ale cóż znaczy obawa przed drugą pomyłką?... Czy ma jaki zamiar, o którym on nie wie, a który leży poza nim, czy ta druga pomyłka wystosowana jest do niego... czy o nim ona myśli... czy marzenia swoje nazywa pomyłką dlatego, że z jego strony nie ma dotąd wypowiedzianéj wzajemności?... W takim razie cóż znaczy to spojrzenie widocznie w jakąś przeszłość wymierzone a przynajmniéj tyczące się osoby tutaj nieobecnéj!...

Takiemi myślami był teraz zajęty Teodor. Położenie jego było niejasne, chociaż czasem zdawało mu się, że wszystko tak jasne było dla niego, chociaż nie wypowiedziane jeszcze!...

Z takiego położenia trzeba było wyjść koniecznie.

— Oboje obawiamy się pomyłek, rzekł z uśmiechem, a obawa pani jeszcze bardziéj mnie zaraża. Zaczynam wierzyć że nie tylko mój rachunek astronomiczny, ale że całe życie moje może stać się pomyłką!

Spojrzał na Laurencyą, która w téj chwili bawiła się pierścionkiem z olbrzymim turkusem.

— Oby tylko nasze pomyłki razem się nie zeszły! rzekła nie podnosząc oczu.

— Razem? Jak pani to pojmuje?

— Gdybyśmy naprzykład mieli... jaki wspólny rachunek do załatwienia!

Teodor odetchnął głęboko. Czoło jego zarumieniło się, Laurencya patrzała ciągle na pierścionek.

Połowę życia dałby za to w téj chwili, gdyby przy nich żadnego trzeciego świadka nie było!...

— Mówisz pani o wspólnym rachunku, wyrzekł powoli jakby mu tchu w piersi brakowało, dla czego używasz pani takiego wyrażenia tam, gdzie właściwie żadnego rachunku być nie powinno?...

Laurencya powoli podniosła oczy i spojrzała na mówiącego.

— A cóż powinno być? zapytała.

Teodor zarumienił się.

Laurencya patrzała z upodobaniem na tę piękną odpowiedź młodego astronoma. Był on w téj chwili prawdziwie piękny, był w téj twarzy jakiś urok niewysłowiony.

Przy tym uroku nie mogła pozostać obojętną młoda kobiéta. W oczach jéj zamigotał jaśniejszy płomień, twarz zafarbowała się także rumieńcem.

W życiu dwojga ludzi była to piękna, bardzo piękna chwila. Była to jakby „pieśń bez słów," jakby ów cichy promień słońca, który przez gęste liście przecisnął się do osamotnionego, w zacieni rosnącego kwiatka...

Laurencya wstała i zbliżyła się do okna. Patrzała w nie jakiś czas, chociaż ono było firanką zasłonione!.... Nie spostrzegła tego.

W téj chwili dał się słyszéć turkot powozu. Szybko odeszła od okna i pociągnęła za sznur.

— Nikogo nie przyjmuję—rzekła do wchodzącej służącéj, jestem chorą!

Służąca odeszła.

— Nieznośne są te stosunki towarzyszkie, ozwała się do Teodora, który siedział jak derwisz w kontemplacyi przyszłéj szczęśliwości, chciałabym być na jakiéj wyspie bezludnéj jak Robinson Crusoe!...

Na to życzenie uśmiechnął się z rozkoszą Teodor.

— Stosunki towarzyskie, odrzekł—są największym ciężarem wtedy, gdy sami sobie wystarczamy!

To dla mnie prawdziwe tortury... wierzaj mi pan, że nieraz chciałabym pojechać gdzieś do kraju Zulusów, aby tylko niemiéć tych obowiązków przyjmowania oficyalnie gości, którzy w niczém nas nie obchodzą, a którzy najczęściéj po to do nas przychodzą, aby potém mogli mówić o nas!...

— Bywa tak czasem.

— Bardzo cieszę się z tego, że moje interesa finansowe skończą się za parę tygodni. Za dwa lub trzy tygodnie będę wolną jak ptak. Układam sobie już plan wycieczki. Lubisz pan Neapol i Sorrento?...

— Nie byłem tam!

— Miałabym ochotę tam pojechać... Czy marzysz pan o podróży na wschód, na Bosfor, do Złotego rogu?

— Niech pani takich marzeń nie budzi we mnie?

— Właśnie marzę o tém!... A Egipt i Nil tajemniczy nie przemawia do pana?

— Chcesz pani dzisiaj ze mnie zrobić Tantala?

— Wszystko to łączy się w moich planach. Zachodu nie chcę. ludzi i domów dość widziałam, nie tęsknię za nimi!... Mój Boże, mówię o rzeczach, które są dopiéro w przyszłości, a zapominam o tém dlaczego właściwie pana wezwałam.

Rzekłszy to skierowała kroki swoje do adamaszkowéj kotary, z poza któréj wymykało się jakieś światło błękitne.

— Chodź pan za mną! rzekła z pewnym tajemniczym uśmiechem na pięknych ustach.

Teodor wstał z krzesła. Laurencya odrzuciła tymczasem kotarę i dwa pokoje połączyła niejako w jeden.

Dziwny stworzył się teraz obraz. W buduarze stała lampa z różową przesłonką. Światło było tu różowe. Ożywiało ono rysy twarzy i kontury wszystkie występowały ostro. Z drugiego pokoju rozlało się teraz światło błękitne. Było to niby światło jakiegoś innego świata, światło, o którém mówią astronomowie, że ma panować na niektórych planetach... Te dwa światła tworzyły przy zetknięciu się trzecią barwę, fioletową z różnemi odcieniami!"

Działało to szczególnie na zmysły ludzkie.

Teodor wszedł do błękitnego pokoju. Była to mała biblioteczka. U pułapu wisiała lampa ze szkłem błękitném.

Szczególne wrażenie sprawiało to światło błękitne, księżycowe. Było coś czarodziejskiego w tym obrazie. Przedmioty rysowały się niewyraźnie, zaledwie jak szkic wyglądały. Kontury rozpływały się i ginęły rozstawiając wyobraźni dalsze uzupełnienie...

Gdy na Laurencyą spojrzał, wydała mu się istną rusałką. Cała jéj postać była jakby z srebra ulana, jak cień elizejski przesuwała się zwolna po błękitnéj przezroczy.

— Chciałam się pana poradzić, ozwała się srebrna rusałka gdzie najlepiéj szkła umieścić, przez które mogłabym się dostać... do nieba?

Słowom tym towarzyszył uśmiech zachwycający. Przed oczyma młodego astronoma zaczęło się mroczyć...

— Pragniesz pani dostać się do nieba? odpowiedział głosem, w którym ozwała się struna dotąd milcząca, sama chcesz pani dostać się tam?... To zbyt wielki egoizm!

— Obawiam się... miałbyś pan ze mnie złą towarzyszkę...... Mam wiele kaprysów!

Laurencya miała przy tych słowach jakiś szczególny czar w oczach. Teodor zadrżał pod tym czarem...

— Na samą myśl przestraszyłeś się pan! mówiła daléj z tém samém spojrzeniem.

— Nie przeczę, przestraszył mnie... widok nieba!

— Okno zasłonięte... gdzież pan je widzisz?...

— Gdzie je widzę?...

Tu zabrakło tchu młodemu astronomowi. Odetchnął ciężko. Mimo błękitnego światła twarz jego oblokła się ciemnym rumieńcem i wyglądała jakby z bronzu. Taki sam kolor przybrała teraz twarz Laurencyi. Usta i rzęsy zadrżały pod silniejszą pulsacyą serca...

Piękni byli oboje. Nieprzeparte uczucie ciągnęło ich gwałtownie ku sobie...

Teodor wziął ją za rękę. Ręka była bezwładna. Podniósł ją do ust i gorąco ucałował...

Zdawało mu się, że uczuł przytém lekki uścisk...

Nie mogę dłużéj zataić w sobie—ozwał się drżącym głosem, nie mogę powstrzymać słowa, które gwałtem ciśnie się z piersi mojéj... z mego serca... z głębi duszy...

Laurencya podniosła nagle palec i wskazała na siedzącą w drugim pokoju Angielkę... Potém położyła ten palec na różowych ustach...

Teodor zrozumiał ten giest... chciał po cichu wymówić to słowo... nachylił się do jéj twarzy...

Laurencya odwróciła twarz... tylko różowe uszko zostało, aby przyjąć to słowo...

Zbliżył usta do tego uszka... odurzająca atmosfera owionęła jego skronie... w oczach pociemniało mu...

Laurencya zadrżała i spazmatycznie ścisnęła go za rękę...

Nastała cisza... Patrzali na siebie, jakby się już zrozumieli i sobie odpowiedzieli...

Po chwili szybko zwróciła się Laurencya do okna.

— Popatrzmy na niebo! rzekła głośno dla towarzyszki w drugim pokoju—czy widać ztąd Marsa?

I szybko pociągnęła sztorę do góry.

Za oknem stała jakaś ciemna postać z twarzą płaszczem zakrytą...

Laurencya szybko opuściła sztorę.

XXII.

Wieczór u państwa Alfonsów odbywał się zwykłym trybem. Podzielono się na kółka stosownie do bliższych stosunków i tematów rozmowy. Pani Alfonsowa obchodziła wszystkie kółka i wszędzie

starała się coś dorzucić; jeżeli nie słowo to przynajmniéj uśmiech gościnnéj gospodyni.

Pan Alfons miał dzisiaj głębszy jakiś plan nad zwykłą uprzejmość dla gości.

Zaraz po rozmowie z Jerzym wyszedł do salonu z pewnym niezwykłym wyrazem na twarzy. Coś widocznie wgłowie przygotowywał i pilnie patrzał wkoło siebie, aby pozycyą dobrze zbadać.

Najprzód zbliżył się do pana Augusta. Pan August znaczna osobistość w pewnéj sferze, o którą właśnie panu Alfonsowi chodziło. Zacny i poczciwy, ale znany powszechnie ze swego rygoru sądzenia o ludziach i oceniania ich. Zdanie jego równało się wyrokowi trybunału.

— Czy miałeś pan jakie wiadomości z za kordonu? zapytał pan Alfons z miną dyplomaty.

— Nic szczególnego.

— To ja mogę służyć z naszemi... *Mon très aimable cousin George*... chce się ożenić!

— Czas byłby, aby nad tém pomyślał *pour se fixer!*

— A wiesz pan z kim?

— W takim razie domyślać się niebezpiecznie!

— *Vous avez raison*, możnaby stać się niedyskretnym!... Czy przypominasz pan sobie hrabiego Juliusza? Doskonałe *qui-pro-quo*! Pan Juliusz .. *il avait une connaissanse*, o którćj wszyscy wiedzieli. Naturalnie nie była to osoba wolna. Razu jednego wpada pan Juliusz do pani Izy i w progu woła: Madame żenię się! Pani Iza sławnie roztargniona osoba odpowiada bez namysłu: *je le sais... avec madame Constance!* Mówią nawet, że mąż pani Konstancyi miał być przytém!...

— W tém niebezpieczeństwie nie jest przecież pan Jerzy!

— Wcale nie?

— Któż ma być ta szczęśliwa wybrana?

— Właśnie w tych dniach dostarczyła mi księżna Marya bliższych szczegółów w tym względzie. Jest to bliska krewna pani Pulcheryi, a rodzona jéj ciotka była kuzynką hrabiego Zygmunta, babka zaś skolligacona z najznakomitszemi rodzinami Litwy i Żmudzi.....

— Jakże się nazywa?

— Wyszła za mąż za pana Petrycego...

— Więc wdowa?

— Uzasadnione powody kazały jéj rozwieść się...

Pan August zmarszczył wysokie brwi swoje.

— Więc rozwódka?

— Jedna z tych kobiét zacnych ale nieszczęśliwych, które dziwnym zbiegiem okoliczności zmuszone są tam serca swoje lokować, gdzie dla zbyt wielkiéj liczby lokatorów miejsca już nie ma!...

— Hm...

— Pisała mi księżna Marya, że zna ją z jak najlepszéj strony, że nawet łączy je bliższa zażyłość... a przecież księżna Marya *elle est si dificile.*

— Ani słowa! W takim razie winszuję panu Jerzemu. Czy jest fortuna?

— Nawet dosyć znaczna.

— Podwójne szczęście... czegoż żądać więcéj? Miłość i pieniądze!.. A nazwisko jéj?

Od kilku miesięcy mieszka tu w willi hrabiego Maryanna...

— Ah!... *Charmante femme!* Widziałem w teatrze!

— *Et très bien.*

— Bardzo się z tego cieszę—oświadcz to pan Jerzemu!

— Nieomieszkam!

Rozeszli się. Pan Alfons włożył lornetkę na nos i zaczął kogoś szukać między damami. Znalazł. Była to niska, dobréj tuszy osoba z rumianą twarzą, na któréj malowała się szczerość i dobroć z domieszką znacznéj porcyi sarkazmu. Była zawsze ożywiona i zawsze w dobrym, wesołym humorze.

— *Monsieur*—ozwała się do zbliżającego się pana Alfonsa, pan wyglądasz dzisiaj jak sfinks! Otwórz pan usta swoje, a zbawiona będzie dusza moja!

— Służę—odparł grzeczny gospodarz, czego potrzeba pani do zbawienia? Mam do wyboru różne rzeczy.

— Wymieniaj pan je po kolei.

— Najprzód mam najświeższe szczegóły o pani Egici...

— *Fi donc!* Idź pan daléj.

— Polityczne wiadomości wielkiéj wagi... z kraju Zulusów.

— Schowaj pan je dla pani Doroty! Cóż daléj?

— Trzecia wiadomość zachwyci panią niezawodnie... bo dla kobiét jest to bardzo miłą niespodzianką, jeżeli syn marnotrawny *mieux tard que jamais*, wraca skruszony do jarzma, w którém wszyscy chodzimy...

— Wystawiasz moję ciekawość na próbę...

— Jerzy się żeni!

— *Que dites vous!* Pewnie jakaś awanturnica, albo straszliwie bogata i brzydka jak noc!...

— Otóż *la pointe* tego wszystkiego jest, że ani jedno, ani drugie, ani trzecie!...

— *C'est un miracle!* Pan Jerzy porządnie się żeni!

— Bardzo porządnie—nad spodziewanie. Właśnie dzisiaj księżna Marya...

I powtórzyła się z niejaką odmianą wywołana humorem wesołéj blondynki ta sama co z panem Augustem rozmowa.

— Ależ to złote runo!—zawołała w końcu wesoła dama—niech pan Jerzy prędko nam ją okaże!

— Wkrótce to nastąpi!

Pan Alfons obszedł jeszcze z tą nowiną kilka znakomitszych osobistości, które na wieczorku były! Prygotował tym sposobem opinią dla nastąpić mającego faktu.

Plan był dobry i udał się wybornie. Pan Alfons szukał właśnie Jerzego, aby mu dać biuletyn oficyalny, że wszystko dobrze się składa.

Tymczasem po za biuletynem oficyalnym rozchodziły się po salonie biuletyny opozycyi, chociaż były tylko wyrazem mniejszości.

Główną figurą téj opozycyi, czyli innego zapatrywania się na sprawy bieżące, była pani Aurora, która już przed chwilą w głowie Jerzego trochę szyki pomieszała.

— *Savez-vous*—mówiła do swojéj liliowéj sąsiadki—monsieur George chce sie podreperować. I owszem można mu tego życzyć, bo goni ostatkami, a stryj już więcéj dawać nie chce!

— Z kim się żeni?—zapytała twarz liliowa.

— Z bardzo ładną, młodą, bogatą... ale téż i bardzo tajemniczą osóbką!

— Tajemniczą? W jakiém znaczeniu?

— W każdém znaczeniu... Ale pan Jerzy omyli się grubo!

— W jakim względzie?

— Ona... się kocha w drugim!

— A cóż Jerzy?

— Jerzy jest tak pewny swoich czarnych faworytów, że sam nie spostrzeże, kiedy mu złoty ptaszek z klatki wyleci!... A szkoda by było tego ptaszka... chociaż co do mnie, gdyby mi przyszło z nią znajomość zabierać, bardzo bym się namyślała!...

— Czy...

I dalsza rozmowa toczyła się po cichu i kilka razy jeszcze w różnych grupach się powtarzała.

Tymczasem pan Alfons chodził po wszystkich salonach i szukał Jerzego, aby mu zdać relacyą z tego co zrobił—ale Jerzego już nigdzie nie było.

XXIII.

Zaraz po rozmowie z panią Aurorą zapragnął Jerzy samotności i pewnego skupienia ducha. Słowa usłyszane od pani Aurory sprawiły na nim szczególne wrażenie. Nic właściwie w nich nie było, mogły być nawet dla żartu tylko wymówione, ale mimo to wszystko brzęczały mu nieustannie w uszach, chociaż je od siebie odpędzał.

Do skupienia ducha nie było w salonie sposobu. Ten i ów zaczepiał go, a skwaszony nagle humor jego mógł dać weselszym towarzyszom wiele materyału do żartów. Wymknął się więc cicho do przedpokoju, wziął płaszcz i kapelusz i wyszedł na ulicę.

Na ulicy odetchnął swobodnie, obejrzał się w koło czy go kto nie szpieguje i rozpoczął rozmyślać.

Cóż mogą znaczyć owe słowa Aurory? Mogą one być prostym żartem, ale dlaczego taki niepokój nagle go ogarnął? A gdyby były prawdą... jakże straszliwie popsułyby się wszystkie szyki i obliczenia!...

Właśnie w ostatniéj chwili dopiéro nadeszły potrzebne wiadomości, które jaśniejsze światło rzucają na majątkowe kobiéty stosunki... właśnie dopiéro co zgodziła się głowa familii na ten związek... a tu nagle wchodzi mu w drogę jakieś licho... nie, to być nie może! To nie tylko byłoby smutne ale śmieszne!... Czyżby nie śmiali się wszyscy z niego? I to byłby nawet śmiech zasłużony, bo nie tylko miał złotego ptaszka w ręku, ale sam niezręcznie go wypuścił! Nie... to nie może być! Pani Aurora żartowała sobie jak zwykle aby go podrażnić!...

O gdyby to było prawdą?..—myślał daléj.—Rzecz arcy smutna! Trudno tak prędko coś znowu wynaleść, co jest dzisiaj konieczném do zawarcia małżeństwa. Posagi co raz rzadsze, co raz niepewniejsze, a to przecież *nervus rerum*. Pan Ignacy ożenił się.. zdawało się, że weźmie górę złota, a tu tymczasem obiecano sumkę nieznaczną i téj nie dano tylko lichy procent pięć od sta płacą!... Ktoż dzisiaj daje na pięć procent? A zresztą cóż ten procent mu pomoże, jeżeli on za pożyczone na ekwipowanie się pieniądze więcéj musi płacić!... Na cóż mu takiéj żony?... A miłość?... Miłość... czemuż ona tą miłością nie uszczęśliwiła jakiego biednego urzędnika lub dzierżawcy, tylko ulokowała ją w herbowéj karecie, któréj sama konserwacya wiele kosztuje!... Jeżeli chciała takiéj lokacyi, to trzeba było coś więcéj z sobą przynieść, niżeli tuziny sukien, koszul i serwet!... To śmieszna rzecz taka żona, a ta śmieszność co raz więcéj się wydarza!.. Tu było inaczéj... był grunt, były warunki! Osoba, majątek

wszystko odpowiadało!... Źle zrobiłem, żem się ociągał, żem czekał i że byłem może za nadto pewnym!... Ale nie—to przecież być nie może. Pani Aurora żartowała sobie. Znam wszystkich naszych epuzerów, żaden nie mógłby mieć pierwszeństwa przedemną!... Nie, to wierutne głupstwo, że coś podobnego do głowy sobie biorę!... Przecież ja jéj daję pozycyą, któréj ona tak pragnie... nie, nikt inny nie mógłby jéj tyle ofiarować! To szaleństwo przypuszczać coś podobnego! Pani Aurora żartowała sobie—tylko żartowała!

Zatrzymał się nagle na ulicy.

— Ale pocóż ja z wieczoru wyszedłem?—zapytał siebie nagle—pocóż tak nagle zniknąłem z pośród nich? Gotowi myśléć, żem się przestraszył słów pani Aurory, żem zwątpił o sobie... żem rzeczywiście ujrzał niebezpieczeństwo jakie mi zagraża!... Cóż mnie tak nagle ztamtąd wypędziło?

I zwrócił się na powrót ku rynkowi. Uszedł kilka kroków i znowu się zatrzymał.

— Nie—pomyślał sobie—nie mogę tam wracać. Poznano by po mojéj twarzy, że mnie to zaniepokoiło. Byłbym śmieszny dla innych i dla siebie... chociaż to wszystko nieprawda co mówiła pani Aurora! Widok téj kobiéty wypędził mnie z wieczoru, nie lubię takich żartów. Zresztą w tych żartach nie było wcale taktu ani dowcipu. Jak można komuś takie rzeczy w oczy mówić, chociażby tylko żartem?... Brzydka kobieta... przed nią musiałem wyjść z wieczoru. Nic mnie innego nie wypędziło... nic... wcale nic...

Zatrzymał się nagle.

— Możeby pojechać do willi? — pomyślał. — Byłoby to bardzo dobrze... wprost z wieczoru... wolałem ją odwiedzić niżeli być na wieczorze... śród zabawy zatęskniłem nagle do niéj... do jéj pięknych oczu... do tych ust różowych... i zakończyłbym sprawę, aby już pani Aurora nic mówić nie mogła. Są ludzie, którzy potrzebują *„fait accomplie“* aby umilknąć.

— Już uszedł był kilka kroków, ale zwrócił się.

— Nie, to byłoby *mal à propos!*—rzekł w duchu do siebie—myślałaby, że tak już przepadam za nią, że ma mnie na uwięzi, że może ze mną zrobić co się jéj podoba. Gotowa nawet wtedy żądać ze swojéj strony odwłoki—w odwet—a tymczasem... Nie, nie mogę tam iść—nie trzeba u kobiét być bardzo tanim... to im się niepodoba i psuje je!... Zresztą nie ma znowu nic tak pilnego! To cō mówiła pani Aurora, jest nieprawdą, bo w żaden sposób być nie może! To kłamstwo wierutne, to fałsz!

Jeszcze nie był dokończył tego monologu, gdy nagle usłyszał turkot karety za sobą. Obejrzał się, aby się z drogi ustąpić...

Ale cóż to jest? Czy oczy nie mylą go?... Wszak to kareta Laurencyi... to jéj konie... to jéj służący siedzi na koźle!... Gdzież ona mogła być w téj chwili?

Zatrzymał się na chodniku. Dał znak ręką stangretowi aby się zatrzymał. Stangret nie zważał i przejechał koło niego...

Ale kogóż on ujrzał w karecie?... Światło latarni właśnie oświeciło wnętrze... siedział tam mężczyzna... młody, przystojny mężczyzna z czarną brodą!... Cóż to może być? Któż jest on? Więc to miałaby być prawda, co pani Aurora mówiła?... Laurencya zdradziła go i wybrała sobie innego?... Więc to prawda... straszna prawda?...

I obrócił się w kółko jak dzik rażony śmiertelnym postrzałem... karety już nie było. Pomknęła szybko naprzód.

— Dorożka!—krzyknął, aż się jakiś przechodzień przestraszył—dorożka!—powtórzył raz i drugi, ale dorożki nigdzie nie było.

Przyspieszył kroku.

— Więc to ma być prawdą!—mówił do siebie—byłaby to smutna, okrutna prawda!... byłaby czarna zdrada... zbrodnia, jakiéj świat nie widział!... Takiéj nikczemności, takiéj podłości...

I zaczął szybko biegnąć w kierunku, w którym pojechała znana mu dobrze kareta. O od czasu do czasu oglądał się na wszystkie strony i wołał na dorożkę, ale dorożki jak na złość nie było, a te które spotykał nie były próżne.

Droga do willi była dosyć daleka, miał więc czas do różnych myśli, kombinacyj, oskarżeń i uczuć, które nagle serce jego i głowę rozpierały.

Najprzód, jeżeli to wszystko co widział i słyszał, jest prawdą a nie fałszywym alarmem, wynikającym ze zbiegu szczególnych okoliczności, to Laurencya byłaby według niego niewdzięczną kobiétą. Wszak on ją.. kochał! Kochał ją i... dotąd jeszcze kocha, choć go tak haniebnie zdradziła! Mógłby jéj nawet darować chwilowe zapomnienie się, gdyby napowrót powróciła do niego!... Ale czyż ona to zrobi?... Kobiéty są uparte, mają różne kaprysy... a zresztą on sam dał powód przez swoje ociąganie się do tego kaprysu... niejasne jego zachowanie się, niewyraźne słowa, mogły znudzić kobiétę.

Smutno spuścił głowę—dorożki nie było!

Żadna inna kobiéta nie zrobiłaby tego—myślał daléj—przecież mogła zaczekać na ostateczne słowo jego. Zresztą widziała wyraźnie, że ją... kocha. Z tém się przecież nie tail... A że się na kolana przed nią nie rzucał... że wierszy nie deklamował... że z nią publicznie się nie ukazywał—tego przecież od niego nie mogła żądać. Niewdzięczna kobiéta!...

Im spieszniéj szedł naprzód, tém żywsze były jego obawy i troski, tém prędzéj postępowały jego uczucia. Za pół godziny był już skończonym bohaterem, kochał jak bohater w powieści, był tak samo jak ten haniebnie zdradzony, i tak samo nie wiedział wcale co daléj począć!

Jakże to wypadki zmieniają człowieka! Jerzy kochał dzisiaj na zabój kobiétę niewdzięczną i wierzył fanatycznie w miłość swoję, w czarną z jéj strony zdradę!...

Wreszcie ulitowało się niebo nad bohaterem—nadjechała dorożka.

Jerzy rzucił się do dorożki i kazał pędzić co koń wyskoczy.

Rozkaz był dany głosem donośnym i stanowczym—dorożkarz zaczął go również stanowczo wypełniać... ale co daléj?

Co daléj zrobić, gdy dorożka do willi zajedzie? na to nie miał Jerzy jeszcze żadnego planu i do żadnego nie czuł w sobie potrzebnéj stanowczości.

Czy ma wtargnąć do niewdzięcznéj z rewolwerem— czy z oliwną, dyplomatyczną gałązką?

Długo nad tém myślał. Wreszcie zdecydował się na oliwę, bo rewolweru i tak pod ręką nie było. Zresztą mogłoby to być tylko nieporozumienie. Może to lekarz jechał w karecie, może Laurencya nagle zachorowała—może nawet powodem choroby była jego kilkodniowa nieobecność (tu uczuł Jerzy pewne zadowolenie i nie mógł sobie odmówić przyjemności rozczesania swoich bakenbardów) a ta choroba jest nawet prawdopodobną i tak kilka razy przeprosiła go Laurencya, gdy przyszedł z wizytą... słowem, gdy na nocném niebie zarysowała się willa otoczona drzewami, cała sprawa zdrady i niewierności Laurencyi zeszła do małego nieporozumienia, któreby się dało spokojnie załatwić. A gdyby nawet rzeczywiście była jaka wina ze strony kobiéty... mój ty Boże! Trzeba przecież być wyrozumiałym i nikogo znowu tak ostro nie sądzić! Są pewne pozory mocno do prawdy podobne, mimo to nieprzestają być pozorami!... Ot już i stary Jędrzej otwiera bramkę.

Dobra otucha wstąpiła w serce Jerzego. Był w téj chwili bardzo skłonny do wszelkiéj zgody i pojednania. Nawet i światło błękitne, wypływające z biblioteczki—jakkolwiek trochę podejrzane, nie psuło ochoty jego do zgody. Wszystko przyjąłby tak, jakby mu je podano—gościa wziąłby za lekarza, chociażby nawet dyplomu jego nie widział, i zbyt troskliwie wypytywałby się o zdrowie kobiéty, któréj nie przestał kochać!

Ochota Jerzego do tak chwalebnéj zgody doznała wkrótce zawodu Zadzwonił do drzwi—a znana mu dobrze brunetka odpowie-

działa trochę zakłopotana, że pani nie przyjmuje go, bo jest cierpiąca!

— Czy jest lekarz? — pytał Jerzy z rozpaczą tonącego, który chwyta się brzytwy.

— Nie ma! — była odpowiedź!

— A któż jest?

— Ja... nie wiem! — z widocznym kłopotem odpowiedziała piękna Anusia.

Piękna Anusia nie raz była zakłopotana, gdy Jerzy z nią rozmawiał, aby tym razem kłopot jéj miał inne dla niego znaczenie. Stanął jak wryty przed drzwiami, i zapomniał nawet skorzystać ze swojéj dawnéj znajomości, aby się od pięknéj Anusi czegoś więcéj dowiedziéć. Słyszał, jak się drzwi przed nim zamykały, słyszał jak stary Jędrzej po takiéj odpowiedzi napowrót bramkę do wyjazdu otwierał... a co najgorsza — słyszał jak mu nieregularnie serce pod frakiem biło!

— Co to jest? Co się dzieje ze mną? Miałżebym wykierować się na błazna? Mam się śmiesznym stać w obec wszystkich?

I nieregularne bicie serca pod frakiem sprawiło taki zamęt w jego głowie, że byłby zdolny rzucić się teraz na kolana przed wiarołomną kobiétą... gdyby tylko na to pozwoliła!

Wszak on ją kochał!... Tak, wierzy w to że ją kochał, bo teraz dopiéro to poznał! Jak ją kocha! Tak nikt nie będzie jéj kochać! Tyle poświęcił dla niéj... swoją pozycyę zarezykował... musiał ostrożnie i dyplomatycznie do celu zmierzać, a gdy już wszystko zwyciężył, ona... z drugim!

— Ona z drugim! — ozwało się zranione serce — ona z drugim tam, a ja tu przed zamkniętemi drzwiami! On jak bogacz ucztuje a ja jak Łazarz...

I wyciągnął rękę ku niebu, skąd właśnie księżyc na niego patrzył i położył drugą na sercu na świadectwo Boga, księżyc i gwiazdy wzywając, że jest... nieszczęśliwy!

Ale cóż robić daléj?

Stał chwilę, potém podszedł do dorożkarza.

— Pojedziemy — rzekł do niego znużonym głosem — ale tam pod drzewami staniesz i zaczekasz na mnie. Ja wysiądę.

I siadł do dorożki. Dorożkarz zaciął konie, stary Jędrzej otworzył bramkę i jeden rozdział romansu skończył się szczęśliwie. Nastąpił drugi, daleko krótszy.

Pod drzewami zatrzymała się dorożka. Jerzy wyszedł z niéj i skierował swoje kroki ku żywopłotowi, który otaczał ogród willi. Szedł ostrożnie trzymając się cienia.

Żywopłot nie był wygodnym środkiem komunikacyi. Mimo to romantyczny bohater przesadził go bez szwanku i byłby już u celu swego dobrze ułożonego planu, gdyby za żywopłotem nie ujrzał głębokiego rowu napełnionego niejasną wodą.

Przezwyciężył jednak i tę przeszkodę i prosto udał się pod okno, z którego biło światło błękitne... To światło było mu dobrze znane — wiedział, że w tém świetle wygląda Laurencya zachwycająco.

Agrest i porzeczki broniły mu przystępu do tego okna, ale w końcu zwyciężył i tę przeszkodę i stanął wreszcie z bijącém sercem u celu.

Na niebie tymczasem odbywały się dziwne rzeczy. Zdawało się, że cała przyroda gotuje się do jakiegoś niezwykłego dramatu!...

Najprzód od wschodu wysunął się jakiś ciemny klin, podobny do halabardy czarnych duchów, których ciała były jeszcze za horyzontem. Przed tym czarnym klinem wybiegły naprzód dwie białe chmurki, które dziwnym sposobem płynęły w odmiennych kierunkach. Jedna mniejsza uciekała ku księżycowi, druga zachodziła z boku, aby jéj odwrót odciąć. Prócz tego jeszcze wysuwała się z po za drzew ogrodu jakaś mglista zasłona, która całemu niebu groziła. Wiatru nie było, ale liście drzew szeptały między sobą jakby się naradzały nad tém, co począć, gdy wicher się zerwie i chmury piorunowe nad niemi zawisną!... W pobliskiéj zagrodzie naszczekiwały psy, jakby widziały nadciągające widmo zarazy morowéj!... A potok tam na dole mruczał i piszczał żałośnie, jakby go nową groblą ścieśnić chciano! Obracał on już dwa młyny a tam opodal groziła mu nowa praca, bo jakiś przybysz stawiał fabrykę i niezawodnie każe mu znowu w niéj dniem i nocą pracować!...

Słowem cała natura była w jakiejś obawie... w jakiemś niespokojném oczekiwaniu...

Jerzy stanął przed oknem... i stał czas niejaki.

W tém nagle... okno się otworzyło!

Ujrzał... ją! Była piękna, zachwycająca!...

Potém ujrzał... drugą postać... z czarną brodą... która także wyglądała wspaniale!

Nagle zapadła stora i... Jerzy nic więcéj nie widział!

Pociemniało mu przed oczyma...

Drzewa przestały szeptać... potok ucichł nagle, jakby przestał płynąć... białe chmurki zatrzymały się na niebie... a czarny klin stanął jak wryty!...

Oczekiwanie było powszechne...

Jerzy zwrócił się i wolnym krokiem zmierzył ku dorożce.

Skoczył do dorożki i zawołał:

— Jazda! do miasta!

Cała natura odetchnęła. Drzewa zaczęły znowu szeptać... potok płynął daléj... białe chmurki goniły daléj po niebie... a czarny klin wysuwał się znowu z poza drzew i groził spokojnemu księżycowi!

XXV.

Gdy Teodor w karecie Laurencyi jechał, spostrzegł przy latarni stojącego dyrektora, który zabójcze spojrzenia rzucał w głąb karety...

Dyrektor wracał właśnie z posiedzenia literackiego na którém roztrząsano kwestyą przymiotników, formowanych z imiesłowów. Mówił na posiedzeniu wiele o téj materyi, a nawet udało mu się przekonać całą drużynę literacką o potrzebie pewnych reform w tym względzie. To usposobiło go dobrze i pozwoliło mu zapomnieć o troskach domowych, które teraz ciągle głowę mu mąciły. Od chwili rozmowy z panem Protazym, który go tak wymownie o niebezpieczeństwach życia ludzkiego ostrzegł, nie miał zacny mąż spokoju. Obiad nie smakował mu, kawa straciła cały aromat, a szlafrokiem zaczął pogardzać od tego czasu, gdy ciocia Andzia powiedziała, że jemu tylko ciepłego szlafroka potrzeba było a nie żony, która chce jeszcze garnąć się do świata!...

Słowem dyrektor był najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Nie sypiał po nocach, zrywał się we śnie, a śród najdramatyczniejszych scen, których w duchu był aktorem, musiał jeszcze patrzyć na satyryczną, uśmiechniętą twarz swego sąsiada pana Protazego, który najspokojniéj tabakę zażywał!...

Jedyną oazą w jego dzisiejszém życiu były pogadanki naukowe z kolegami. W szlachetnym zapale zapominał o swoich troskach i obawach, a chociaż czasem myślą o nie zawadził, nie były one tak straszne, jak mu się w chwilach spokojnych wydawały!...

W takiém właśnie był usposobieniu wracając z literackiego posiedzenia. Posiedzenie było ożywione, on wiele mówił, niejednego adwersarza zwyciężył. Krew jego płynęła żywiéj po żyłach, świat był jakoś lepszy niżeli zwykle, a nawet ludziska nie byli znowu tak źli i przewrotni! A gdy sobie przypomniał, że w domu czeka go smaczna herbata, którą Elżbieta własną ręką przyrządza, gdy do téj herbaty dodał w duchu smaczną pieczeń wołową szpikowaną słoniną

młodą i prócz téj pieczeni jeszcze to i owo... był już prawie przekonany że szczęście jego domowe nie tak jeszcze jest źle jakby podług wskazówek pana Protazego być mogło. Może te wszystkie obawy i troski są urojone, może tylko w gorącéj wyobraźni istnieją wszystkie te rzeczy, o które on się tak obawia... a zresztą jeżeli się żadnego na to nie ma dowodu, to przecież nie można takiéj krzywdy wyrządzać bliźniemu niesprawiedliwém posądzeniem!

Poczciwy dyrektor był już bliski uspokojenia, a nawet myślał już o nowéj sukni dla Elżbiety jako wynagrodzeniu za niesłuszne swoje obawy... gdy nagle ujrzał przy bramie przeciwległéj kamienicy stojącą karetę i wsiadającego do niéj... największego swego nieprzyjaciela!...

Kareta wydała mu się bardzo podejrzaną. Spojrzał z energią na nieprzyjaciela.. i zdawało mu się, że tenże z pewnym tryumfem się uśmiechnął a potém twarz sobie płaszczem zakrył!..

— I wionęła jak mgła wiosenna cała sielanka z herbatą i pieczenią wołową... niepokój, wielki niepokój ogarnął znowu zaturbowane jego serce.

— Czy ta kareta nie ma jakiego związku? pomyślał sobie, ale dokończyć nie mógł, bo nie umiał.

Jakiś instynkt wewnętrzny kazał mu kroki przyśpieszyć i prędko do domu zdążyć. Rzucił się szybko naprzód, aby jak najprędzéj ucieknąć od tych złych duchów, które za nim jak brzęczące komary pędziły... i już dotarł do rogu kamienicy w któréj mieszkał gdy nagle z poza rogu wysunęła się jakąś postać kobieca...

Kobiéta miała ciemny płaszcz z kapiszoném na głowie. Kapiszon zasłaniał jéj całą twarz aż po usta prawie i prócz tego z pod kapiszonu zwieszała się jeszcze ciemna woalka aż po same ramiona...

Wzrostem i figurą mogła być ta kobiéta podobną do Elżbiety, ale tak szybkiego biegu nigdy u niéj nie widział.

Zatrzymał się jednak i spojrzał za uciekającą.

Coś go mocno zaniepokoiło.

— Elżbieto! zawołał półgłosem na chybił trafił.

Kobiéta się zatrzymała i obróciła.

— Czy to ty Jozafacie? zapytała.

Zdawało się dyrektorowi że mu ktoś nagle nogi podciął. Zachwiał się i oparł na swojéj trzcinie hiszpańskiéj, która go od dwudziestu lat nigdy niezawiodła.

— Zlituj się, zawołał—gdzież ty tak idziesz?

— Idę do Eufemii odparła krótko Elżbieta.

— Wieczorem i sama?

— Miała iść zemną Jagusia ale... gdzieś tam została.

Dyrektor odetchnął ciężko jak człowiek, którego we śnie zmora dusi.

— Cóż ci teraz ta Eufemia tak do gustu przypadła?

— Jest moją siostrą!

— Przecież była nią od urodzenia?

— Któż temu zaprzecza?

— A przecież dawniéj nie widziałem między wami tak wielkiego romansu!

— Z czasem przychodzą różne romanse!..

— Od niejakiego czasu mówisz same niedorzeczności.

— Może być że jeszcze jestem nie zupełnie mądrą!

— Co ty mówisz?

— To samo co od ciebie nieraz słyszę w tych czasach!

— Przecież jestem mężem...

— Ja jestem żoną ale nie niewolnicą, któréj nie wolno nawet do siostry wyjść, gdy ta jest cierpiąca!

— Mogliśmy oboje tam zajść po herbacie.

— Herbatę masz gotową, jak wypijesz możesz przyjść po mnie!

Dyrektor namyślał się chwilę.

— Jeżeli ci się już tak podobało rzekł po chwili rzewnym głosem, to wolę pójść z tobą razem.

Pod gęstą woalką zabłysły jak dwa meteory piękne oczka Elżbiety... chciała już męża serdecznie uściskać, ale przypomniała sobie skuteczne rady cioci Andzi... a zresztą na ulicy takie pieszczoty byłyby śmieszne. Podała więc tylko rękę mężowi i mimowoli więcéj przycisnęła się do niego niżeli to zwykle czyniła.

Na swoje nieszczęście nie zważał na to dyrektor. W głowie jego mięszały się różne myśli, a kareta nieszczęsna nie mogła mu w żaden sposób ztamtąd wyjechać! Nie widział nawet, że Jagusia za nimi z sieni wyszła, a widząc tak pewną eskortę wróciła się napowrót.

Dyrektor szedł i sam nie wiedział dlaczego idzie. O sielance z herbatą i pieczenią nie myślał już wcale, żal mu tylko było tego słodkiego optymizmu, z jakim wracał do domu. Wszystko to wionęło wraz z herbatą a co przed nim było, nie wiedział!

Zdążano do Eufemii.

Eufemia nie była słabą, jak sobie dyrektor z pospiesznych kroków żony wyobrażał. Twarz miała wprawdzie trochę bledszą, co jednak dodawało jéj pewnego wdzięku. Siedziała przy stole w zgrabnym negliżu i zajęta była jakąś robótką. Po drugiéj stronie wywijała szydełkiem ciocia Andzia.

Gdy dyrektor z Elżbietą weszli do pokoju, krzyknęła na cały głos ciocia Andzia:

— A cóż to się stało! Wyglądacie jak małżeństwo po złotém weselu! W takiéj zgodzie i z taką czułością!

— Ani to zgoda ani czułość! odparła z uśmiechem Elżbieta, ale zamaskowanie przegranej, że się na swojem niepostawiło! Czyż nieprawda kochany mężu?

W słowach tych była ironia i pewna złośliwość. Dyrektor zamyślił się z powagą nad tą szczególną miksturą, coby ona oznaczać miała. Nie dano mu jednak czasu.

— Czy wiesz—ozwała się Eufemia, że sprawiłaś nam prawdziwą niespodziankę! Nieoczekiwaliśmy ciebie dzisiaj, osobliwie po twojéj kartce, w któréj nam wizyty nie przyrzekałaś wcale na dzisiaj!

Dyrektor spojrzał z zadziwieniem na żonę.

— Więc nie miała tu być, pomyślał sobie.

— Cóż tam... twoje marzenie? zapytała pół głosem Eufemia siostrę, podczas gdy ciocia Andzia coś do dyrektora mówiła.

— Moje marzenie... odparła również półgłosem Elżbieta zawiodło mnie dzisiaj i... odjechało w karecie!

— Ubolewam nad tobą! odparła na pół żartem Eufemia, ale twarz jéj mocno przytém posmutniała.

Dyrektor czuł, że nogi drętwieją pod nim i usiadł na krześle.

Dalszéj rozmowy, która zeszła na rzeczy codzienne, już prawie nie słyszał.

(*d. c. n.*)

Jan Zacharjasiewicz.

TATRY I PODHALANIE.

Tatry i ludność na ich stokach zamieszkała już w pierwszych latach bieżącego stulecia zwróciły na siebie uwagę Stanisława Staszica, który przedewszystkiém usiłował przedstawić obraz geologicznéj budowy gór polskich. Dwanaście rozpraw w tym przedmiocie razem zebranych, utworzyły bardzo dziś rzadkie dzieło pod tytułem: *o ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i dolin Polski* (Warszawa, 4°, 1815, w drukarni rządowéj) (1). W rozprawach traktujących o Tatrach spotykamy bardzo ważne wzmianki o góralach.

Drugim z kolei badaczem Tatrów był szwedzki naturalista Jerzy Wahlenberg, którego klasyczne dzieło: *Flora Carpathorum principalium* (Goetingae 1814) zawiera nader ważne szczegóły o klimacie, petrografii i florze Tatrów.

W artykule przeznaczonym dla szerszéj publiczności szczegółowy rozbiór wszystkich, chociażby tylko ważniejszych prac o Tatrach byłby nie na miejscu; odsyłając tedy czytelnika do *Bibliotheca Carpatica* starannie przez p. Hugo Payera (2), zebranéj oraz do *bibliografii karpackiéj* p. Müldnera (3) poprzestanę na kilku krótkich uwagach.

Liczne prace o budowie Tatrów, ich klimacie i płodach, o góralach i wycieczkach na rozmaite szczyty, zgromadzono w *Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego*, wydawanym w Krakowie, którego do-

---

(1) Szczegóły o czasie i miejscu ogłoszenia każdéj rozprawy, patrz. *Trejdosiewicz* w czasopiśmie: *Przyroda* i *Przemysł*, 1876, str. 297 i następne.

(2) Pamiętnik węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, Tom I 1874, str. 153 Tom II, 1875; Tom III, 1876.

(3) *Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego* 8 Kraków, 1876, tom I, str. 95—111. Praca p. Müldnera obejmuje wyłącznie bibliografią polską.

tychczas wyszło pięć tomów (1876—1880), oraz w pamiętniku Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego (*Magyarországi Kárpátegylet Evkönyve. Jahrbuch des ungarischen Karpathen—Vereins.* 7 tomów 1874—1880).

Na szczególną uwagę zasługuje mała książeczka L. Zejsznera pod tytułem: *Pieśni ludu Podhalan*, (8°, Warszawa, 1845), gdzie znajdujemy bardzo trafny szkic Podhala i Podhalan. Przeciwnie, *Dziennik podróży do Tatrów* Seweryna Goszczyńskiego (8°, Petersburg 1853), małéj jest wartości, wyjąwszy tylko zawarte w nim śpiewki. Do ważniejszych prac należy artykuł Józefa Konopki o górskiém gospodarstwie, umieszczony w *Encyklopedyi Rolnictwa* (8°, Warszawa 1874, Tom II str. 819 i następne).

Opisy wycieczek, zwłaszcza osób należycie z górami obeznanych, dobre dają wyobrażenie o topografii gór, oraz o złych i dobrych przygodach turysty (1). Do najlepszych sprawozdań tego rodzaju niewątpliwie należą opisy księdza kanonika Stolarczyka, proboszcza zakopiańskiego (2), oraz z nieporównaną werwą i prawdą skreślone: „*sześć dni w Tatrach*“ (3).

Krótki ten i pobieżny przegląd prac o Tatrach dostatecznie przekonywa, że o górach tych nie mało już napisano, skutkiem, czego jestem uwolniony od podawania wielu już gdzieindziéj ogłoszonych szczegółów.

Górale zamieszkujący stoki Tatrów przez nazwę *Podhala*, (tj. krainy położonéj poniżéj hal czyli pastwisk górskich) pojmują obszar objęty następującemi granicami: od południa łańcuchem Tatrów, od wschodu rzeką Białką, od zachodu Czarnym Dunajcem, od północy dalszym ciągiem tejże rzeki oraz Dunajcem do ujścia Białki. Zaledwie potrzeba nadmieniać, że mieszkańcy Podhala są Podhalanami; tak sami się nazywają i to samo miano nadają im sąsiedzi. Okolice

---

(1) Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego.

B. Rejchman. Wycieczka do Morskiego oka przez przełęcz Mięguszowiecką. „Ateneum“ r. 1877 tom IV, str. 469.

Tegoż: Wycieczka na Łomnicę. Warszawa, 16°, 1879.

2) *Stolarczyk:* Czas 1875, 14—16 Października, także Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego tom I. Ks. Stolarczyk pierwszy wszedł na szczyt Lodowego i Gierlachu, o czém jednak Kolbenheyer w swoim dziwnie oschłym, bezbarwnym przewodniku po Tatrach (*Die hohe Tatra,* 3 wydanie, 1880), nic nie wspomina, chociaż o obydwóch tych szczytach, podaje nic nie znaczące drobiazgi (str. 43, odsyłacz str. 46).

(3) *Sześć dni w Tatrach, wycieczka bez programu* przez—l—„Niwa,“ 1879, oraz Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego, tom IV, 1879, str. 47.

Spiża i Orawy sąsiadujące z Podhalem są stanowczo z tego ostatniego wyłączone, nawet okolice przez Polaków zamieszkałe. Tak więc Podhale ogranicza się galicyjskiemi stokami Tatrów, nigdzie politycznéj granicy nie przekraczając; ale i na tym obszarze dają się spostrzegać pewne różnice zaludnienia, skutkiem czego prof. Kopernicki nie uważa za Podhalan mieszkańców wsi Wróblówki i Długopola na prawym brzegu Czarnego Dunajca, oraz mieszkańców miasta Nowego Targu i wsi: Waksmund, Grońków, Łopuszna, Harklowa i Dębno, położonych na prawym brzegu Dunajca. Różnice są mniejszéj wagi, albowiem, jak mi pisze prof. Kopernicki, zasadzają się na pewnych drobnych wyłącznościach ubioru, uprzęży, budowy domów i wozów, oraz na niejakiéj różnicy mowy. Górale pomienionych miejscowości stanowią przejście do górali Beskidowych z jednéj, i do górali Pienińskich z drugiéj strony. W ten sposób ograniczone Podhale, według starannych obliczeń prof. Kopernickiego, ma 28.128 mieszkańców, gdy tymczasem w granicach obszerniejszych uważane posiada przeszło 40.000 ludności.

Wincenty Pol w dziełku swojém: *Północne stoki karpat* (8°, Kraków 1851), bardziéj ogranicza Podhale, z uwagi jednak, że nie przytacza żadnych motywów, oraz dopuszcza się błędów geograficznych (1), pozwolę sobie odmówić jego pracy poważniejszego znaczenia i pominę milczeniem zawarte w niéj poglądy. Goszczyński (*Dziennik podróży do Tatrów*) oraz p. B. Rajchman (*Wycieczka na Łomnicę*) do Podhala zaliczają wszystkie stoki Tatrów, co jednakże jest zupełnie dowolném pojmowaniem rzeczy. Zejszner znowu jest bliższy prawdy, ale zbyt ogólnikowo wyraża się: że Podhalanami są górale mieszkający na północno-wschodnich pochyłościach Tatrów. Pośród téj gmatwaniny zdanie profesora Kopernickiego jest najważniejsze i stanowczo musi być przyjęte, jako orzeczenie bystrego i sumiennego antropologa, który lata całe poświęcił badaniu górali polskich.

Tatry i Podhale, a w szczególności Zakopane, stanowić będą wyłączny przedmiot niniejszego szkicu.

Podhale jest znacznie nad poziom morza wyniesione. Najniższe jego punkta leżą 2.100 stóp (600 metrów), najwyższe zaś, tj. osta-

(1) Pol wymieniając wsie Podhala zimnego czyli właściwego, pominął trzy wsie: *Ciche*, *Bystre* i *Miętustwo*, z których dwie pierwsze leżą tuż u podnóża Tatrów. Daléj, wieś *Ratułów* według Pola leży nad Białym Dunajcem, rzeczywiście zaś leży nad potokiem Cichym, wpadającym do Czarnego Dunajca.

teczna granica owsa, 3.850 stóp (1100 metrów) nad poziomem morza. Daléj w górę następuje pas regli lasem obrosłych, po nad któremi piętrzą się *wielkie Tatry*, sięgające 9.321 stóp (2.663 metrów) nad poziom morza. W polskich Tatrach najwyższą jest *Świnica* (8025 stóp, czyli 2293 metrów). Do najwyższych w ogóle szczytów należą: *Lodowy* (9201 stóp, czyli 2629 metrów), *Wielki Krępak* albo *Łomnica* (9219 stóp, czyli 2634 metry), *Garłuchowa góra* albo *Gierlach* (9321 stóp, czyli 2663 metry). Tatry nie są tedy bardzo wysokie i sławę swoję zawdzięczają nie wyniosłości szczytów, ale raczéj ich niedostępności, malowniczości i dzikiéj wspaniałości.

Łańcuch wielkich Tatrów wybuchowych ciągnie się od góry *Rohaczy* na zachód, do *Kesmarskiego szczytu* na wschód, od regli na północ, mniéj więcéj do równoleżnika Szmeksu (Sławkową) na południe. Orograficzne granice Tatrów znacznie są obszerniejsze, albowiem rozciągają się od Wagu do Dunajca, od rzeki Orawy do Popradu. W każdym razie Tatry małą przedstawiają rozległość. Uważane w przytoczonych granicach orograficznych, mają one 17½ mil (122 kilometry) wzdłuż, a 6½ mil (45,5 kilometrów) w szerz, gdy tymczasem długość wielkich Tatrów w ścisłém znaczeniu podają na 7 mil (49 kilometrów), a szerokość na 2½ mile (17,15 kilometrów).

Według wiadomości łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego, cały główny grzbiet Tatrów składa się z granitu i gnejsu; gdzieniegdzie na przełęczach występuje łupek mikowy. Granit i gnejs podnosząc się spowodowały podniesienie skał wapiennych, od których prawie wszędzie oddzielają się pokładem piaskowca białego albo czerwonawego (ale nie wiadomo czy tryasowego). Najbliższe granitu wapienie często bywają półkrystaliczne, nie zawierają skamieniałości, i skutkiem tego dotychczas nie określono ich wieku geologicznego. Zdaje się, że wapienie te są bardzo dawne, prawdopodobnie węglowe. W Tatrach w wielu miejscach występują dolomity, a ostatnie góry, zwłaszcza od strony północnéj, składają się z wapienia nummulitowego, poczém następują niższe wzgórza, daleko na północ sięgające, utworzone z piaskowca karpackiego i z alluvium. Na południowéj stronie łańcucha przemagają warstwy dyluwialne. Formacya kredowa występuje głównie w pasmie Murania, a jurajska w porozrywanych i pojedyńczo sterczących skałach doliny Nowotarskiéj, np. w Szaflarach.

Tatry bardzo są ubogie pod względem płodów mineralnych. Żelazo jest najpospolitsze, chociaż mało obfite, a miedź daleko jest rzadsza. Ślady złota dają się spostrzegać na Krywaniu, srebro zaś jest rzadsze od złota. Zaledwie przezroczyste granaty znajdują się w do-

linie Wielkiéj (Felka) i w Gierlachu. Kryształy kwarcu bardzo są rzadkie i do tego pospolicie bywają nieprzezroczyste.

Flora Tatrów nosi na sobie wszystkie znamiona flory *halnéj* czyli *alpejskiéj*. Krainy roślinności odpowiadają krainom Alp, lecz przypadają na mniejszych nieco wysokościach. Według spostrzeżeń łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego krainy roślinności zachowują się w Tatrach w sposób następujący.

1. Kraina roli uprawnéj tj. owsa *(regio campestris)* sięga do 3850 stóp (1100 metrów).

2. Kraina buczyny *(regio montana)*, sięga do 4725 st. (1350 m.)

3. Kraina świerczyny *(regio subalpina)*, od 4305 st. (1230 m.) do 4900 st. (1400 m.).

4. Kraina kosodrzewu czyli kosówki *(regio alpina)*, od 4760 st. (1360 m.) do 7000 st. (2000 m.).

5. Kraina nagich wirchów *(regio supraalpina)* do 9321 st. (2663 m.).

Podane tutaj granice rozmaitych krain roślinności różnią się nieco od granic przez prof. Nowickiego przyjmowanych (porównaj: *Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego*, tom I, str. 28—36).

Z powyższego okazuje się, że krainy wzajemnie na siebie zachodzą, tj. górna granica dolnéj krainy nie wszędzie jest dolną granicą górnéj. Tak świerki zachodzą pomiędzy kosówkę, którą znowu niekiedy bardzo nisko spotykamy. Daléj, należy zauważyć że kraina buczyny oznacza wysokość, do któréj sięgają buki, klony i inne drzewa liściaste, boć zresztą drzewa te rosną i na dolinach. To samo stosuje się do świerków *(smreków)* i jodeł. Kraina świerczyny oznacza okolicę gór, gdzie rośnie świerk i jodła *z wyłączeniem buku i innych drzew liściastych*. W dolnéj części krainy kosówki rośnie wspaniała limba *(Pinus cembra)*.

Charakterystykę flory tatrzańskiéj, według wskazówek łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego, można streścić w sposób następujący.

Limba jeszcze jest dosyć obfita pomimo znacznego wytępienia. Kosówka tworzy obszerne zarośla do uprzykrzenia bujne. Modrzew czyli po góralsku *świerk (Larix europaea)* jest zwłaszcza na południu pospolity. Cis *(Taxus baccata)* stał się bardzo rzadkim. Goryczki *(Gentiannae)* i łomikamienie *(Saxifragae)* bardzo są liczne. Sit trójdzielny *(Juncus trifidus)* nadzwyczaj jest rozpowszechniony na znacznych wysokościach; jesienną porą czerwienieje nadając odpowiednią barwę wierzchołkom gór, które téż często noszą nazwę *Czerwonych wirchów*. Trawy bardzo są liczne i pomiędzy niemi dużo jest gatunków z nasionami już na roślinie kiełkującemi; pomiędzy innemi wi-

klina żyworodna (*Poa vivipara)* nadzwyczaj jest pospolita. Flora skrytokwiatowa jest wogóle świetna i bujna. Paprocie są liczne i piękne. Porostów (*Lichenes*) znaleziono kilkaset gatunków; mchów (*Musci*) odszukano blisko 400 gatunków, wątrobnic (*Hepaticae*) do 150 gatunków. Wodorosty (*Algae*) i grzyby bardzo są liczne, lecz śluzowce (*Myxomicetes*) w małéj tylko występują ilości.

Fauna tatrzańska odznacza się znacznóm ubóstwem w porównaniu z Alpami, a mianowicie Tatrom brak kozła skalnego (*Capra ibex*), bielaka (*Lepus variabilis*), orłosępa (*Gypaëtos barbatus*), jerzyka alpejskiego (*Cypselus melba*), wrończyków (*Fregilus graculus* i *Pyrrocorax alpinus*, i pardwy (*Lagopus albus*). Do charakterystycznych mieszkańców tatrzańskich należy kozica, u górali poprostu kozą zwana (*Rupicapra tragus* i świstak (*Arctomys marmotta*) ze zwierząt ssących, a z ptaków: siwarnik (*Anthus spinoletta*), wróbel skalny (*Accentor alpinus*), mentel w książkach pomórnikiem zwany (*Tichodroma phoenicoptera*) i pluszcz (*Cinclus aquaticus*); z charakterystycznych motyli występuje apollo (*Parnassius apollo*). W lasach często spotykać się daje wielki nagi ślimak ciemno-szafirowego koloru z malachitowo-zielonym połyskiem (*Limax Schwabii*). Oprócz tych bardziéj w oczy wpadających mieszkańców gór spotykamy drobne zwierzątka na pierwszy rzut oka do myszy podobne, w rzeczy zaś saméj blisko z kretem spokrewnione, które u Podhalan noszą ogólną nazwę *recków*. Z pomiędzy recków tatrzańskich najbardziéj na uwagę zasługuje nader rzadki *Sorex alpinus*, którego dopiéro w zeszłym roku odszukał w Tatrach pan Antoni Kocyan, leśniczy w Orawicach, bardzo zasłużony badacz fauny tatrzańskiéj. Daléj wspomnę *jaszczura* (*Salamandra maculata*) i trytona górskiego (*Triton alpestris*) z ognisto pomarańczowym brzuchem i granatowo-czarnym lub brunatno-żółtym grzbietem czarno-marmurkowanym.

Oprócz tych wyłącznie górskich zwierząt w Tatrach spotykamy rozmaite gatunki, które mieszkają także na dolinach, zwłaszcza bardziéj na północ wysuniętych. Koszatka mniejsza (*Myoxus dryas*) i orzesznica (*Myoxus avellanarius*) dalcko są pospolitsze aniżeli na dolinach. Wiewiórka tatrzańska ma futro czarne albo ciemno-kasztanowate. Sarna mało jest liczna. Zając szarak należy do rzadkości, do tego stopnia, że w Tatrach dla upolowania jednéj kociny zadają sobie więcéj pracy aniżeli u nas gdy chodzi o sarnę. Ze zwierząt drapieżnych pierwsze miejsce zajmuje niedźwiedź. Sprawia on bardzo dotkliwe szkody w stadach krów i owiec, chociaż zresztą nie jest liczny; zaprzeszłego roku myśliwi tatrzańscy zapewniali mnie, że w całych Tatrach było wówczas tylko 15 sztuk niedźwiedzi. Liczba niedźwiedzi co rok się zmniejsza skutkiem zawziętego prze-

śladowania ze strony myśliwych. Wilki zupełnie zostały wytrute; lisy mało są liczne, a kuny bardzo przerzedzone. Orły rzadko spotykać się dają; daleko częściéj po reglach pokazują się drobniejsze gatunki ptaków drapieżnych: jak jastrzębie, sokoliki i myszołowy. Przepiórka należy do rzadkości, a kuropatwa, chociaż pospolitsza, nie jest częstem zjawiskiem. Głuszce (*głuchonie*), cietrzewie i jarząbki, od pewnego zwłaszcza czasu, mało są pospolite. Po wilgotnych lasach zdarza się słomka. Wogóle, brak zwierzyny przedewszystkim wynika z nadzwyczaj gęstego zaludnienia stoków tatrzańskich, oraz namiętności górali do fuzyjki. W potokach i jeziorach (*Rybiem* i *Popradzkiem*) poławiają się pstrągi, czasami łososie. W potokach bardzo jest pospolity głowacz (*Cottus*). Żmija dosyć często się zdarza. Jest ona postrachem górali, którzy obawiają się nawet zdechłego *gada*. Jednym wyrazem *gad* można rozproszyć cały zastęp odważnych zresztą Podhalan.

Z pomiędzy wszystkich mieszkańców gór największéj prześladowania znosi kozica i świstak, głównie w węgierskich Tatrach rozpowszechnione. Pierwsza nęci jako zwierzyna, chociaż główną pobudką do polowania jest namiętność górali do strzelby, drugi zaś, na swoje nieszczęście cieszy się ogromną sławą jako środek leczniczy. Jak słusznie p. Rejchman zauważył, świstak jest chodzącym kamieniem filozoficznym górali, którzy jego tłuszczowi przypisują niezliczone własności uzdrawiające i z tego powodu w późnéj jesieni zawzięcie wykopują go z nor, w których się już zabrał do snu zimowego, gdyż w owym czasie najbardziéj jest tłusty. W polskich Tatrach kozica jest nadzwyczaj rzadka, a świstaka prawie już nie ma. Tylko w téj części Tatrów obadwa zwierzęta znajdują się pod opieką prawa, które zabrania je niszczyć w jaki bądź sposób. Niestety zakaz wydano dopiero wtedy, kiedy już nic było zwierzyny, któraby mogła z niego korzystać. Szczegóły obydwóch tych zwierząt dotyczące znajdzie czytelnik w pracach profesora Nowickiego pod tytułem: „*Kozica*“ (8° Kraków, 1868) i „*o świstaku*“ (8° Kraków, 1865).

Podhale, jak to widzieliśmy, jest znacznie wyniesione nad poziom morza, łatwo tedy pojąć, że posiada ostry i zimny klimat, zwłaszcza że jest mocno ku północy wysunięte, oraz leży na północnym stoku łańcucha górskiego. Lato jest krótkie, a śnieg niekiedy już we wrześniu pokrywa doliny podhalskie. Do tych warunków klimatycznych dodawszy jałowość płytkiéj gleby, zrozumiemy smutny

stan rolnictwa na Podhalu, które pod tym względem w niczem nie jest szczęśliwsze od innych górskich krain.

Według wiadomości w Zakopanem zebranych, które nieco różnią się od podanych przez Konopkę (*Encyklopedya rolnictwa*, tom II), urodzaje na Podhalu przedstawiają się w sposób następujący.

Najważniejszą rośliną zbożową na Podhalu jest owies, uprawiany na wielką, a właściwie mówiąc na największą skalę. Zwykły zbiór owsa nie przewyższa dwóch ziarn, często tylko *brat brata rodzi*, a czasami, w razie pięknego urodzaju bywa do trzech ziarn. Jęczmień jest już daleko mniéj uprawiany, a jeszcze mniéj żyto, które daje się spostrzegać tylko w miejscach zacisznych, zasłoniętych budynkami, drzewami lub pagórkiem. O ile mogłem zauważyć, żyto podhalskie ma drobne kłosy na wybujałéj, wątłéj słomie. Słaby urodzaj żyta nie odstraszałby jeszcze Podhalan od jego uprawy; główną przyczyną zaniedbywania tego zboża jest łatwość, z jaką ulega potłuczeniu przez wiatr; dlatego to Podhalanie sieją żyto w miejscach zacisznych. Skąpe zbiory, jakich się Podhalanin spodziewać może, często zupełnie go zawodzą; czasami gwałtowny wiatr *halny* z gór wiejący zupełnie zboże wytłucze, a czasami, z powodu zimnego lata żniwa się opóźniają i zboże zostaje śniegiem przyprószone. W obydwóch tych razach zboże daje się zużytkować jedynie jako pasza zielona. Po owsie najważniejsze miejsce zajmuje kapusta i ziemniaki czyli grule, w wielu miejscach kraju kartoflami przezywane. Podhalskie ziemniaki bardzo są smaczne lecz drobne. Dobry urodzaj daje 6 korcy z jednego korca. Ziemniaki nie boją się wiatrów, choćby najsilniejszych, ale długie ulewy bardzo są dla nich zgubne; tak 1879 roku po mokrem i zimnem lecie nieurodzaj ziemniaków tak był wielki, że zebrano mniéj, aniżeli posadzono. Kapusta wogóle nieźle się udaje, ale się w główki nie zwija; odpowiada ona temu, co u nas szarą kapustą nazywają. Groch sieją pomiędzy ziemniakami otrzymując dobre stosunkowo zbiory dorównywające 16 ziarnom. Pomimo to groch mało jest uprawiany, bo też co prawda jest on szkaradnie twardy. Na całém Podhalu bardzo pilnie uprawiają len, który według zdania miejscowych mieszkańców bardzo dobrze się udaje; nie myślę temu przeczyć, uczynię jednak uwagę, że nie jest on ani tak gęsty, ani tak wysoki jak na naszych dolinach, nie mówiąc już o sławnéj ze lnu Żmudzi. Łodygi lnu zawsze są na Podhalu wątłe i z obwisłym wierzchołkiem, czego w dolinach nie spostrzegamy. Nasienie lnu prędko wyradza się na Podhalu i musi być przynajmniéj co trzy lata zmieniane. Do powszechnie uprawianych roślin należy wreszcie koniczyna, która staraniem profesora Chałubińskiego rozpostarła się do samego podnóża Tatrów, a nawet spotykać się

daje pod samym wierzchołkiem Gubałówki. Obok koniczyny doskonałéj paszy dostarcza aromatyczne siano zbierane na łąkach i polanach.

Takie są płody, jakich ziemia podhalska skąpo góralowi udziela (1), ale i téj *płonéj* ziemi już jest zamało. W Zakopanem najbogatsi *gazdowie* posiadają do 60 morgów i mają wysiewu do 90 korcy owsa, ale téż takich gazdów jest ledwie dwóch albo trzech. Zamożny, albo mówiąc miejscowym językiem *hruby gazda*, ma ledwo 20 morgów, na których wysiewa 30 korcy owsa i sadzi 15 korcy ziemniaków. Miernie bogaty gazda posiada 6—10 morgów ziemi, na któréj wysiewa do 15 korcy owsa, oraz sadzi do 7 korcy ziemniaków, gdy tymczasem biedny czyli *płony* gazda ma wysiewu tylko dwa lub trzy korce owsa. Tak więc na Podhalu daje się uczuwać brak i téj nawet płonéj ziemi, która téż nie może wyżywić swego właściciela z jego rodziną i dobytkiem czyli *statkami*. W Zakopanem nie łatwo znaleść gazdę, któryby nie był zmuszony co rok kupować ziarno na przednówku. Oczywiście rolnictwo jest tu niewystarczające i potrzeba szukać rozmaitych innych źródeł wyżywienia i zarobku. W rzeczy saméj Podhalanin oddaje się rozmaitemu przemysłowi i hodowli zwierząt, do któréj jest prawdziwie namiętny.

Na pochwałę Podhalan należy powiedzićć, że chętnie biorą się do wszelkiego zarobku. W miarę możności zarabiają furmankami, co jednak znacznie jest utrudnione od czasu jak kuźnice zakopiańskie i inne stoją bezczynnie. Dawniéj zwożenie rudy żelaznéj do hut, oraz wywożenie odkutego żelaza, zapewniało posiadaczowi koni stały zarobek, lecz od czasu sprzedania dóbr zakopiańskich przez panów Homolacsów zupełnie zarzucono kopanie i wytapianie rudy, a kuźnice, z wyjątkiem dwóch tylko, stanowczo zamknięto. Mało dla właścicieli dochodny przemysł hutniczy porzucono i w innych majątkach, czyli tak zwanych u górali *państwach*. Obecnie głównym zarobkiem furmanów podhalskich jest zwózka drzewa z lasu i rozwożenie tarcic z tartaków, *piłami* zwanych.

Letnią porą Podhalanie wyruszają z kosami do Królestwa Polskiego lud do Węgier, gdzie *radzi ich widzą*, bo z pewnością nikt nie

---

(1) Z powodu jałowości ziemi uprawa roli przez najemników jest niemożebna, bo płody nie pokryłyby kosztów zbioru. Dla tego to wielcy właściciele prawie wcale roli nie posiadają. Konopka podaje że według kadastru z lat 1845—1850 na Podhalu do wielkich właścicieli należało 528 morgów austr. roli i ogrodów, gdy tymczasem w rękach drobnych właścicieli znajdowało się 39.140 morgów austr. roli. Stosunek ten uległ zmianie w kierunku nabywania roli przez górali. Głównym, jeżeli nie jedynym źródłem dochodu wielkich właścicieli są lasy, nie zawsze należycie zagospodarowane.

zetnie trawy tak nisko i równo jak góral, który każde źdźbło ceni. W jesieni oszczędny góral powraca z dolin z dobrym stosunkowo zarobkiem, ale zwykle z uporczywą zimnicą, któréj zwłaszcza w Węgrzech nabywa.

Góral chętnie najmuje się do ścinania drzew, palenia węgli, i stara się posiąść jak najwięcéj techniki rzemieślniczéj. Brak specyalności jest niewątpliwie wielką wadą mało wyrobionego społeczeństwa, i jeżeli nasz chłop z doliny grzeszy dążnością do rzemieślniczéj wszechstronności, to Podhalanin z pewnością doprowadza tę wadę do ostatecznych granic, bo by chciał wszystko sam sobie zrobić. Znam Zakopiana będącego jednocześnie furmanem (chociaż *nierad furmani*), ślusarzem, kowalem, giserem, bronzownikiem, stolarzem, zdunem, cieślą, drwalem oraz doskonałym i niezrównanym przewodnikiem po górach, a dobrze poszukawszy możebyśmy odkryli w nim jeszcze jaką specyalność ukrytą, naprzykład uzdolnienie do mniéj legalnego polowania na kozy. Naturalnie, każdy Podhalanin obok wszystkich swoich wiadomości rzemieślniczych zawsze jest rolnikiem. Bądź-co-bądź, górale podhalscy sami sobie wystarczają i mało potrzebują pomocy obcych rzemieślników. Pomiędzy Podhalanami znajdują się wcale inteligentni i zdatni krawcy, a przemysł płócienniczy bardzo nawet jest na Podhalu rozwinięty, bo nietylko wystarcza na miejscowe potrzeby, ale nadto pozwala sprzedawać pewną ilość płócien. Sukno także jest miejscowego wyrobu, białe albo czarno-brunatne, stosownie do koloru wełny, która farbowaniu nie ulega. Folusze są własnością górali, albo przynajmniéj przez nich bywają dzierżawione. Tak więc górale sami sobie pod względem ubrania wystarczają, wyjąwszy tylko kapelusz, kupowany w Nowym Targu, oraz kożuszek, czyli *serdak* pięknie na wierzchu czerwoną skórą wyszywany, który najchętniéj kupują w komitacie Liptowskim, gdzie najbardziéj wziętym jest Jałowicki, kuśmierz miejscowy, rzeczywiście na sławę swoją pięknym wyrobem zasługujący; od niego to pochodzą wszystkie pięknie wyprawne i dobrze uszyte serdaki, jakich w Zakopanem dostać można. Obuwie Podhalanin przeważnie sam sobie robi, co nie jest rzeczą zbyt trudną, bo dotychczas na Podhalu najwięcéj używają tak zwanych *kierpci*, t. j. skóry juchtowéj na około stopy obwiniętéj i na wierzchu rzemykiem zeszytéj. Na niedziele i święta coraz bardziéj wchodzą w użycie buty węgierskie u mężczyzn i buciki skórzane u kobiét; ztąd rodzi się potrzeba specyalnych szewców, których zamało jest po wsiach, skutkiem czego powstaje konieczność posiłkowania się szewcami nowotarskiemi. Wszelkie inne wyroby rzemieślnicze, z wyjątkiem uprzęży, wychodzą z rąk samych Podhalan, którzy posiadają nawet własną muzykę,

złożoną ze skrzypców *(gęślików)* i basów. Chociaż to wprost do rzeczy nie należy, pozwolę sobie nadmienić, że wirtuozami miejscowemi są dwaj górale: stary Jan Sabała Krzeptowski i Bartek Obrotka. Podhalanin chętnie bierze się także do handlu, do którego stanowczo więcéj ma zdolności aniżeli jego brat z doliny. Pomiędzy innemi wspomnę tu Jana Sobałę Krzeptowskiego (syna), który będąc dobrym krawcem, stale handluje serdakami Jałowickiego, po które biega do Liptowa, a to w jedną stronę dzień drogi po górach i do tego na góralskie nogi.

Obok rozmaitych rzemiosł, handlu i przemysłu bardzo ważném zajęciem i źródłem utrzymania jest hodowla koni, bydła i owiec. Wogóle należy zauważyć, że Podhalanin, oceniając całą wartość swego dobytku czyli *statków*, jak najlepiéj obchodzi się ze swemi czworonogiemi wychowańcami. Nigdy nie widać tu znęcania się nad zwierzęciem, nigdy głodzenia, chyba w ostatecznéj biedzie; pod względem obejścia się ze zwierzęciem, Podhalanin stoi bez porównania wyżéj od chłopa z dolin, często nawet i od dziedzica dóbr ziemskich. Nic więc dziwnego, że pomimo wielkiéj trudności wyżywienia, nie spotykamy tu owych wychudłych męczenników, tak pospolitych na naszych równinach. Co dziwniejsza, konie nie mają krzywych i drżących nóg, chociaż ciągną ciężary po najgorszych i przerażająco stromych drogach; ale téż góral rzadko i bardzo oględnie używa bata, nie przeładowuje konia, pomaga mu w trudnych miejscach i zawsze zeskakuje z wozu gdy wypadnie pod górę jechać. Podhalanin kocha się w koniach, które z pewną elegancyą zaprzęga w schludne, zawsze mosiądzem i płatami zdobne chomąta. Jedno tylko można zarzucić góralskiemu zaprzęgowi, a mianowicie brak lejców krzyżowanych czyli tak zwanych krzyżaków, skutkiem czego powożący zawsze zależy od dobréj woli swoich koni, które mogą nie usłuchać rozkazów *heta* i *wiśta*, chociażby argumentem bata popartych. Wprawdzie Podhalanie dowodzą, że *mądry koń obejdzie się bez krzyżowych powódek*, ale gdy praktyka nie zawsze świadczy na korzyść *rozumu* podhalskich koni, przeto nalegania gości skłoniły Zakopian do szybkiego przyswajania sobie tego wynalazku dla głupich koni obmyślonego. Dzisiaj każdy posiadacz krzyżaków z dumą je pokazuje, jako dowód swoich postępowych pojęć furmańskich.

Trudno powątpiewać, iż każdy Podhalanin do zbytku by *statki* swoje mnożył, gdyby na to pozwalały miejscowe warunki. Skąpo w górach wydzielona pasza, zmusza go do hamowania swojéj namiętności.

Konie, płacone od 50—150 złotych reńskich, ważną bardzo odgrywają rolę w gospodarstwie podhalskiem, albowiem wykonywają

wszystkie prace koło roli i koło domu. Liczba koni na Podhalu, zwłaszcza w Zakopanem i wsiach sąsiednich, ulega znacznym nawet zmianom stosownie do pory roku, albowiem na wiosnę Podhalanin zwykle dokupuje konia, którego w jesieni odprzedaje. Taki ruch koni przedewszystkiém spostrzegać się daje u Zakopian i Poronian, trudniących się przewożeniem gości. Skutkiem takiego kupowania i odprzedawania Podhalanin na każdym koniu traci 10 do 15 reńskich, co właściwie żadną nie jest stratą, bo odprzedawany koń dużo więcéj zarobił w lecie, zwłaszcza u furmana. Podhalanin kocha swoje konie, a furmanowi największą sprawia przyjemność jeżeli jest w stanie obadwa konie zimować, oraz jeżeli mu się uda dobrać parę siwków. Ta namiętność do siwków wpływa nawet na ich cenę, albowiem siwki są droższe od koni innéj maści. Na Podhalu, dla braku paszy, nie ma hodowli koni, lecz każdy kupuje sprzężaj w miarę potrzeby. Ztąd nie ma tu jednostajnéj, szczególnéj rasy koni, jak np. u Hucułów; pomimo to jednak wszystkie konie podhalskie są średniego lub małego wzrostu, na cienkich nogach i o zgrabnem kopycie. Wszystkie, zwłaszcza używane do wożenia mléka z hal, nadzwyczaj są ostrożne w chodzie i pomimo najgorszych dróg prawie nigdy się nie potykają. Konopka podaje, że w r. 1867 na Podhalu było 5.148 koni, ale nie wyjaśnia czy mówi tylko o koniach zimowanych, czyli téż o koniach podczas lata trzymanych. Ta sama wątpliwość stosuje się do cyfr bydła rogatego i owiec przez tegoż autora podawanych.

Bydło rogate, czyli *hruby statek*, a przedewszystkiém krowy, bardzo ważną rolę odgrywają w gospodarstwie podhalskiem. Krowa, płacona 30—50 reńskich, dostarcza nabiału, tyle przez Podhalan cenionego, a podpasiona przez lato zapewnia zysk przy sprzedaży jesienną porą. W lecie każdy Podhalanin kupuje tyle krów, ile ich może na hali utrzymać, a w jesieni nadliczbowe sztuki sprzedaje Słowakom liptowskim, którzy biją kupione krowy i mięso marynują na potrzeby zimowe. Tym sposobem w parafii zakopiańskiéj, liczącéj 4.000 dusz, co rok mieszkańcy sprzedają do 1.000 krów, zyskując na każdéj 5 do 10 reńskich, oprócz mléka przez całe lato otrzymywanego. Słowaki zachowują się tutaj bardzo niedorzecznie, bo mając obfite i bujne pastwiska nie korzystają z nich jak należy i zamiast wzmocnić hodowlę wspaniałych wołów węgierskich, kupują od sąsiadów krowy daleko gorszéj na rzeź rasy. Bydło podhalskie należy do rasy krótko-rogiéj (*Bos bruchyceros*, Rütimeyer, *Bos longifrons*, Owen). Wzrost bydła jest drobny, nogi cienkie, racice małe, łeb mały, szczupły, zgrabny, oczy wypukłe, duże, oczodoły sklepiste i wydatne, czoło w tylnéj swéj części daszkowato wypukłe, rogi

małe, stożkowate, najczęściéj czarne, czasami białe. Maść bydła jest po największéj części czerwona (cisawa) rozmaitych odcieni; czasami zdarzają się zupełnie myszate sztuki, a kilka razy zauważyłem krowy buldoczéj maści t. j. żółte z ciemnemi pręgami poprzecznemi, bardzo ostro narysowanemi. Podhalskie bydło odpowiada tak zwanemu *Braunvieh* gór Szwajcarskich. Goście z dolin przybywający często przyganiają góralom, że się nie starają o roślejszą rasę bydła. Nagana jest nieuzasadnioną, albowiem nikt na hali innéj rasy nad górską nie utrzyma; ciężka krowa nie jest w stanie wejść na strome pastwiska górskie, ani téż może się utrzymać na silnych pochyłościach. Prawda, w Zakopanem i wogóle na Podhalu możnaby mieć bydło najwspanialszych nawet ras, ale pod warunkiem trzymania go na stajni. Tam, gdzie wystarczają pastwiska w dolinie położone, np. w Kuźnicach zakopiańskich, daje się spostrzegać roślejsze bydło, będące mięszaniną górskiéj rasy krótko-rogiéj (*Bos brachyceros*) i dolinowéj rasy turzéj (*Bos primigenius*), ale bydło na halach pasane z konieczności należy tylko do pierwszéj.

Pomimo drobnego wzrostu, podhalska krowa daje do jednego garnca mléka na dzień. Konopka podaje, że w r. 1857 hodowano na Podhalu 28.622 sztuki bydła rogatego, w téj liczbie 14.227 krów i 11.957 jałówek, ale pozostawia nas w wątpliwości czy mówi o sztukach pasionych po halach, czyli téż o zimowanych.

Owce *(strzyżki)* stanowią niezbędną część składową każdego *gazdostwa*, jako dostarczające sera i wełny. Każdą owcę przez całe lato trzy razy dziennie doją, oraz strzygą dwa lub trzy razy w ciągu roku, stosownie do bujniejszéj lub chudszéj paszy. Owca w ciągu lata dostarcza dziennie do jednéj kwarty mléka, oraz daje do 6 funtów wełny na rok (Konopka mylnie podaje $1 \frac{1}{2}$ do 2 funtów wełny na rok). Wełna jest długa, kędzierzawa, lecz stosunkowo gruba; służy ona do wyrobu używanego na Podhalu grubego sukna. Wyprawne skóry dobrych dostarczają kożuchów. Owce są duże, z długą mordą i małemi rożkami, albo najczęściéj bezrogie. Rogi tryków są bardzo małe i słabo skręcone. Owce są białe, albo czarne i wtedy siwieją w czwartym lub trzecim roku życia. Hodowla owiec odbywa się na tych samych zasadach co hodowla krów; w lecie każdy gazda powiększa swe stado do możliwych rozmiarów, a w jesieni znowu je zmniejsza według zasobów paszy zimowéj. Bądź-co-bądź, na jedną krowę u każdego gazdy wypada dwie lub więcéj owiec, trudno więc zrozumieć jakim sposobem według Konopki na Podhalu wraz z Nowotarszczyzną ma być tylko 18.000 owiec, kiedy samo Podhale posiada 28.622 sztuk bydła rogatego? Owca kosztuje 3 do 10 złotych reńskich.

Kozy zajmują na Podhalu zupełnie podrzędne stanowisko. Trzoda chlewna jest raczéj przedmiotem zbytku, przeznaczonym na zapusty i Wielkanoc. Nie jest ona związana z bytem Podhalan.

Hodowla możliwie licznych *statków* zmusza Podhalan do największéj oszczędności paszy, oraz do zabiegania o podściółkę, któréj nie można tu poświęcić ani jednego źdźbła słomy, przeznaczonéj wyłącznie dla inwentarza. I tutaj, jak w całém swem życiu, Podhalanin jest zmuszony do przemysłu, oszczędności i walki z najcięższym niedostatkiem. Dla zużytkowania wszelkiéj rozporządzalnéj paszy Podhalanie wyprawiają swój dobytek na górskie pastwiska czyli *hale* (1) o ile można najwcześniéj, w maju lub w pierwszéj połowie czerwca. Do cieplejszych, niżéj położonych hal, stada wyruszają wcześniéj, do zimniejszych zaś, wyżéj leżących pastwisk, późniéj wychodzą. Pasienie na hali ciągnie się do końca sierpnia, t. j. do początku żniw, w którym to czasie następuje powrót do wsi, czyli *redyk.* Krowiarze i krowiarki, oraz juhasy pomagają w żniwach, a po sprzątnięciu zboża dobytek pasie się na ścierniach aż do zupełnego ich spotrzebowania, poczém znowu powraca do bliższych hal, gdzie aż do śniegów pozostaje. Jeżeli w jesieni nastąpi odwilż czyli *zmięk*, stada powracają do cieplejszych hal, gdzie pozostają jak można najdłużéj, t. j. dopóki ich śniegi do ostatecznego *redyku* nie zmuszą. Brzegi rowów i dróg spasają krowy pozostawione we wsi na lato. Jednem słowem, na Podhalu każde źdźbło trawy zostaje spożytkowane.

Wszystkie tu pokrótce przedstawione źródła dochodu i pożywienia zaledwie wystarczają na bardzo skromne utrzymanie.

Chléb żytni, a tém bardziéj pszenny, jest przedmiotem zbytku i tylko w święta, lub podczas uroczystości domowych pojawia się na stole Podhalana. Mięso także jest zbytkowym pokarmem, bar-

---

(1) Halami nazywają w Tatrach górskie pastwiska położone na rozmaitych wysokościach, od krainy buczyny aż do krainy nagich wirchów. Hale zawsze tedy leżą w samych Tatrach, dokąd nie sięgają stale ludzkie mieszkania. Profesor Nowicki (porównaj „*Kozica*,“ Kraków 1868, oraz „Pamlętnik Tow. Tatrzańskiego,“ tom I, str. 32) i Ksiądz Sutor („Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego,“ tom I, str. 47) utrzymują, że hale są *pastwiskami położonemi powyżéj górnéj granicy lasów*, co stanowczo jest błędnem, albowiem dużo jest hal położonych w pasie lasów, t. j. dokładniéj mówiąc w krainie świerczyny a nawet buczyny. Do takich hal śródleśnych pomiędzy innemi należą: Smytnia, hala Tomanowa, Chochołowska, Mała łąka, Kondratowa, Olczyska (z któréj owce pasają pod Kopą Magórą na stokach przełączy wśród lasu położonéj), daléj hale w dolinie Białego, w Strążyskach i t. d. Hala śródleśna zawsze tworzy łączkę bez drzew, czyli tak zwaną u nas haliznę. Łąkę górską, na któréj można zbierać siano nazywają *polaną*. Polana zawsze leży wśród lasu.

dzo rzadko spożywanym i nie dla każdego jest dostępne. Głównym pokarmem Podhalana jest gruba mąka owsiana, w rozmaity sposób przyrządzona, grule, kapusta i nabiał.

Z owsianéj mąki pieką cienki, zakalcowaty placek *moskalem* zwany, który należy do wykwintnych potraw, zwłaszcza gdy jest masłem omaszczony. Na moskala potrzeba dużo mąki, a zatém jest on zbyt kosztowny na zwykły pokarm; główném pożywieniem jest daleko tańsza papka powstała z mąki owsianéj na wrzącą wodę sypanéj. Powstała ztąd papka rozmaitéj bywa gęstości odpowiednio do stosunkowéj ilości mąki i rozmaite nosi nazwiska. Jako przyprawa papki służy masło lub mléko, czasami bryndza. W razie nieurodzaju Podhalanie zastępują owies kukurydzą na Węgrzech kupowaną, któréj nie lubią i tylko z konieczności spożywają. Grule, kwaśna kapusta i groch dopełniają podhalskiéj kuchni, która, jak widzieliśmy, przyprawia potrawy rozmaitemi przetworami mléka, z pomiędzy których najważniejszém jest masło, ser i bryndza.

Ser i bryndza są jedynym pokarmem azotowym stale na Podhalu spożywanym i z tego powodu nadzwyczaj ważną rolę odgrywają w życiu Podhalan. Podhalska bryndza jest owczym twarogiem starannie rozkruszonym i osolonym. Bryndzę przechowują w beczkach, jako bardzo ważną część zapasów zimowych. Ilość bryndzy i serów na Podhalu wyrabianych nie przewyższa potrzeb miejscowych, a stąd obadwa te produkty prawie wcale nie wychodzą po za obręb téj krainy; zresztą przyznać należy, że owczy ser podhalski bardzo niskiéj jest wartości jako chudy i suchy, i w żadnym razie nie mógłby współzawodniczyć z owczémi serami na dolinach wyrabianemi.

Jak widzimy, żywność Podhalan jest pod względem jakości bardzo poślednia, ale Podhalanin uważałby się za szczęśliwego, gdyby jéj miał poddostatkiem; na nieszczęście rzecz się ma wprost przeciwnie. Podhale stosunkowo do swego zaludnienia bardzo mało posiada żywności i góral pomimo wszystkich zabiegów jest zmuszony do poprzestawania na bardzo małém. Podhalanin je niesłychanie mało, prawie tyle tylko ile potrzeba dla utrzymania życia, często zgłodu przymierając. Ztąd u Podhalan powstało przysłowie, że żyją *powietrzem, wodą i głodem*. Nie ma nadziei, aby z jałowéj roli udało się dużo więcéj niż dzisiaj otrzymać. Hodowla bydła i owiec także niewiele tylko mogłaby być wzmocniona. Konieczném tedy następstwem wzrastającego zaludnienia jest coraz bardziéj zwiększający się niedostatek oraz nagląca potrzeba nowych źródeł zarobku. Wprawdzie, jak widzieliśmy, pomiędzy Podhalanami dużo jest rzemieślników, ale rzemiosła zmierzające do zaopatrywania w rozmaite wyroby braci Podhalan mało przynoszą zysków, bo od biednego niepodobna

dużo zarobić. Trudno powątpiewać, że stan ekonomiczny Podhalan mógłby się stanowczo poprawić tylko w razie wprowadzenia rzemiosł, któreby dostarczały wyrobów zdatnych do wywozu i spieniężenia w większych miastach, jak się to dzieje w górach Szwajcaryi i Niemiec. Dotychczas w Zakopanem istnieje tylko szkoła snycerstwa wielkie rokująca nadzieje; snycerstwo niewątpliwie dobrego dostarczy zarobku wielu góralom, ale naturalnie samo jedno nie da chleba 3o tysiącom mieszkańców Podhala. W Zakopanem niesłychanéj wagi jest dwumiesięczny pobyt gości, zwłaszcza, że przypada podczas najcięższego przednówka, bo żniwa rozpoczynają się dopiéro ku końcowi sierpnia. Dostarczanie mieszkań, furmanek, żywności i przewodników nie małe zapewnia zyski, które przedewszystkiém spływają na mieszkańców Zakopanego, oraz w części na mieszkańców Poronina, Kościelisk i niektórych innych wsi sąsiednich. Jest to bardzo ważne źródło dochodu, nie wyłączające jednak konieczności stałego zarobku z rzemiosł na eksport obliczonych.

(d. n.) *August Wrześniowski.*

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA
LITERACKIE.

Marya Konopnicka. Poezye. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1881. str. 307. — Czesław. Poezye. Zeszyt I. Warszawa. 1879. str. 94 i II. Zeszyt II. Kraków. Nakład Anczyca. 1881. str. 90.

Lucyan Siemieński nazwał raz dziesięciolecie poprzedzające rok 1831 wiosną poezyi naszéj, kiedy-to jak na wiosnę każdego roku, „rozlegało się powietrze koncertami śpiewaków leśnych, polnych, wodnych, śpiewających hymn na powitanie słońca i życia.“ Po téj wiośnie nastąpiło wspaniałe lato i wcale niebrzydka jesień, pozostawiając po sobie wzniosłe, piękne lub miłe wspomnienia. Że obecnie owa jesień poetycka już dawno minęła, to nie ulega wątpliwości najmniejszéj; można się jedynie zawahać w charakterystyce doby spółczesnéj, czy ją za trwającą ciągle jeszcze „gnuśną zimę“ czy za budzącą się „nową wiosnę“ poczytywać.

Nie można powiedzieć, żeby doba dzisiejsza była tą porą, w któréj tylko szare wróble ćwirkają lub mityczne „zimorodki“ (halcyony) zawodzą; i owszem imiona śpiewaków są liczne i różnorodne, tylko, że w metodzie ich śpiewu nie tyle znać słowików lub choćby skowronków, ile pięknemi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę. Wprawdzie kanarków nie brakowało w poezyi nigdy; chwila jednak obecna tém się charakteryzuje, że ma takich tylko pieśniarzy. Może to więc i „nowa wiosna,“ tylko że w niéj odmienne od pierwszéj głosy słyszymy.

Poeci dzisiejsi nie zarysowują indywidualności swojéj wydatnemi konturami. Zapewne, jako jednostki, różnią się oni od siebie, mają właściwości swoje odrębne; co więcéj, kiedy-niekiedy usiłują tę odrębność zaznaczyć; ale biorąc rzecz ogólnie, trudno nie zauważyć, że posiadają jednę cechę wspólną: są wirtuozami, którzy najróżno-

rodniejsze usposobienia i uczucia, najsprzeczniejsze myśli i poglądy, z jednakowym talentem wyśpiewać potrafią. Odziedziczywszy cudnie wyrobiony język poetycki, umieją zazwyczaj władać nim wybornie, a chcąc pokazać swoje pod tym względem mistrzostwo, nastrajają się na tony, w których odznaczyli się nasi lub obcy twórcy.

Jeden z tych wirtuozów, nie należący zresztą ani do pierwszo- ani do drugo-rzędnych, zupełnie szczerze się przyznaje do niemożności wynalezienia nowych tematów i do zależności od poetów prawdziwych i wielkich:

Już wyśpiewano
Wszystko na ton rozmaity:
Niebios błękity,
Majowy wieczór i ranek
Płochość kochanek,
Twarz bladą łzami zalaną,
Już wyśpiewano. (*Czesław*, II, 24).

Wirtuoz przyznaje się, że go ostrzegano, ażeby nie szedł drogą przez wielkich wieszczów utartą „żyjąc ich pieśni echem, skrą ich ducha,“ bo

. . . . dzisiaj poeta
Dobić się sławy nigdy nie potrafi,
Chwyci z Heinego coś a coś z Musseta,
Błyśnie i zgaśnie—we własnéj parafji. (*Czesław*, II, 5).

W téj przygodnéj wzmiance o wzorach dla dzisiejszych wirtuozów nie ma wspomnienia o Słowackim, zapewne z tego jedynie powodu, że nazwisko jego nie nadawało się do budowy pięknie utoczonéj zwrotki; ale to niewątpliwa, że ten właśnie wieszcz największą liczbę naśladowców w czasach naszych wywołał. Najczęściéj korzystano, czasami w sposób przynoszący ujmę własności literackiéj, z jego istotnie bogatéj i świetnéj frazeologii, często bardzo tworzono wiersze w jego duchu, niekiedy pisano większe nawet poemata, które dziwnie przypominały zarówno zakres myśli jak i barwę fantazyi autora Balladyny.

Ciekawą wielce jest rzeczą, jak się starano nastrój i dykcyą tego fantasty nagiąć do opowiadania o rzeczach codziennych, powszednich, a co najmniéj, bardzo blisko przy powierzchni ziemi krążących. Weźmy np. poemat niewątpliwie oryginalny *W Szwajcaryi* i poemacik, który pragnie być oryginalnym — *Romans wiosenny.* Z natury swego usposobienia Słowacki przemienił rzeczywistość w obraz fantazyjny, rozkoszny, w którym nieprawdopodobieństwa nawet razić nas nie mogą, gdyż całość jest mgłą poetyczną otoczona, a rzecz rozgrywa się nie tyle na twardéj ziemi, wśród stosunków

towarzyskich rzeczywistych, ale na niwie bogatéj, świetlanéj fantazyi niepospolitego poety, który nie rzeczywistość odtwarzać, ale ją dostrajać do wyżyn swego życia umysłowego zapragnął. Do tak pojętéj treści wybornie się nadają rozwiewne porównania, eteryczne określenia, kapryśne epitety.

Inaczéj z *Romansem wiosennym*. Tu kocha się dwoje ludzi zwyczajnych wśród otoczenia zwykłego. Nie ma tu ani gór purpurą zachodzącego słońca okrytych, ani szaletów, ani kaplicy Tella, ani przepysznych krajobrazów. *On* zobaczył *ją* w maleńkim dworku „zgubionym w zieleni drzew,“ o dachu nizkim, pokrytym „słomą poczerniałą.“ Ona nie była „piękną, salonową,“ zbroja zwyczajów i konwenansów światowych „nigdy nie strzegła jéj piersi śnieżystych;“ wiemy wszelako, że zamiast zbroi był na nich muślin. Bawili się ze sobą w „krzakach jeżyn, leszczyny i tarni,“ zaglądali do gniazdka pliszki przypatrywali się żabce zielonéj, za barometr służącéj, wreszcie rozmawiali i... całowali się. Rozstali się niewiadomo dlaczego; on za nią tęsknił a dusza jego „zraniona i chora“ często się zwracała do owych chwil pięknych i drogich, które niepowrotnie minęły... Dotąd wszystko jeżeli nie zupełnie dobrze, to w każdym razie nieźle; chwile takie szczęśliwe i przypomnienia takie tęskne wydarzają się prawie każdemu śmiertelnikowi; każdy też mógłby odczuć je a poezyą o nich opowiadającą ukochać jako wyraz prawdziwy wspomnień swych serdecznych. Ale poetki nie zadawalnia treść zaczerpnięta z życia; oczytana w Słowackim, rada była dodać zwykłemu wątkowi jakiéjś cudnéj poetyckiéj woni, coby wątek ten przejęła atmosferą od powszedniości odrębną. Cóż więc robi? Oto zamiast osobom swego opowiadania pozwolić żyć wśród ludzi, ona je wyosabnia, oddziela od świata. W poemacie Słowackiego takie wyosobnienie nas nie dziwi: tam wszystko się odbywa w warunkach nadzwyczajnych. W *Romansie wiosennym* zaś jedne sceny są w warunkach zwykłych, inne w poetycznie zmyślonych umieszczone; stąd dysharmonia treści i wykonania. Ale przypuśćmy, że się znalazła gdzieś para, nie mająca ani ojców ani matek ani wujów ani stryjów ani ciotek ani babek ani przyjaciół i przyjaciółek, idąca poprzez tłum samotnie; to przecież samo jéj zachowanie się, same jéj uczucia musiały mieć w sobie coś rzeczywistszego, coś realniejszego nad takie np. objawy na Słowackim wzorowane:

Jam ją zobaczył; a *piérwsza ptaszyna*
Lecąca w niebo podsłuchała *dziwem*,
Że serce moje stało się lękliwém,
Że czegoś w gaju śmiała się olszyna,
Że się fijołki rozwiły dziś łzawe,
Że słońce weszło odmiennie jaskrawe...

Że ona miała oczy tak przejrzyste,
Jak niezabudka, kiedy na nią padnie
Rosa...

Dziecięco-naiwne gniewy zapewne inaczéj się wyrażały, aniżeli w téj tragiczno-komicznéj scenie z makiem polnym, który „stanął“ obok śpiącéj:

. . . . . . Krew we mnie zawrzała!
Ten polny maczek zdał mi się zuchwalcem,
Współzalotnikiem, zdrajcą i *padalcem*...
Z goryczą w sercu począłem rozważać
Jéj dziwną płochość. Mogłaż się narażać
Na to sąsiedztwo? nie byłaż to zdrada?...
Uczułem zazdrość i gniew tak kipiący,
Żem zerwał szorstko, tuż nad głową śpiącéj
Ten mak obrzydły i.., zdeptałem nogą...

Zdaje się, że w całéj téj awanturze krew nie miała nic do czynienia; że tu pracowała tylko fantazyjka, przypominająca sobie rzeczy niegdyś czytane i reflektująca zabawnie, jakby z komentarzem estetycznym w ręku:

Ah! zrozumiałem, że zabijać mogą
Ludzie rywalów—jam *kwiat zamordował*...

A kiedy kochankowie mówią sobie „kocham,“ to jak u Słowackiego nie wiadomo było kto winien, czy on czy lilia, tak i tu ta sama fantastyczna panuje niepewność:

I dotąd nie wiem, czy róża, co dyszy
Lubém wzruszeniem, to słowo wyrzekła?
Czy ta konwalia, co się do snu kładła,
Czy ta wiewiórka, co w gąszczu przepadła,
Czy jasność dniowa, która nam uciekła?
Czy ja sam może?... Kto zgadnie?... Kto powie?...

Powody rozstania się uosobione w plotkach rozniesionych przez „motyla“ pośród „żółte tulipany“ i „brzydkie makówki“ mogą być zrozumiałe jedynie w poemacie fantastycznym, w którym się wszystkiego tylko domyślamy; ale w wątku z rzeczywistości wziętym wyglądają tak jak wieżyczki gotyckie na dachu krytym „poczerniałą słomą.“ Tak się kochają i tak się rozstają tylko mary wyobraźni przepojonéj wspomnieniami świata, stworzonego przez autora *W Szwajcaryi*.

To oplątanie wątku rzeczywistego w sieć frazeologii romantycznéj daje się uczuć dotkliwiéj jeszcze tam, gdzie realizm szczegółów wziętych z życia powinienby był skłonić poetkę do realistycznego traktowania całości. Jeżeli np. poetka przedstawia biedną

matkę, która sama nie ma czém dziecka nakarmić i utulić, to jakież wrażenie mogą wywrzéć na czytelniku takie puste frazesy:

Czy pójdzie prosić jasnego miesiąca
O srebrny rąbek,
By *ciepléj miała* dziecinka jéj drżąca,
Biały gołąbek?
Czy pójdzie prosić gwiazd, żeby go strzegły,
Bo matki nie ma?
Czy zaklnie cienie, by za nią nie biegły (?)
Jak *anatema?*

A trzeba zawsze pamiętać, że te romantyczne powiewy łączą się tu i plączą ustawicznie z atmosferą życia wraz z jego bólami i klęskami. Wyrobnik fabryczny, nieoświecony, nie może w głowie swéj roić filozofii natury będącéj zdobyczą naszego wieku; on ma swoję filozofię, to prawda; opartą jest ona na religii i doświadczeniu, ale trudno od niego żądać, by „czuł się cząstką i ruchu i siły, lecz nieświadomą i bierną jak dziecię,“ bo to przechodzi zakres zwykłych jego wyobrażeń. Sędzia mający wydać wyrok może wprawdzie jak filozof zastanawiać się nad przyczynami niemoralności nieletnich przestępców, ale nie zwykł przekraczać przepisów i pieścić tego, którego miał osądzić, i obiecywać mu, że posyłać go będzie do szkoły. Takiemi drobiazgami prozaicznemi gardzili romantycy, ale nie powinniby gardzić poeci dzisiejsi, pragnący otrzymać posłuchanie u społeczeństwa.

W całym zbiorku Poezyj p. Konopnickiéj jest jeden tylko wiersz, w którym forma romantyczna nie zepsuła pięknéj i zacnéj myśli. Jest-to wiersz p. n. *Jaskółka*. Budowa jego naśladowana widocznie z Lenartowicza:

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż ty bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...

Przylatuje jaskółka i rozgląda się po wiosce, do któréj corocznie przybywa. Wszędzie widzi to samo: na drogach kałuże i wyboje, dachy chat garbate zapadają się; ściany się krzywią; na twarzach ludzi znękanie, dzieci wzrastają jak płonne kłosy na dzikim ugorze. Ona leciała z dobrą nadzieją, że zastanie nad wioską i słońce i błękit, a tymczasem spotyka się z zimą bez końca; więc woła smutna:

Och, gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,

Myśl zstrzęsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią
I lud-by się zbudził narodem.

W dworku szlacheckim pani domu spostrzegła jaskółkę i posłyszała jéj skargi, że pod strzechą wieśniaczą bieda, a w główkach dziecięcych ciemno. Przemówiła do męża ciepło, serdecznie za oświatą ludu, za szkółką. Z odpowiedzi dowiedziała się, że nauka dla chłopa to co najmniéj rzecz rezykowna i że najlepiéj o tém nie myśléć i czytać gazety. Pani na tém nie poprzestaje i pobudzona głosem jaskółki jeszcze gorecéj do męża przemawia; napróżno!

Co?... może ja *pierwszy* mam zbijać wiatraki
Z poczciwym Kiszotem w zawody
I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki
Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,
Nauczać z niéj ludek, jak klecha?..
Ztąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, iż trudy się takie opłacą,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?
Daj pokój!... czytajmy gazety!..

Jaskółka odlatuje od dworku z tęskną prośbą do Boga o więcéj światła i więcéj ciepła, bo „zakrzepła ziemia rozbudzić się ze snu nie może.“ Wolno nazwać dość szczęśliwą poetycznie tę szatę, która morałowi odejmuje zbyt surowy, dydaktyczny wygląd; a szczęśliwą jest chyba dlatego, że wzięto ją ze skarbca myśli ludowéj, téj najgłębszéj warstwy w historyi kształcenia się narodu.

A jak w zakresie obrazowania poetycznego, tak samo w sferze myślenia, romantyka dawna przebija się wyraźnie poprzez wyniki dzisiejszego sposobu pojmowania rzeczy. Surowe warunki rzeczywistości, zdobycze ciągle rozwijającéj się nauki, trzeźwe usposobienie panujące wśród inteligentnego ogółu podziałały na poetów doby spółczesnéj, zmusiły ich do myślenia, do zastanawiania się poważnego nad własnemi uczuciami i zdaniami, nad zagadnieniami chwili, nad potrzebami społeczeństwa. Ten zwrót w siebie a równocześnie skrzętne rozglądanie się wokoło wytworzyły w poezyi naszéj wybitny nastrój refleksyjny, który powagą i surowością swoją zaciążył nad istotami „lekkiemi i świętemi“ i wtrącił je w stan niezwalczonych zwątpień a przynajmniéj mroku myśli i dążeń, który wywołuje równie mroczne, niejasne, ze sobą częstokroć sprzeczne natchnienia, będące odbiciem chwilowych wrażeń lub chwilowych usposobień.

Niepokojona smutkiem, targana boleścią poetka szuka ciszy „w świątyni tajnéj przyrodzenia,“ w któréj od świata dzieli ją milczenie. Nie jest szczęśliwą, nie może i nie chce patrzyć w słońce, więc spuszcza oczy na dół a łzy pokrywają źrenicę. Już ją strudził przybrany uśmiech, niezgodny z ciemnią w jéj duszy; pragnie *być sobą* (*Echa majowe*, str. 150). Tak bywa w pewnéj chwili; w innéj—inne, wprost przeciwne życzenie duszą poetki zawładnie; wtedy błagać będzie:

Niech ja zapomnę, że nade mną ciążą
Minione wieki posępną żałobą...
Niech mnie ustawy, niech prawa nie wiążą!
O! niech zapomnę, że *muszę być sobą!...*

To, co w pierwszym razie było ucieczką przed światem i jego sprawami, staje się teraz męczarnią nie-do-zniesienia; więc poetka nie chce nic widzieć, bo każda rzecz przypominałaby własną jéj istotę:

Zasłoń mi oczy, ty chmurko rozwiana,
Któréj cień nikły jasność dzienną mroczy. .
Z oddechu kwiatów, z łez zdroju utkana,
Chmurko srebrzysta, ach, zasłoń mi oczy! (*Ostatnie piosnki*, 304).

Jeżeli rozmyśla nad znaczeniem kobiéty w ludzkości, to nauczona doświadczeniem, umie podać wiele trafnych określeń, mianowicie przeczących, czém miłość być nie powinna, lecz nie może zapomnieć o przesadzie romantycznéj i twierdzi, że miłość kobiéty „nie tylko szczęściem jest, lecz *złotą wagą*, co byt wszechświata utrzymuje w ruchu,“ że kobiéta nie powinna przykuwać „do trosk nędznych, ciasnych“ mężczyzny, co „przywykł na myśli podmuchu wzlatać jak orzeł po najwyższych szczytach i gniazdo zwijać w błękitach.“ Zapomina poetka, że dawne to-już czasy, kiedy gniazdo w „błękitach“ zwijano i że teraz idzie nie tyle o wysokie „podmuchy“ myśli, ile o rozumne zużytkowanie tego, co się ma na ziemi.

Jeżeli poetka chce dawać rady, to znajduje w zapasie wiele myśli trafnych, uczuć jędrnych, energicznych. Umie ona wypowiadać słowa prawdy tym poetom, co się skarżą na wiek „ważący i mierzący ideały,“ na bezechowość pieśni, na wyścig do złotéj mety i słusznie poniekąd twierdzi, że jeżeli poeci znajdą ton, co jest tętnem stuleci, to znajdą się miliony serc pieśnią wzruszonych (*Fragment*, str. 147). Podobnież potrafi słowami pełnemi energii zachęcać do wytrwania, wie bowiem, że „póki w ciemnocie choć jeden duch kona, niewolno spocząć żadnemu z szermierzy w ciszy własnego istnienia.“ Woła więc:

Bądź silnym! życie swą wagą przygniata
Tych, co bez steru świadoméj zasady
Wśród zdarzeń, zjawisk i sprzeczności świata,
Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,
Jako lunatyk ów blady. .

Pojmuje znaczenie i doniosłość energii:

Ten kto nieść będzie pochodnię nadziei,
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach,
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą
Na wieku swoim,—ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piętna czekała;
Ten tylko imię „człowieka“ wysłuży
W nieśmiertelności błękitach.

Ale te przekonania, wzniosłym poglądem nacechowane, są tylko jakby szatą odświętną przybraną dla niezwykłych gości; w domu, u siebie, przy ognisku domowém ducha, doznaje ona trwóg i niepokojów nieokreślonych i może tém bardziéj dręczących, które scharakteryzowała, mimowiednie zapewne w czterowierszu:

Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata
Myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata
I wskroś przeniknąć pragnie nurty mętne
I w ciszę rzuca pytania namiętne...

Forma pytań, w które ujęte są dość liczne wiersze, jest właściwością pani Konopnickiéj bijącą odrazu w oczy, którą sama poetka starała się usprawiedliwić w utworze p. n. „Nie dziw się.“ Odpowiedzi nikt mi nie dał jeszcze—powiada—idę więc i w próżni chwytam jakieś przebłyski dalekiego świtu: lecz to są tylko nagłe błyskawice ze starcia myśli wynikające; słyszę tylko łkania, skargi i bluźnierstwa na bezlitośne tajnie życia. Idę w pomroce zwątpień, któremi trują się dziś duchy. Cóż dziś pozostało niezachwianém, wiecznie pewném, niezłomnie prawdziwém? Bladzi badacze, co się w nędzy własnego istnienia grzebią, jak w ziemi napół ślepe krety, odarci z uciech, a nieraz i z cześci, samotni, mają w piersiach krwawą ranę i wiedzą, ile poczucia nędzy i niemocy jest w tém jedném słowie: *dlaczego*? Często więc bardzo w téj formie pytania roztacza poetka przed czytelnikami swe wątpliwości i niepokoje i wtedy téż zazwyczaj pozostaje w zgodzie z chłodną rozwagą; ale często także niecierpliwie chce pochód myśli przyśpieszyć i rozwiązać czy rozciąć dręczące ją zagadki, a wówczas usiłuje pójść tam, „gdzie tchnienia czas nabiera w biegu, gdzie przestrzeń linie swe rozmierza, gdzie nicość

uderza w życie jak piorun,“ wówczas pragnie „wieczne ogniwa bytu liczyć, aż prawda zrzuci zasłony obłoczne.“ Metafizyka-to co prawda nieszkodliwa, chyba dla bardzo słabych główek; podobnie téż z uśmiechem można się przysłuchiwać buddaistycznym marzeniom:

Zabierz mnie srebrna, ach, zabierz mię w siebie
Ty, wstęgo mleczna!
Roznieś mnie, wietrze, po ziemi i niebie,
Gdzie cisza wieczna!
Albo mnie z czoła zrzuć, cichy błękicie
Jak iskrę marną...
Albo mnie, ptaszki, pochwyćcie o świcie
Nad ziemią czarną!
I niech w przestrzeni zagasnę nareszcie
Jak błysk, co znika;
A wy mnie, szumy, po drzewach roznieście
Gdzie puszcza dzika!

Tak-to poetka, która innym zalecała odciśnięcie pieczęci własnéj na duchu wieku, sama kończy życzeniem rozpłynięcia się we wszechświecie.

Nie może być ona przodowniczką żadnéj myśli, bo jeszcze ze sobą do zgody nie doszła; może być tylko amplifikatorką pomysłów, jakie wyobraźnię jéj w chwili bieżącéj uderzają, może być echem niewyraźném tego, co się mówi i pisze wśród społeczeństwa.

Nie bez rozmysłu użyłem wyrazu „amplifikatorka“; zdaniem bowiem mojém talent pani Konopnickiéj jest przedewszystkiém retoryczny, nie zaś czysto-poetyczny. Autorka pragnie przekonać o jakiéjś rzeczy, siebie czy kogoś, i dlatego pisze wiersze; rozumowanie zajmuje w nich więcéj miejsca aniżeli obrazowanie. Zdolności plastycznéj, pani K. nie posiada prawie wcale; dowodem tego dwa opowiadania: *Klaudya* i *Tarcza Scypiona*, tudzież cała serya wierszy zatytułowanych: „W górach.“ Treść Klaudyi poczerpnięta widocznie nie z Liwiusza, lecz z jakiegoś mętniejszego źródła, albo téż dowolnie a niezbyt zręcznie przez autorkę przetworzona, nadawała się do pięknego obrazka historycznego. Autorka nie starała się jednak bynajmniéj o koloryt miejsca i charakterystykę czasu, a nawet zaniedbała opis postaci, który składa się albo z oderwanych ogólników, albo z takich określeń jak: „Valerius Falton *o wspaniałéj brodzie.*“ Liczne postaci przesuwają się poprzed oczyma naszemi jak cienie, niczém się w pamięci nie zaznaczając, a bohaterka sama Klaudya, nie osobą swoją ale zdarzeniem, w które jest wplątana, zarysowuje się w naszym umyśle. Rzymianie noszą nazwiska Hannonów, augurowie wzywają Hermesa... Wartość opisów poznać można z następne-

go kawałka: Augur dojrzał na morzu Klaudyą w łódce i poszepnął jéj imię...

Była chwila
Ciszy wśród tłumu po tym szepcie, echa
Tylko nadbrzeżne, miękkie i pieszczotne,
Szepnęły: Klaudya!... i umilkły drżące,
Jakby to imię miało samo z siebie
Jakieś oddźwięki namiętne, palące,
Od których więdną kwiaty i wilgotne
Rosy zajmuje płomień, a *na niebie*
Gwiazdy bledniejq i *lecą strącone...*

Mało co lepszą od Klaudyi pod względem plastyki jest *Tarcza Scypiona*, w któréj wspomnienie walki Rzymian z Kartagińczykami łączy się z przygodą rybaka, co w 18 wieków po niéj tarczę wodza rzymskiego z Rodanu wyciągnął... Jak nieszczęśliwe są tu niekiedy porównania można osądzić z kilku wierszy:

Wiosenne wody przybrały z gór stoków...
I nowe wiry zerwały się z szumem,
Kręcąc się niby *zaklęte wrzeciona,*
Co przędą tęcze i promienie słońca(!.)

Obrazki natury górskiéj, pod wpływem podobnych utworów Asnyka kreślone, nie mają wcale życia; są studyami pracowicie odrobionemi, w których autorka wysilała się na odmalowanie piękności przyrody, nie odczuwając jéj głęboko. Jakież wrażenie może wywołać taki np. obrazek:

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął – i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego majestatu. Smereki zielone
Zaplotły jéj koronę szmaragdów na skroni
A kształty jéj *przepysznie* rzeźbionego ciała,
Niby grecka draperya mgła lekka owiała...

Brak zdolności plastycznéj nie przeszkadza jednakże barwności, świeżości i wykwintowi dykcyi, ktorą można sobie wyrobić. Dykcyą téż głównie celuje talent p. Konopnickiéj. Przy pomocy amplifikacyi to jest określania téj saméj rzeczy w sposób najrozmaitszy, potrafi poetka wiele pięknych myśli wypowiedzieć, co jéj zjednały rozgłos szeroki. Taki retoryczny charakter mają najpiękniejsze jéj wiersze: *Z dziejów pieśni*, *Fragment* (str. 147, 8), *Tęsknota*, *Z dni smutku*, *Co to jest życie*, *Bądź silnym*, *Ty mi się nie dziw*, *Fragment* (str. 269—272), *Nie skarż się*, *Do kobiety*. Główną ich zaletą jest jakaś myśl piękna; główną wadą, rozwodnienie téj myśli; w przeważnéj

części gdyby były krótsze, zyskałyby na tém wielce. Autorka daje się porywać obfitéj swadzie, nie układa swych rozumowań w jakieś artystycznie obrobione szeregi, ale spisuje swe myśli, jak się same nasuwają, a ponieważ, jak wiadomo, myśli nasze swobodnie puszczone ulegają prawom kojarzenia się, więc częstokroć toż samo pojęcie w różnorodnych obsłonkach w kilku miejscach utworu powraca. Tak np. w wierszu p. n. *Credo*, w którym poetka od początku do końca powiada, w co wierzy, wiara w braterstwo ludów zjawia się czterokrotnie:

1. Wierzę w braterstwo ludów...
2. Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały
3. Wierzę, że z drobnych iskier, skrzesanych przez dzieje,
   Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje.
4. Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte.

Gdybyśmy w ten sposób *Credo* autorki poddali ścisłéj krytyce, okazałoby się, że zamiast długiéj, 38-wierszowéj litanii artykułów wiary, możnaby, z wielkim dla jasności pożytkiem, co najmniéj 20 wyrzucić.

Skłonność do retoryczności posuwa się u autorki tak daleko, że całe stronice zapełnia jednym okresem przeciwstawnym (jak np. trzy stronice wiersza p. n. *Głód*); napisać tak da się, ale jak-to wygłosić? Potrzeba mieć chyba płuca olbrzyma.

W dykcyi pięknéj i poprawnéj zauważyłem z przykrością powtarzanie tych samych porównań, a szczególniéj wyrażeń. Uderzającą jest mianowicie predylekcya, odziedziczona po Słowackim, do wyrazów *biały* i *blady*. Nie starając się wcale o wyczerpującą statystykę zanotowałem następne tych wyrazów połączenia. Najprzód, powój biały, brzoza biała, róża biała, kobiéta na piersiach kochanka jak róża biała, obłok biały, bóg biały; następnie: płomień życia biały, dobro o czole białém od promieni, kobiéta promienna i biała, płaczki białe, próg białéj świątyni, tron biały ideałów, idea biała, białe ideały nieskończoności, skrzydła białe piosenki, duch poezyi biały... Obok téj białości niemniéj ponętna bladość: trubadur blady, życiowa burza blada, światłość blada, promyczek blady, zgroza blada, tęsknota blada. Obok tych epitetów można umieścić: nocy cień perłowy...

Może ktoś poczytywać ten wykaz za objaw stylistycznego pedantyzmu; zapewne, gdydy nas zachwycała treść, pochłaniając całą uwagę, nie mielibyśmy nawet czasu na spostrzeganie usterek formy, ale gdy forma w znacznéj części musi wynagradzać niedobory treści, mimowoli stajemy się surowi i nie możemy ukryć ani przed sobą ani przed innemi tego, co nas przy czytaniu razi, zwłaszcza gdy zważy-

my, że owe zbyt często powtarzające się epitety wywołane są zwykle potrzebą końcówki.

Jeżelibyśmy panią Konopnicką nazwali wirtuozką myśli, to Czesławowi przyznaćbyśmy mogli wirtuozostwo uczucia. Rozumie się, że określenie to jest zupełnie względne; powstało bowiem ze zbliżenia dwu tylko osobistości, gdy tymczasem są inne, którymby ono słuszniéj się należało, że tylko jednego Asnyka przypomnę. Talent Czesława, jak dotąd, ma miarę dosyć skromną, obraca się w kółku pomysłów niezbyt obszerném i pomysły te wypowiada w formie, która niezawsze za poprawną uchodzić może. Zdaje się, że pieśni swoje wysnuwa nie tyle z doświadczenia życiowego, ile z rozczytania się w utworach Goethego, Heinego, Słowackiego, Syrokomli. Znalazł on—jak sam wyznaje—kilka świetnych szmat z królewskiéj mistrzów swoich odzieży, a strzępki tych szmat—dodać muszę od siebie—dość często na płaszczu jego poetyckim znać wyraźnie. Raz powiada, „że mu obce miłosne katusze i zawiedzionych serc nieznana żałość“ (I, 33) „że nigdy łez nie chował w łzawnice“ (I, 57) a jednak często te żałości i te katusze za przedmiot pieśni swoich obiera; wszakżeż sam pisze, na wzór Syrokomli, w zakończeniu pierwszego zbiorku swych poezyj:

Cóż tak struna pieśniarza wciąż bez zmiany powtarza
Tęskne, smutne swe pieśni?
O, bo żywot tułaczy i na świecie inaczéj
Jak marzyło się we śnie.
W waszéj uczcie ochoczéj wesołości nie zmroczy
Łza na oku dziwaka:
Zmilkł dźwięk w strunie zerwanéj.—Przyszedł, poszedł nieznany
Ot, i życie śpiewaka.

Smutek przebija się poprzez uśmiech, który od dobrodusznego przechodzi niekiedy aż w cyniczny. Poeta, torem Asnyka, skarży się na czas, w którym przyszedł na świat, bo czuje jad w zdrowéj ojców krwi i widzi pieśń swoję owianą zatrutym czasu tchem (II 88). Na stuleciu swojém spostrzega płaszcz arlekina „bez nazwy, szyty lnem i złotem, tkany z różnobarwnych strzępków przędzy.“ Przepowiada mu tedy przyszłość wcale nie-do-pozazdroszczenia: oto szata jego w szmaty się rozpadnie, a on sam legnie na strzępków posłanie; wiek zaś następny uczci go łzą litości, ryjąc na grobowcu napis: „jeden z tych, co wielkość swą przeżyli.“ Że taki będzie los wielu jednostek, co nie tylko rzeczywistą ale i marzoną wielkość swoję przeżyją, o tém nie możemy powątpiewać, widząc co się dzieje codziennie, ale z wieszczeniem o przyszłości całego stulecia mo-

żnaby poczekać, choćby ze względu na to, że nawet w meteorologii przepowiednie jeszcze zawodzą. Zdaje się też, że autor nie będzie się upierał co do prawdziwości swego prognostyku, bo sam gdzie indziéj wyraził połowiczną swą przynajmniéj zgodę na hasła tego wieku. Ta połowiczność jest może najbardziéj znamienną cechą jego sposobu myślenia. W wierszu *Z dziejów wieku* opowiada autor, jak po dniach skarg, jęków, płaczów i rozpaczy nadeszła chwila, w któréj zażądano od pieśni, ażeby porzuciwszy strefy gwiaździste i obłoczne zanuciła nad zagonem ziemskim jak skowronek nad rolnikiem. Poeta wzywa ze swéj strony pieśń, ażeby zadała kłam swym grabarzom i podniosła głos nieśmiertelny, co z niebieskich płynie bram; próba się nie udaje; słuchaczów głos ten nie porusza. Poeta widzi przed sobą ciżbę wielką, wyznaczającą tory nowych dróg pracą powolną, trudem ciężkim, mozolnym; ciżba ta za hasło swe ma „światło i swobodę.“ Autor przyjrzawszy się jéj i wysłuchawszy jéj słów, powiada, że chociaż nie idzie z nią razem, nie chce przecież być jéj wrogiem. Straszy go tylko niepewność, czy będzie można zebrać plon z nowéj siejby, „gdy wśród rumowisk zamrze kłos,“ gdy nie słychać czystych dźwięków strun, tylko huk młotów, tłumów wrzask. I sam lęka się o siebie, czy będzie w jego mocy powrócić przed dawne ołtarze, jeżeli nowa droga mylną się okaże. Z téj tedy obawy zostaje przy pieśni, każąc jéj jednak oddać cześć trudom nowych ludzi.

Na tém wyczekującém stanowisku, którego obranie świadczy, iż w duszy poety nie ma głębokich namiętności, ale jest rozwaga poddana przyzwyczajeniom, najbezpieczniéj wodzić spokojnie okiem po wszystkiém, co nas otacza i uśmiechać się ironicznie, zapożyczając formy od Hejnego. Usposobienie do szyderczego uśmiechu nie sięgającego zresztą w rdzeń stosunków, ale błądzącego po ich powierzchni, wydało najlepsze utwory w zbiorach Czesława. *Niedoszły paemat*, kilka *Impromptu* (które autor z francuska w liczbie mnogiéj *Impromptus* nazywa), *Noc lipcowa*, *Co powie*, *Rozmowa*, *Dziwna rzecz*, parę *Arabesków:* oto wiersze, przejęte łagodną goryczą, zwątpieniem w miarę, szyderstwem niezbyt dotkliwém, które znalazły odpowiedni sobie wyraz słowny. Nie mogąc tu wiele miejsca przytoczeniom i rozbiorowi szczegółowemu poświęcać, dam poznać najkrótszy jedynie wierszyk, który z najlepszéj strony przedstawi Czesława: utrata szczęścia, nie pozbawiająca jednak życia, przecudnie, bo z wielką prostotą odmalowana:

Rośnie kwiat polny nocą w lesie
Ukryty w cień i w ciszę,

Perełkę rosy, skarb jedyny,
Na listkach swych kołysze...

O świcie jasny słońca promień
Wpadł w leśny cień i ciszę,
Perełkę rosy zabrał z sobą,
A kwiat się wciąż kołysze...

Zdaje się, że w tego rodzaju utworach poeta jest najbardziéj sam sobą; przeciwnie tam, gdzie się namiętnych, płomiennych uczuć dotyka, czujemy w wyrażeniu przesadę, nienaturalność, albo zbyt widoczne naśladownictwo. W *Odpowiedzi*, przypominającéj różne ogniste liryki Słowackiego, znać tylko szamotanie się z oporną myślą i słowem, ale czytelnik nie odczuwa siły uczucia, coby usprawiedliwiło takie np. wyrażenia:

Mnie trzeba
Światła i barwy z *wszystkich krańców nieba*,
Zórz blasków złotych, krwawych łun zachodu...
I dziś choć cierniem dola skroń mi wieńczy,
Choć zmroku kiry zwisły mi nad głową,
To żyć potrafię z koroną takową,
I cień nie straszy mnie, co snów nie ściera (?!)

Powiada tu autor, że „blade barwy, pół-blaski" są mu wstrętne; a jednak im to właśnie zawdzięcza to, co napisał najlepszego. A gdy chce nam przedstawić np. bezgraniczne zwątpienie, wtedy siląc się na malowidło krańcowości, napotyka na swéj drodze niedorzeczność. Jest jeden wiersz p. n. *Trzeci*..., w którym autor powiada, że na całym świecie nie znalazł dla siebie brata i tylko wśród natury kiedy-niekiedy znajdował jakąś serdeczność czy przyjaźń. Jednym z takich przyjaciół był dąb, pod którego konarami przesiedział długie godziny słuchając gawęd szemrzących liści „nie bez zajęcia, nie bez korzyści"(!); dąb ten został strzaskany przez piorun. Potém kupił sobie pudla, za trzy reńskie, do którego tak się przywiązał, że gdy teraz wspomni o téj przyjaźni, „żal szczery serce boleśnie draźni." Włóczył się z nim po świecie, aż mu go w Madrycie (?) skradli. Teraz jeśli serce zbudzi się czasem z letargu i zatęskni do ludzi szukając dłoni i duszy bratniéj; wtedy zjawia się ostatni, trzeci z kolei przyjaciel—cień własny poety. Co prawda, na wyszukanie tego ostatniego towarzysza nie potrzebował się autor trudzić, nie potrzebował zań płacić nawet trzech reńskich; a może on-to właśnie był przyczyną, że autor nigdzie serca bratniego znaleść nie mógł, bo kto cień tylko własny za przyjaciela poczytuje, ten chyba zanadto w sobie zakochany, ażeby mógł promieniować uczuciem...

Jest jeszcze kilka poezyjek odznaczających się wesołością bachiczną, pisanych w tonie Anakreonta lub téż skoliów Antologii greckiéj. Są one dosyć udatne, opiewają rozkosze wina ze swobodą trochę wymuszoną co prawda, ale w téj brawurze naturalną. Próby natomiast ironicznéj opowieści (*Z życia*) bardzo wiele pozostawiają do życzenia; silenie się na dowcip jest rzeczą samą w sobie niemiłą i niesmaczną, a gdy się jeszcze połączy ze spowszedniałą treścią, wydaje utwór mdły i sztuczny.

Porównywając zeszyt I Poezyj Czesława z II-im, można dojrzéć pewien postęp pod względem dykcyi i budowy wierszy. Dawniéj napotykało się zbyt często zaniedbane rymowanie (I, str. 34 *dzielił*, nie *dzielił*, *rozdzielił*), brak rytmu (I, 42: *Że* serce wierne ci kochać przestało), niepoprawne wyrażenia (I, 72; pielgrzymkę *ziemną*, I, 75 duch wznosi się *niewidnie*, I, 80: życie *bezzmienne* I, 89: czoło skrwawione lecz dumne *nie zniżę*), a nawet potworne błędy gramatyczne (I, 50; wielu po troskach *doszedło* do celu). W drugim zeszycie tak rażących usterek nie znajdujemy, chociaż i tu rytmika nie wszędzie może na nazwę dźwięcznéj zasłużyć.

Przyjrzawszy się dwojgu śpiewaków doby spółczesnéj, dochodzimy do tego spostrzeżenia, że talent p. Konopnickiéj ma charakter dydaktyczny, który przejmując się chwilowo hasłami dążeń nowoczesnych nie umie jeszcze tych haseł w sposób naprawdę poetyczny wypowiedzieć, nie umie idei przemienić w ideał; talent zaś Czesława jest nawskroś liryczny, zawikłany dotychczas w naśladownictwo wielkich i pięknych wzorów i rzadko kiedy odsłaniający fizyonomią sobie właściwą; zajęty przeważnie opiewaniem smutków błahych, jednodniowych i pod tym względem przypominający zdala pierwszą fazę w rozwoju duchowym Asnyka. Dawne i nowe prądy, romantyzm i realizm istnieją w ich utworach obok siebie; echa chwil minionych mieszają się zbyt często z dźwiękami pieśni chwili obecnéj.

P. Chmielowski.

Rocznik zbiorowy prac naukowych na rok 1880. Warszawa. Druk. A. Studenckiego i Spkl. 1880, str. 257.

Jak w roku zeszłym, tak i w obecnym studenci uniwersytetu warszawskiego ogłosili zbiór prac swoich, już-to wywołanych konkursami, już téż samoistnie podjętych. Wytrwałość w przedsięwzięciu, pomyślaném poważnie, zasługuje na uznanie; my ze swéj strony uznanie to wyrażamy szczegółową oceną pomieszczonych w *Roczniku* artykułów.

Rolnictwo i handel za czasów Księstwa Warszawskiego 1807—1815, napisał Henryk Konitz, student 4-go kursu wydziału prawnego.

Autor podawszy cyfry rozległości i ludności kraju, zastanawia się nad położeniem włościan, w którém się znaleźli skutkiem zaszłych pod nowym rządem reform, nad ciężkim brzemieniem podatków, i na tém kończy rzecz o rolnictwie. Przechodząc do handlu, wspomina o jarmarkach, o podatku patentowym, sędziach i radach handlowych, przytacza przepisy wydane dla wekslarstwa w Warszawie, mówi o taksach na produkta żywności, o zniesieniu komór celnych na granicy między dawniejszemi i przyłączonemi od Austryj prowincyami, o zastosowaniu systemu kontynentalnego do księstwa, o cłach i krytyce onych przez posła Godlewskiego; roztrząsa bilans handlowy z zagranicą, streszcza przepisy urządzające handel solą. Daléj autor kreśli stan komunikacyj wodnych i lądowych, przedstawia urządzenia pocztowe, menniczne oraz dotyczące cyrkulacyi papierowéj i monet zagranicznych. Na zakończenie podane są tablice ówczesnych cen zboża i mięsa.

Przytoczone tu szczegóły, czerpane przeważnie z Dziennika Praw Ks. Warsz. i gazet spółczesnych, jakkolwiek są w związku z rolnictwem i handlem, nie zupełnie jednak usprawiedliwiają tytuł nadany téj rozprawie: słuszniéj by podobno nazwać ją można *Przeglądem* lub *rozbiorem działalności rządowéj co do stanu włościańskiego i w rzeczach dotyczących handlu*, o rolnictwie bowiem w ścisłém znaczeniu nie ma tu wcale mowy, a przytoczone zdanie Godlewskiego o upadku dochodów z gospodarstwa rolnego jest prostym ogólnikiem, tchnącym przesadą. Pominąwszy jednak kwestyą tytułu, przyznajemy, że p. Konitz starał się skupić jak największą ilość informacyj o stanie ekonomicznym kraju i próbował działalność rządową na tém polu wyjaśnić krytycznie, w czém nie zawsze zgodzić się z nim można. Szczegółowe roztrząsanie rozprawy zajęłoby zbyt wiele miejsca, poprzestaniemy zatém na wytknięciu kilku usterek.

W wykazie terytoryów administracyjnych zaboru pruskiego, z których powstało Księstwo Warszawskie, należało nadmienić, że nie cała regencya Białostocka weszła w skład nowego państwa, gdyż znaczna jéj część przez traktat tylżycki dostała się pod panowanie rosyjskie. Twierdzenie, że prócz ustąpionych księstwu prowincyj „Prusy zajęły jeszcze część województwa Krakowskiego i księstwo Siewierskie, które nosiły miano Prus Zachodnich; te jednak kraje do nowoutworzonego państwa przyłączone nie zostały"—jest błędne, albowiem część Krakowskiego z Siewierskiém, przezwane przez rząd pruski Nowym Szląskiem, zostały przyłączone do Księstwa Warsz. i stanowiły powiaty Pilecki i Lelowski w departamencie Kaliskim,

a od r. 1810 w departamencie Krakowskim; nadto, stanowiąca część Prus Zachodnich ziemia Chełmińska wraz z okolicą Grudziądza dostała się także księstwu Warsz. Autor poszedł tu za Skarbkiem, który się bałamutnie i niejasno w tém przedmiocie wyraża: zajrzenie do Dziennika Praw Ks. W. (I. 2327; II. 144) byłoby go od błędu ustrzegło.

Rozległość księstwa mylnie autor oblicza podług dawnych podziałów terytoryalnych, które z nowémi nie były identyczne; łatwiéj wynaleść było cyfrę zbliżoną do rzeczywistéj, dodając rozległości teraźniejszego królestwa, księstwa poznańskiego, ziemi chełmińskiéj i okręgu miasta Krakowa, a suma wypadłaby znacznie większą od téj którą podaje, stosownie zaś do niéj zmieniłyby się i cyfry zaludnienia na jedną milę kwadratową.

Zaprowadzenie aktów stanu cywilnego wynikło z kodeksu Napoleona, a kodeks z art. 69 konstytucyi, nie można więc tego przytaczać na dowód „że określenie ludności leżało bardzo na sercu rządowi księstwa,“ zwłaszcza gdy z zaprowadzonych aktów obliczyć ludność dokładnie było rzeczą niemożliwą.

Dekret z r. 1807, określający stosunek włościan do dziedziców, streścił autor tak niezrozumiale, że czytelnik nie dowie się od jakiego to obowiązku prawo zwalniało włościanina, lubo w art. 5 przepis jest zupełnie wyraźny. Podobnąż niejasność spotykamy przy rozbiorze dekretu r. 1811 zakazującego wywozu szmat, obrzynków skórzanych i t. d. zagranicę: rozprawa zapewnia, że karą trzechmiesięcznego więzienia zagrożono „za samę tylko sprzedaż wymienionych towarów“ równało by się to bowiem zupełnemu zakazowi handlu temi przedmiotami, kiedy wzbroniona była tylko sprzedaż zagranicę.

Zakazy wywozu z kraju artykułów żywności i furażu r. 1812 wypadało objaśnić gotującą się kampanią i spodziewaném skupieniem wielkiéj ilości wojsk.

Ustęp o handlu solą wyłożony niedokładnie. Nie ma o tém wzmianki, że księstwo miało współwłasność kopalni Wielickich, lubo ta okoliczność stanowiła punkt wyjścia dla późniejszych przepisów. Nie łatwo téż zrozumieć, gdy małą ilość soli w Łomżyńskiém autor „objaśnia defraudacyami.“

Bilans handlowy kraju przedstawiał niezmierną przewyżkę przywozu nad wywozem; z rozbioru onego autor przychodzi do wniosku „że prohibicya panująca w całej Europie była główną przyczyną niekorzystnego stanu handlu w księstwie.“ Powszechność przyczyny pociągnąć-by winna za sobą powszechność skutku, we wszystkich więc krajach musiałby wywóz być mniejszym od przywozu, co się logicznie pojąć nie daje. W nadmiarze przywozu główną rolę grało

wino i to francuskie, a skoro wiadomo, że krajowcy używali przeważnie węgrzyna, nasuwa się zatém wniosek, że głównémi konsumentami wina byli francuzi wojskowi i cywilni w księstwie przebywający, że więc z téj pozycyi przywozu blisko 11 milionów złp. potrącić można. Zaznaczymy tu nawiasem, że cyfry wartości przywiezionych trunków niezgadzają się z sobą, co również powtarza się w ustępie o dochodach pocztowych, co jest może skutkiem zaniedbanéj korekty.

Wiadomość o monecie srebrnéj, lubo prawie dosłownie trzyma się tekstu prawa, podana jednak bez żadnego objaśnienia, będzie dla czytelnika, nieświadomego zkądinąd, całkiem zagadkową.

Mówiąc o „biletach kasowych," autor, z powodu, że bezpieczeństwo dla nich wskazane zostało na dochodach celnych, jak to zdarza się niekiedy przy pożyczkach państwowych, uważał za potrzebne wykazywać, iż bilety te nie były papierami pożyczkowemi, ponieważ nie przynosiły procentu, nie miały ustanowionego terminu spłaty i w razie zniszczenia lub zgubienia ich kasa nie wypłacała żadnego wynagrodzenia. Możnaby przeciw temu zarzucić, że opłata procentu nie jest związana koniecznie z pojęciem pożyczki, że papiery pożyczkowe mogą nie mieć oznaczonego terminu spłaty czego przykład widzimy na rencie francuskiéj, a z drugiéj strony, przyjmowanie podatków do połowy w biletach kasowych i zapewniona ciągła ich wymiana w kasach na monetę brzęczącą, dadzą się uważać za częściową spłatę pożyczki, że zagubione obligi pożyczki publicznéj czy prywatnéj nie zawsze i nie wszędzie dają prawo do wynagrodzenia.

Sposób wyrażania się autora bywa miejscami nie dość poprawny. *Niedobory* w przewidywanych dochodach celnych nazywa on „zaległościami," wyrazem stosującym się do podatków i innych dochodów stałych. Żeby „wewnętrzną treścią poczty" można było nazywać podwyższenie porta, lub znaczne wydatki zarządu głównego, mało kto chyba na to przystanie. O rzece „Drwęcy *łączącéj* Płockie z Bydgoskiém" należało powiedziéć, że *rozdzielała* te krainy. Wieprz z Tyśmienicą wpadały nie „do księstwa," lecz do Wisły. Noteć zaś i Ner nie „do Wisły," lecz do Warty. Potrzebowałby komentarza frazes następujący:

„W teoryi podług litery prawa, włościanin przestał być niewolnikiem, lecz w rzeczywistości stosunek, noszący na sobie znamiona prawa, przyjął charakter faktyczny, który nie wywarł żadnego wpływu na zmianę położenia włościan." Owszem położenie zmieniło się: pod względem prawnym włościanin skorzystał, pod względem zaś ekonomicznym dola jego mogła się pogorszyć. Pomimo to, zbyt

stanowczém a nie ścisłém wydaje nam się zdanie, że „wola pana mogła pozbawić dziesiątki rodzin pierwszych potrzeb do życia,“ bo właściwie można tylko mówić o pozbawieniu środków do zaspakajania potrzeb, a możliwéj chętce tego pozbawiania kładła hamulec konieczność uprawy ról folwarcznych, bez czego właściciel nie byłby w stanie uiścić się z ciężkich podatków pieniężnych ani z dostaw produktów w naturze. Zbytkiem energii razi twierdzenie, że „kodeks francuski pańszczyznę uważał za bezprawie.“

Uwagi powyższe nie powinny zniechęcać młodego autora: początki zwykle bywają trudne, ale przy wytrwałéj pracy trudności stopniowo znikać będą i prędzéj czy późniéj nie ominie go najwyższa nagroda, jaką w poczuciu pożytku przynoszonego społeczeństwu człowiek znajduje.

Kołłątaja i Czackiego: „Projekt urządzenia Gimnazyum Wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gubernii wołyńskiéj.“ Przyczynek do dziejów szkolnictwa przez Henryka Merczynga, stud. 3 kursu W. F. M. (*str. 129—154*).

Autor na początku swéj pracy zestawia trzy całkowite systemy edukacyi krajowéj „z których najlepiéj poznać możemy, co w danéj chwili stanowiło potrzebę i dążenie kraju“ to jest Ustawy Komisyi Edukacyjnéj, Projekt Kołłątaja i Czackiego, wreszcie Ustawę Szkolną Wielopolskiego. Punkt łączności między niemi wskazuje ten, że są wytworem sił krajowych wyłącznie; dlatego-to zapewne nie wspomina na tém miejscu nic o Ustawie Uniwersytetu Wileńskiego i szkół od niego zależnych. Następnie kreśli pokrótce okoliczności, wśród których Czacki powziął myśl „wielu zmian w postanowieniach tyczących się wileńskiego wydziału naukowego,“ i opowiada, jak z tą myślą zwierzył się Hugonowi Kołłątajowi.

Drugi ustęp swego artykułu poświęca p. Merczyng na szkicowe przedstawienie projektu Kołłątaja, którego tekst mamy wydrukowany w jego „Korespondencyi listownéj z Tadeuszem Czackim“ (tom II str. 1—205). Nie wszystkie atoli działy projektu zostały tu uwzględnione; autor najwięcéj się rozszerza nad urządzeniem samego Gimnazyum Wołyńskiego, przezwanego potém Liceum, krócéj już mówi o „Seminaryum Panien,“ które miało być założone przy tém gimnazyum, o projekcie zaś szkół parafialnych wzmiankuje tylko.

Ustęp trzeci zawiera obrazek tego, czém było Gimnazyum Wołyńskie w rzeczywistości pod względem wykładu nauk. Obrazek ten jest właściwie krótkiém streszczeniem rzadkiéj książeczki wydanéj w trzecim roku istnienia szkoły krzemienieckiéj p. n. „Materye z nauk w Gimnazyum Wołyńskiém przez Przeciąg Roku Szkolnego wyło-

żonych, na popis publiczny uczniów tegoż Gimnazyum (!) w Miesiącu lipcu 1808 porządkiem klass i kursów wystawione.“ Autor tak się zajął rozkładem nauk na klasy i kursy, tudzież programatem wykładów, że zapomniał podać do wiadomości nazwisko nauczycieli, dających lekcye w owym roku szkolnym, co byłoby w każdym razie rzeczą dosyć ważną i bezwzględnie i dla porównania z późniejszémi wykazami.

Całe opracowanie p. Merczynga ma charakter informacyjny; cenne jest z tego względu rozpowszechnienie wiadomości zawartych w rzadkości bibliograficznéj, którą streszcza. Pochwały oddawane Kołłątajowi i Czackiemu są bardzo ogólnikowe i trącą stylem nekrologowym („W tym wielkim zamiarze, którego trudność w wykonaniu tylko takiego człowieka jak Czacki przestraszyć nie mogła;“ „Słabe niektóre strony ustaw uniwersytetu... nie mogły się ukryć i nie ukryły przed takiemi ludźmi, jakiemi byli Czacki i Kołłątaj“ i t. p.). Krytycznych uwag spotykamy tu niewiele. W projekcie Kołłątaja oprócz wyrazowo tylko napomkniętych „braków i wad“ wytyka autor to jedynie, że podział między „klasami“ a „kursami“ nie jest zupełnie usprawiedliwiony, „gdyż nie zawsze 14-letni młodzian, wstępując na pierwszy kurs, był już w stanie sam rozumiéć pożytek nauki“ i że liczba lekcyj na kursach (30 tygodniowo) jak nie mniéj w seminaryum panien była może zbyt przeciążająca. Pierwszy zarzut jest słuszny; drugi—chybiony a to dlatego, że na kursach w gimnazyum do cyfry podanéj wliczył autor i godziny lekcyj nadobowiązkowych, w seminaryum zaś panien nie uwzględnił téj okoliczności, że przedmioty wymagające natężenia umysłowego są bardzo nieliczne, a znaczna liczba godzin zajęta jest takiemi przedmiotami, które właściwie do kategoryi zabaw odnieść się dadzą. Jakże można widzieć przeciążenie w takim np. rozkładzie godzin: 8—9 Muzyka wokalna, 9—10 Rysunki, 10—11 *Logika*, 1—2 Muzyka instrumentalna, 2—3 Haftowanie, 3—4 *Fizyka*. A więc właściwie tylko *dwie* godziny poświęcone *nauce*. Podobnie rzecz się ma we *wszystkich* innych dniach tygodnia; chyba-to raczéj zamało niż zawiele. Natomiast autor nie robi żadnego zarzutu co do lekcyj dwugodzinnych tak częstych w projekcie; albo co do fatalnego pod względem pedagogicznym braku urozmaicenia w planie, kiedy np. w trzeciém dwuleciu uczniowie mają tak rozłożone godziny: 10—11 Gramatyka powszechna, 1—2 Bibliografia, 2—4 literatura i tak przez cały tydzień z wyjątkiem wtorku i czwartku.

Styl rozprawki jest ożywiony i dosyć poprawny; co do języka zwróciłbym uwagę za niepolskość wyrażeń następujących: *dowodem* rzadkości może służyć (143), obiór Lerneta... spowodowany *dążeniem* Czackiem *utworzyć* szkołę chirurgów (144), nie miał on charakteru

więcéj ogólnego (142). Niepoprawnym i niejasnym jest frazes: „Expodkanclerzy przetrawia wszystkie te plany i myśli, *jakie* (zam. *które*) *miotały* bezustannie na polu swéj wielkiéj działalności publicznéj *znajdującego się Czackiego* (136). *P. Ch.*

Przyczynek do absorbcyi światła przez węglowodory szeregu aromatycznego. Podał Józef Stanisław Konitz, stud. 3 kursu wydz. nauk przyrodniczych.

Wiadomo, jak ważne znaczenie w nauce spółczesnéj przypada analizie spektralnéj; nietylko stanowi ona niezmiernie ważny środek chemicznego badania ciał, ale pozwala nawet wysnuwać doniosłe wnioski o ich budowie cząsteczkowéj. Płomień ciała płonącego badany przez pryzmat rozszczepia się na widmo, złożone z szeregu smug lub linij, cechujących dane ciało,—rozpatrywanie tego widma stanowi właśnie główny przedmiot badania spektralnego. Ale można tą drogą rozpatrywać i ciała ciemne, nie płonące; jeżeli bowiem przepuszczamy przez nie promienie światła, ulegają one w téj drodze częściowemu pochłanianiu, rozpatrywane przez pryzmat wydają widmo poprzerywane smugami i linijami, również dla danego ciała charakterystycznemi.

Praca, o któréj tu mowa, ma na celu zbadanie tego *widma absorbcyjnego* niektórych ciał, należących do tak zwanéj w chemii grupy aromatycznéj. Ciała badane przez p. K. są to węglowodory, których typem jest benzol; oprócz benzolu rozpatrywał autor jeszcze tolnol, ksymol i kumol.

Doświadczenia prowadzone były starannie, a otrzymane widma przedstawione są na rycinach wyraźnych i dokładnych. Widma powyższych węglowodorów różnią się pewnemi szczegółami, ale wszystkim wspólne są dwie smugi, charakteryzujące tę grupę związków. Ogólnych zresztą wniosków autor z doświadczeń swoich nie wyprowadza, poprzestaje jedynie na przedstawieniu osiągniętych rezultatów. Dwaj uczeni angielscy, prowadząc współcześnie te badania, zdołali wykazać pewną zależność widma od różnicy w składzie chemicznym ciał rozpatrywanych. Zarzutu zresztą z tego autorowi robić nie można, w początkowych bowiem pracach przyrodniczych, iść musi przedewszystkiém o wyrobienie wprawy w badania doświadczalne, a do tego celu praca przez autora obrana wybornie się nadaje.

Rozprawa ta należy do dziedziny, w któréj chemia schodzi się ściśle z fizyką; a jak to osądzić można z kilku prac p. K. pomieszczonych w tygodniku „Przyroda i przemysł,“ dział ten nauki stanowi ulubiony przedmiot jego zajęć, jest to obszar zarówno mozolny jak

wdzięczny, i życzyć należy autorowi, aby i nadal przy nim wytrwał.

Prace swe wykonał p. K. pod kierunkiem pana Dziewulskiego, asystenta przy katedrze fizyki. Kto pojmuje, że w pracach doświadczalnych początkujący bez przewodnictwa żadną miarą obejść się nie zdoła, ten oceni jak pomyślną okolicznością dla młodzieży uniwersyteckiéj poświęcającéj się fizyce, jest to, że tak chętną pomoc w osobie p. Dziewulskiego znajduje.

O pęcherzu moczowym (położenie pęcherza przy różnych stopniach jego napełnienia. Osłona mięśniowa pęcherza moczowego. Torebka powięziowa miedniczo-przyprątna) napisal Dawid Wasserzug stud. V k. wydz. lek.

Powyższa praca napisana została na temat wyznaczony przez wydział lekarski Uniwersytetu tutejszego i medalem złotym nagrodzona. W ogóle biorąc, jeżeli temata konkursowe są już niezbędną rzeczą w Uniwersytetach, to należałoby przynajmniéj wybierać takie przedmioty, które nie przedstawiając znacznych trudności, pozwalałyby na wszechstronne przyswojenie techniki i zapoznanie się z metodą badania. Zdaje mi się, że temat przytoczony w nawiasie tytułu, warunkom tym nie ze wszystkiem odpowiada. Dotyczy on trzech bardzo obszernych kwestyj, z których każda mogła by być przedmiotem osobnéj rozprawy, a przy tym kwestyj trudnych, spornych, nad któremi już wielu wprawnych badaczy pracowało. Z tém większą téż przyjemnością czytamy rozprawę p. W., który pomimo takich trudności, dał pracę zupełnie dobrą, opartą na bardzo mozolnych i licznych poszukiwaniach. Środek ciężkości rozprawy stanowią wymienione trzy punkta, które autor opisał na zasadzie swych własnych badań, starając się przytém o dokładne uwzględnienie całéj literatury. Wynikł ztąd nawet pewien brak symetryi w całości, kiedy bowiem te trzy części rozprawy traktowane są obszernie i wyczerpująco, pozostałe wyglądają tylko jakby dodatek i o ile sądzić mogę nie są oparte na własnych poszukiwaniach autora. Moim téż zdaniem praca p. W. nie straciła by nic na tém, gdyby autor był się ograniczył do tych tylko rzeczy, których się sam dotykał. Jakkolwiekbądź, ponieważ i te dodatki napisane są ze zajomością literatury, nie przynoszą więc ujmy całości, bardzo sumiennie obrobionéj i nauczającéj dla specyalistów.

Na zakończenie zrobimy tylko p. W. uwagę, że polskich autorów lepiéj jest przytaczać w oryginale aniżeli w przekładach na obce języki.

Dr. D.

„O niewymierności liczby *e*“ przez I. Cohna (str. 263—305).

Praca ta poświęcona jest systematycznemu i, jeśli tak powiedzieć tu można, przystępnemu przedstawieniu badań, odnoszących się do niewymierności liczby zwanéj *e*. Początek téj pracy ma charakter czysto sprawozdawczy. Podaje więc p. Cohn naprzód dowody Lambert'a i Fourier'go na to, że liczba *e* nie jest całkowitą i nie może być dokładnie wyrażoną przez ułamek zwyczajny, czyli, że jest liczbą niespółmierną z jednością. Następnie zaś przechodzi do dowodu Liouville'a, że liczba *e* nie może być pierwiastkiem równania stopnia drugiego ze spółczynnikami wymiernemi i takowy w całkowitości jasno wykłada. Teraz dopiéro przystępuje do głównego założenia swéj pracy, to jest do uprzystępnienia pierwszego z dwu dowodów p. Hermite'a, podanych przezeń w rozprawie: „Sur la fonction exponentielle“ (Paryż, 1874), ostatecznie rozwiązujących kwestyą niewymierności liczby *e*. P. Hermite w téj bowiem pracy udowodnił, iż ta liczba nie może być pierwiastkiem jakiegokolwiek równania algebraicznego ze spółczynnikami wymiernemi, czyli, że ona jest liczbą niewymierną przestępną. W dowodzie tym p. Hermite'a jest właściwie podany tylko szkic rozumowania, wiele niedomówień, przeróbki wzorów i ich dowodzenia opuszczone, co sprawia, iż rozprawa sama jest w czytaniu mało przystępną. Nadto p. Hermite posiłkuje się metodą Laplace'a wyliczania przybliżonéj wartości całek określonych, któréj wywodu również nie przytacza. Tę więc metodę naprzód przedstawia p. Cohn. Ponieważ jednak ten przypadek, do którego w dowodzie p. Hermite'a metoda Laplace'a potrzebną będzie, jest nie tak ogólnym, jak przez tego ostatniego rozważany, więc p. Cohn, traktując ją tylko ze względu na zastosowanie, jakie z niéj zrobić wypadnie, miał tu możność w kilku miejscach uproszczenia rozumowania, co nadaje jego przedstawieniu cechę należytego wniknięcia w szczegóły i pewnéj staranności w ich opracowaniu. Zarzucilibyśmy tylko, że wprowadzenie cząstkowéj pochodnéj (str. 270), uskutecznione wprawdzie tak, jak u Laplace'a, nie jest jednakże bliżéj objaśnioném. Pozostała zaś część pracy jest poświęcona wyłożeniu wzmiankowanego wyżéj dowodu p. Hermite'a ze wszystkiemi uzupełnieniami i rachunkami. W tém właśnie główna zasługa p. Cohna. Należało wszystkie wskazówki p. Hermite'a szczegółowo rozwinąć, rozwinięcia zaś te jak najtrafniéj zgrupować, aby uzasadnić wszystkie jego wyrzeczenia. Z tego zadania, według nas, bardzo szczęśliwie się nasz autor wywiązał. Praca zaś jego przekonywa nietylko o zdolności właściwego kombinowania i zużytkowa-

nia rezultatów studuyów uniwersyteckich, ale także i o pewnéj pomysłowości i trafności w wyborze należytych dróg rachunkowych. Dlatego téż rozprawa p. Cohna odznaczona została przez wydział fizyko-matematyczny naszego uniwersytetu pieniężném premium, jako dowodząca pracowitości i zdolności autora, oraz swobodnego władania metodami naukowemi.

Policya lekarska w dawnéj Polsce. Napisał Franciszek Olszewski student IV k. prawa.

W dość obszernym, bo 76 stron druku zawierającym artykule, autor przedstawił zebrany przez siebie materyał w następującym układzie. Wstęp posłużył mu do wykazania ważności przedmiotu i skreślenia jego literatury, któréj ubóstwo zmusza piszących do czerpania bezpośrednio ze źródeł. Rzecz sama ugrupowana jest w pięciu rozdziałach: rozdział I-szy zajmuje się ustrojem organów policyi lekarskiéj, II-gi personelem lekarskim, gdzie mowa o środkach szerzenia nauki medycznéj, o kontroli nad leczącymi, oraz o liczbie i rozsiedleniu lekarzy po kraju. W rozdziale III czytamy najprzód o zapobieganiu chorobom dziedzicznym i o środkach położniczych, a następnie zapoznajemy się z zawiązkami u nas policyi żywności i ścieśnień konsumpcyjnych, policyi trucizn, policyi budowlanéj, hygieny miast, policyi pogrzebowéj i tępieniem zwierząt szkodliwych! Rozdział IV traktuje o syfilisie, prostytucyi, ospie i powietrzu morowém, urządzenia zaś apteczne i szpitalne zawarte są w rozdziale V. Z przeczytania téj rozprawy wynieśliśmy takie wrażenie, że p. Olszewski ma zamiłowanie przedmiotu, poważnie się nań zapatruje i w dalszych studyach nie przestanie badań swych nad nim uzupełniać.

Chwalebna pracowitość autora, którą okazał przy zbieraniu szczegółów, rozrzuconych po najrozmaitszych książkach, niezawsze umiała się zamknąć w granicach obranego przedmiotu. Numeracya domów (str. 52) według naszego zdania, nie ma związku z policyą zdrowia; prawo z r. 1768, przeznaczając fundusz na czyszczenie rzek, naprawę dróg i mostów, miało na widoku tylko polepszenia komunikacyj; przepis stanowiący, że *cognatio spiritualis i legalis* są przeszkodami do zawarcia małżeństwa, równie chyba mało zapobiega chorobom dziedzicznym, jak niedopuszczanie rozwiedzionych do urzędów. Z wiadomości zawartych w ustępie o policyi budowlanéj wiele rzeczy można było bezpiecznie pominąć, jak np. dwumilową odległość między nowozakładanemi miastami, bo to lubo jest w związku ze słowem *budowań*, nie wchodzi jednak w zakres policyi budowlanéj, a na zdrowie żadnego wpływu wywrzéć nie mogło. Au-

tor w tym razie spostrzegł się, że przekroczył właściwe szranki, ale na wykreślenie zbytecznych szczegółów zdecydować się nie mógł. Ściśle rzeczy biorąc ani wydział lekarski we Lwowie, istniejący przez czas krótki pod rządem austryackim, ani łaźnia w Lignicy, do urządzeń lekarskich dawnéj Polski nie należą.

Zebranie rysów do obrazu policyi lekarskiéj—to dopiero pierwsza połowa pracy: drugą, nie mniéj ważną, było usystematyzowanie tego materyału. Staranność autora i pod tym względem jest widoczną, czasem drobnostkową nawet i na kilkakrotne powtarzanie jednéj rzeczy narażającą. Zdawałoby się nam jednak, że dla przepisu z roku 1525, „ażeby lekarze niższych stopni naukowych towarzyszyli doktorom przy wizytowaniu chorych dla nabierania wprawy,“—właściwsze byłoby miejsce w § „o środkach uprzystępnienia wiedzy medycznéj“, aniżeli w ustępie, mówiącym o kontroli nad leczącymi. Wolelibyśmy podobnież, projektowane w r. 1778 urządzenie sprzedaży arszeniku znaleść pod „Policyą trucizn“, aniżeli wśród przepisów o aptekach, które handlować tym przedmiotem nie miały prawa. W niektórych ustępach zakradł się pewien nieład chronologiczny: wprzódy czytamy o szkole lekarskiéj w Wilnie, a potém w Grodnie, gdy odwrotny porządek byłby właściwszym, w innéni miejscu autor, wspomniawszy o prawie zbytkowém z r. 1234, wnet się cofa w starożytność rzymską, a od niéj robi skok znowu do wieków średnich.

Wśród znacznéj liczby ciekawych wiadomości natrafiają się i błędne. Twierdzeniu autora, że *leges sumptuariae*, wydawane w Polsce, niedotyczyły pokarmów, sprzeciwia się rozporządzenie Kazimierza W. z r. 1336 (kod. dypl. m. Krakowa, I, str. 23); dodać téż można, że ustawy tego rodzaju natchnione były widokami ekonomicznemi, a o hygienę się nie kłopotały. Prawo praktyki lekarskiéj, zastrzeżone w r. 1433, wyłącznie dla doktorów szkoły jagiellońskiej stosowało się nietylko do województwa krakowskiego, ale do całéj dyecezyi tegoż nazwiska, czyli do wszystkich ziem małopolskich, i części Szląska górnego. Zbyt stanowczém jest twierdzenie, jakoby chory w dawnych szpitalach o tyle znajdował pomoc, o ile lekarz bezpłatnie mu jéj chciał udzielić, bo z rachunków np. krakowskich widzimy, że przy jednym szpitalu była lekarka, któréj płacono za leczenie (A. Grabowski: Dawne zabytki 214). Nie zgodzilibyśmy się na zdanie, jakoby łaźnie były uważane „za *opus pium*.“ Z nadań prawa niemieckiego przekonywamy się, że widziano w nich źródło znacznego dochodu, podobne jak waga miejska, postrzygalnia lub jatki. Że na utrzymujących łaźnie wkładano niekiedy obowiązek udzielania ubogim bezpłatnéj kąpieli, to istoty rzeczy nie zmienia bo

przecież jatki darowanéj pewnemu kościołowi nikt nie nazwie *opus pium*.

Mięsza autor rozpustę z syfilisem, zgwałcenia nie odróżnia od związków nieprawych, depaktacyą czyli zdzierstwo w handlu produktami żywności uważa za naruszenie przepisów policyi zdrowia; w tak zwanych „lekarstwach sekretnych“ dopatruje trucizny, kiedy uważne przeczytanie tego, co sam na str. 46 podał, pokazuje, że były to owe cudowne środki nieznanego składu, które pomagać miały na wszystkie choroby i niektóre inne. P. Olszewski jest pewnym, że Janowi Ostrorogowi, skarżącemu się na łatwość uzyskania stopnia doktorskiego na dworze rzymskim, chodziło o ustanowienie w kraju kontroli lekarskiéj; my zaś podejrzewamy słynnego statystę, lubiącego popisywać się swym tytułem doktora obojga prawa, że niechiał mieć kolegami niedouczonych jurystów. Awinionu nie zaliczylibyśmy do królestw, Vezaliusza wolelibyśmy nazwać lekarzem raczéj niderlandzkim aniżeli hiszpańskim, pomimo iż wypadek, o którym autor wspomina, zdarzył się temu uczonemu w Hiszpanii, wszakże Rubensa nikt do szkoły malarzy hiszpańskich nie zalicza. O kosztach kanonizacyi św. Jana Kantego tyle razy już pisano, że doprawdy nie mielibyśmy do autora pretensyi, chociażby tę wiadomość opuścił, a natomiast przytoczył kilka szczegółów o cenzurze obyczajów w Krakowie, podanych w pracy prof. Szujskiego (we Wstępie do Najstarszych ksiąg w Krakowie), lub wspomniał o takim charakterystycznym fakcie, jak udzielony katowi przez króla Jana III przywiléj *liberi exercitii medendi* (A. Grabowski, l. c.), albo zamieścił wzmiankę o istnieniu u nas szpitali dla trędowatych.

Wypada jeszcze wspomnieć o właściwościach pisarskich autora. Większa prostota byłaby tu bardzo pożądaną. Na str. 21 czytamy: „Początek więc został zadatowany pod szczęśliwą gwiazdą, która jednak wkrótce na długo zagasnąć miała. Po krótkotrwałéj dobie wieku złotego zegar dziejowy wybił fatalną godzinę upadku, od któréj zaczęła się jutrzenka rozkładu.“ Wszystko to z powodu braku kontroli nad lekarzami. Większe zamiłowanie prostoty byłoby powstrzymało prawnika od oświadczenia na str. 57, że „przystępuje do analizy chorób wenerycznych w Polsce,“ oświadczenia, które niby coś wielkiego zapowiada, w gruncie jednak jest niezrozumiałem. Za prostotą poszłaby bez wątpienia większa ścisłość wyrażeń. Gdy autor powiada, że „w sferze położnictwa panowały gusła i zabobony, przyprawiające *zazwyczaj* o śmierć hołdujące im jednostki,“—mimowolnie wyrywa nam się pytanie, jakimże to cudem plemię nasze dotąd nie wyginęło? O co mianowicie skarżono się na instygatorów

marszałkowskich (str. 61), domyśléć się było nam zbyt trudném. Wyrażeń niewłaściwych i barbaryzmów znajdzie się sporo: „oszuści wichrzyli,“ „akademia inicyowana,“ „było zaprzyczynowane,“ „wytrzymanie egzaminu,“ „reformy upodstawowane,“ „linia pochodnicza—spadkowa“, „pryncypy“, „podział lekarzów,“ lub „stosunek lekarzów,“ co ma znaczyć liczbę i rosiedlenie lekarzy po kraju. Najbardziéj rozpanoszył się w rozprawie wyraz „zadatowany“, który we wszystkich nieledwie postaciach gramatycznych spotykamy.

Wady, które w artykule p. Olszewskiego dostrzegliśmy są téj natury, że przy dobréj woli nietrudno z nich się otrząsnąć. Ten wzgląd pozwala nam wyrazić nadzieję, że nasze piśmiennictwo prawne znajdzie w nim pożytecznego pracownika.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wystawa żywego inwentarza: konie i ich hodowla, rasy bydła, owce, nierogacizna, drób, psy.—Jarmark wełniany.—„Nowosti“ nie słuszne ich zarzuty nam stawiane.—Warszawski korespondent „Poriadka.“

Wystawa inwentarzy żywych na placu Ujazdowskim, urządzona z inicyatywy i staraniem Dyrekcyi Towarzystwa wyścigów konnych, odbyła się w przeciągu czasu od dnia 12 do 23 Czerwca. Otwarcie jéj nastąpiło pod niepomyślną wróżbą z powodu przejmującego zimna i dokuczliwéj słoty, trwających bez przerwy przez pierwsze dni wystawy. Z ustaleniem się wszakże pogody, publiczność warszawska, nagradzając sobie czas stracony, tłumnie zwiedzała plac wystawy z zajęciem się przypatrując okazom rzeczywiście godnym widzenia. Jak wiadomo, wystawy podobne powtarzać się mają corocznie przez okres czasu sześcioletni i stanowić niejako targ na konie i bydło, urządzony racyonalnie i oparty na uczciwszych zasadach niż tradycyjne jarmarki, które się już przeżyły i noszą wszelkie znamiona upadku. Uznajemy całą doniosłość téj myśli, która trafnie pojęta i należycie przeprowadzona, może wydać bardzo pomyślne rezultaty. Szczęśliwe położenie Warszawy, znajdującéj się w punkcie zbiegu pięciu głównych linii dróg żelaznych, czyni ją miastem jak nie można lepiéj nadającém się do urządzenia podobnego rodzaju targowiska, ułatwiającego bezpośredni stosunek wschodu z zachodem, a jeśli dotąd krajowa produkcya zwierząt nie jest w stanie zaspokoić różnostronnych potrzeb samegoż kraju, nie mówiąc już o zajęciu poważnego stanowiska na rynku międzynarodowym, do czego kraj przez swoje geograficzne i ekonomiczne warunki zdaje się być przeznaczonym, to wystawy peryodycznie się powtarzające a nacechowane powyższym handlowym charakterem, ułatwią i przybliżą urzeczywistnienie tego celu. Zeszłoroczna wystawa więcéj obliczoną była na popis, z tego względu spotykały ją liczne zarzuty; tegoroczna, nie

zdołała się jeszcze zupełnie pozbyć téj cechy, ani ujawnić stanowczo praktycznego kierunku. Wstrzymując się od zbyt wysokich wymagań, czujemy bardzo dobrze, iż nic od razu zrobić się nie może. Czekajmy więc aż obywatelskie usiłowania Dyrekcyi wsparte głosami opinii publicznéj, przez organa prasy wyrażonemi, wydadzą pożądane owoce.

Nie myślimy tu wymieniać pojedyńczych okazów koni lub bydła, ani téż podług ogłoszonéj listy nagród udzielonych przez komitet wystawy, podnosić do apoteozy zasługi tego lub owego hodowcy; niech nam wolno będzie pójść za własnem przekonaniem i wskazać kierunki, w których, zdaniem naszém, hodowla w kraju rozwijać się zaczyna.

Zarzucano zeszłorocznéj wystawie brak zupełny pewnego stałego kierunku; na dowód tego powoływano się na wystawione okazy najrozmaitszych rass koni jako to: arabskiéj, angielskiéj pełnéj krwi, anglo-arabskiéj, anglo-normandzkiéj, suffolk'skiéj, perszerońskiéj, meklemburskiéj, pintzgauskiéj i różnych innych, tylko nie naszych swojskich, z wyjątkiem chyba żmudzkiéj, których hodowlą i utrzymaniem w czystości krwi, dla cennych jéj zalet pomimo drobnego wzrostu, tak gorliwie się zajmują książęta Ogińscy z Retowa. Przy zwykłém ubolewaniu nad zaginionym typem polskiego konia, owego mytycznego ideału, który wszakże niebył niczém innem jak szczęśliwą kombinacyą i zlaniem się zalet krwi wschodniéj z innemi rasami, lecz nie przedstawiał nigdy jednolitego typu i ulegał rozmaitym modyfikacyom w miarę pojęć i upodobań hodowców, usiłujących wyrobić w stadninach swoich kształty i zalety żądane, wytykają nam i pod tym względem ślepe zamiłowanie cudzoziemszczyzny. Przypatrzmy się wszakże, że i gdzie indziéj tak było i jest. Czemże jest koń angielski, pełnéj krwi, jeśli nie koniem wschodnim, zmodyfikowanym i urobionym, że tak powiemy podług panujących w narodzie pojęć i upodobań. Olbrzymi suffolk lub cleveland jest rozrosłym do potężnych rozmiarów koniem flamandzkim; krowa rasy krótkorogiéj (shorthorn) jest to krowa holenderska, która w skutek umiejętnych starań braci Colling'ów i ich następców, zatrzymała wielką wydajność mleka, obok wytworzonéj i ustalonéj zdolności do opasu. Owca hiszpańska stała się we Francyi rambouillet'em, w Saksonii elektoralną. Świnia chińska przekształciła się w Anglii na rasy Iorkshire, Lincoln, Essex i inne. I my téż dojdziemy z czasem do posiadania, nie już rasy w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, lecz rodów końskich, które ze wszelką słusznością za swoje własne uważać będziemy mogli, chociaż będą one tylko produktem krzyżowania osobników do obcych ras należących.

Jak dawniéj u nas, tradycyjne zamiłowanie *konia*, nie chowu koni, wyrażało się w upodobaniu do tureckich rumaków, tatarskich bachmatów, andaluzyjskich dzianetów i t. d. podobnie i teraz upodobanie to ujawnia dwa prądy: przyznawanie wyższych zalet krwi wschodniéj, lub pełnéj angielskiéj.

Ta ostatnia przeważa w okolicach kraju więcéj ku zachodowi posuniętych; pierwszéj hołdują prowincye południowo wschodnie. Typem niejako téj drugiéj kategoryi koni są stadniny hr. Branickich i książąt Sanguszków. Wprawdzie na tegoroczné] wystawie nie spotkaliśmy okazów z pierwszéj z tych dwóch stadnin, tylko egzemplarz, nie bezpośrednio przez właścicieli przedstawiony, lecz nabyty już z drugiéj czy z trzeciéj ręki, piękny gniady wierzchowy ogier, własność p. Władysława Gradenwitz'a stanowiący; do tejże kategoryi liczą się konie p. Karola Brzozowskiego z Sokołówki na Podolu, którego oryginalny arabski ogier, drobnego wprawdzie wzrostu, lecz ślicznéj budowy i znakomitego chodu w kłusie, powszechną na siebie zwracał uwagę. Daléj konie baronowéj Raden (z gub. Charkowskiéj), hr. L. Działyńskiéj (z Wołynia), hr. Stadnickiéj (również z Wołynia), hr. Miączyńskiego (także z Wołynia); część okazów wszakże przedstawionych przez tego ostatniego pochodzi ze stadniny hr. Wołłowiczów w Swiacku (gub. Grodzieńska), p. p. Makomaskich z Turkowic (gub. Lubelska, pow. Hrubieszowski).

Stadniny hodujące pełną krew angielską w kraju, nie wszystkie były na wystawie reprezentowane. P. Ludwik Grabowski z Sernik przedstawił okazy krwi pełnéj i pół krwi, własnego chowu, podczas gdy p. Maryan Gruszecki z Pławna dostarczył na wystawę przeważnie importowane z Anglii konie, mianowicie pół krwi irlandzkie huntery.

Dotąd mówiliśmy o stadninach hodujących konie zbytkowe, powozowe lub wierzchowe, należących do osób zamożniejszych dla których ponoszenie znacznych nakładów na stadninę jest zbytkiem dozwolonym i usprawiedliwionym. Lecz prawdziwie praktyczny, że tak powiemy gospodarski kierunek hodowli, ujawnia się w mniejszych stadninach, których właściciele o tyle tylko upodobaniu temu hołdować mogą o ile na to rachunek pozwala. Jako typ, przytoczymy tutaj stadninę p. Antoniego Tukałły z Rackowszczyzny (pow. Sejneński), którego konie przedstawione na wystawie, pochodzące z klaczy rasy kłusaków (rysaków) Orłowskich a po ogierach pełnéj krwi angielskich, znają się z broną i z wozem gospodarskim lub bryczką, a pomimo to wybornie służyć mogą pod wierzch, jako konie frontowe a nawet oficerskie. Taki kierunek hodowli zasługuje na jak największe uznanie jako dostępny dla szerszego koła hodowców i przynoszący rzeczywiste, lubo nie wielkie zyski.

P. Jakób Natanson z Sannik dał na wystawę konie robocze swego chowu po ogierach trakeńskich i perszeronach i klaczach krajowych. W tym dziale koni, wystawione przez innych wystawców okazy należą przeważnie do rasy perszerońskiéj, będącéj obecnie niejako w modzie, chociaż trudność dostawania oryginalnych a nieposzlakowanych perszeronów naraża hodowców na liczne zawody. Wspomnę tu jeszcze z uznaniem o dwóch okazach przedstawionych przez włościan (szkoda że się one do téj tylko liczby redukują) za które, w celu zachęty, komitet, oprócz listów pochwalnych przyznał nagrody pieniężne w kwocie 100 i 90 rubli.

Wystawa bydła rogatego górowała nad wystawą koni tak doborem okazów jak i ilością, a głównie znaczeniem ekonomiczném. Gdy bowiem hodowla koni wymaga niezbędnych ofiar, bo znacznych nakładów, nic wcale, albo niedostatecznie się opłacających, to hodowla bydła rogatego ma na celu namacalny czysty zysk z nabiału. W pobliżu większych miast lub osad fabrycznych, gdzie zbyt świeżego mleka po wysokich cenach jest zapewniony, przeważa i to bardzo racyonalnie rasa nizinna, głównie u nas hodowana, holenderska, lub wyjątkowo oldenburska. Krowy te dają wiele, lecz za to chudego mléka. Producentom chodzi tu o ilość nie zaś o jakość i większy w tém zysk upatrują, niżby mieli mniéj mléka, ale tłustego, chociażby po wyższéj cenie sprzedawać. Do takich należą: obora p. St. Ciechanowskiego z Grodźca, hr. St. Zamoyskiego z Maciejowic, p. Tad. Wodzińskiego z Suchéj, hr. Platerowéj z Hruszniewa, p. Ludwika Górskiego ze Sterdynia, p. Daniela Janasza z Wolicy i wiele innych. W ostatniéj wymienionéj tu oborze, jedna krowa znajdująca się na wystawie dała w ciągu roku 1.075 garncy mléka. W innéj znowu, jedna krowa, przez sześć tygodni po ocieleniu dawała po dziewięć garncy mléka dziennie.

Inne znowu warunki ekonomiczne sprowadzają inne potrzeby. W miejscowościach, w których sprzedaż mléka w stanie świeżym miejsca mieć nie może, trzeba nadać inny kierunek, spieniężając nabiał w stanie przerobów mianowicie masła lub serów; przy ostatnim sposobie użytkowania z nabiału, rasa mleczna o mleku chudszém, więcéj zawierającém w sobie sernika, jeszcze dobrze się opłaca, czego jest dowodem rasa holenderska w swéj ojczyznie i sery pod takąż nazwą tak wielkiéj używające wziętości i u nas w kraju z korzyścią na wzór oryginalnych wyrabiane. Gdzie zaś samo tylko masło stanowić ma przedmiot zbytu, wtedy na jednym kierunku użyteczności bydła poprzestać nie można, lecz trzeba równocześnie wyrobić i inny, mianowicie, zdolność do opasu lub siłę do pracy. Anglicy, owi mistrze w hodowli, zrozumiawszy dobrze

tę prawdę, z rasy holenderskiéj wytworzyli słynne swe bydło krótkorogie (shorthorn) odznaczające się nieporównaną zdolnością do opasu przy znacznéj mleczności, chociaż do pracy zupełnie nie zdatne; doświadczenie bowiem przekonało, iż wszystkie trzy cele hodowli: mleczność, zdolność do opasu i siła do pracy w jednéj rasie połączyć się nie dadzą. Rasa ta mało dotąd u nas upowszechniona, znalazła wystawcę w osobie p. Adama Michalskiego z Borowna, który ją wybrał do poprawienia krajowéj rasy, z krów skupowanych po jarmarkach za stosunkowo niskie ceny, po buhaju czystéj krwi shorthorn doczekał się produktu, który go najzupełniéj zadawalnia i który właśnie dał na wystawę.

Przeważna większość gospodarstw w kraju posługuje się do pracy w pługu wołami, to téż u nas przy wyborze rasy mającéj być użytą do poprawienia bydła miejscowego, zdolność do pracy powszechnie była uwzględnianą. Z ras górskich, piękna, mleczna lecz drobna rasa algauska nie nadaje się do tego celu; większe uznanie i rozpowszechnienie znalazła rasa szwajcarska Schwytz, któréj ś. p. Dezydery Chłapowski z Turwi był zwolennikiem i krzewicielem. Piękne jéj kształty, dobra, na krótkich nogach budowa, wydajność znaczna tłustego mleka, czynią ją bardzo dla naszych stosunków pożądaną. W ostatnich czasach znacznéj dostąpiła wziętości rasa czerwono-plamiasta Bern-Simmenthal, z powodu większego swego wzrostu. Obie te rasy hodowane w czystości krwi w oborach zarodowych i krzyżowane, przedstawione były na wystawie w nader licznych i pięknych okazach.

Słysząc ciągle głoszone zalety ras zagranicznych, możnaby mniemać, iż nasze krajowe bydło nawet wspomnienia nie warte. Jakkolwiek nie mamy typu, któryby w całém tego słowa znaczeniu można było nazwać ustaloną rasą, to przecież w Kieleckiém i w okolicach gór Świętokrzyskich, znaleźć można bydło, ustępujące wprawdzie pod względem mleczności i zdolności do opasu rasom zagranicznym w specyalnych hodowanym kierunkach, ale wydające woły robocze, którym równych żadna zagraniczna rasa nie wyda. Takie woły przedstawili p. p. Schürr i hr. August Łubieński z Łukowych (pow. Makowski) jako téż parę starych już, upasionych wołów, prawdziwe olbrzymy w swoim rodzaju, przewyższające nawet bardzo piękne woły rasy Schwytz, p. Tomickiego z Kożuszek.

Wiadomo jak ważnym dla produkcyi zwierzęcéj w kraju jest chów owiec cienko-wełnistych i jak szczęśliwie się rozwinął w obec klimatycznych i ekonomicznych warunków. Śmiało rzec można, iż ta gałęź produkcyi przewyższa wszystkie inne. Lecz gdy konia lub

bydlę przy jakiéj takiéj znajomości rzeczy można dość trafnie ocenić na oko, chcąc wydać rzetelny sąd o danéj owczarni, trzeba być koniecznie specyalistą. Prowadzenie owczarni, zwłaszcza zarodowéj, wymaga gruntownéj nauki i niepospolitéj wprawy; nic więc dziwnego, iż barany rozpłodowe pochodzące z takich owczarni posiadających ustaloną sławę, nie mogą być sprzedawane za niską cenę. Pod względem wysokich zalet i obfitości wełny, jako téż bardzo przystępnych cen tryków, odznacza się owczarnia p. Władysława Przyłubskiego z Zator, nabyta przed laty kilku od p. Aleksandra Trylskiego z Pawłowic. Celują również owczarnie w W. Ks. Poznańskiém: p. Konst. Szczanieckiego z Międzchoda, typu negretti i p. p. Koeppel'a z Ustkowa, Hr. Kwileckiego z Oporowa i Kalkstein'a z Pluskowęsów, typu Rambouillet i Rambouillet-negretti. Ten zwrót do produkcyi owiec większego wzrostu i silniejszéj budowy, o wełnie tak zwanéj czesankowéj, przydatnéj na tkaniny gładkie, stanowi niejako przejście do hodowli ras mięsnych występującéj już w niektórych pojedyńczych owczarniach przez krzyżowanie z angielskiemi mięsnemi rasami southdown, oxforddown, hampshiredown i lincoln.

Owczarnia czystéj krwi negretti p. Wacława Łuszczewskiego z Kociołek odznacza się wysokiemi zaletami wełny, lecz więcéj jeszcze niesłychanie wysokiemi cenami baranów. Cena 1.200 rubli za pojedyńczego tryka, zdaniem naszém nie da się w żadnym razie ekonomicznie usprawiedliwić.

Trzoda chlewna nielicznie, ale za to w wyborowych okazach była na wystawie przedstawioną. Wszystkie prawie okazy były czystéj krwi dużych białych ras Yorkshire i Lincoln, niektóre zaś przedstawiały produkta trafnego krzyżowania z krajowemi rasami.

Okazy drobiu przedstawiały rozmaite rasy francuskie i angielskie jako to houdan, crevecoeur, bantam i inne. W tym dziale pawilon pani Schürr'owéj zaciekawiał publiczność okazami kurcząt sztucznie wylęgniętych za pomocą stosownego przyrządu zwanego lęgnikiem.

Było téż na wystawie kilka pięknych okazów psów myśliwskich angielskich ras wyżłów, cetterów i ponterów. Działu tego jako przedmiotu wyłącznie upodobania, nie mamy zamiaru podnosić wyżéj nad właściwe jego znaczenie, zaznaczając tylko, iż cena 1.000 rubli naznaczona na cettera, wprawdzie bardzo pięknego, w obec naszych stosunków jest anomalią.

Jarmark wełniany powtarzający się corocznie w czerwcu odbył się i w r. b. i trwał jak zwykle od 15 do 19.

Gdy w roku zeszłym producenci już z góry przygotowywali się do trzymania się odpornie i nieustępowania z cen aż do ostatniéj chwili, to w r. b. nadzieje nie były świetne, zdawało się bowiem, że ustępstwa będą musiały być znaczne, gdyż jeszcze przed jarmarkiem rozpowszechniło się mniemanie, oparte na pogłosce ze świata handlowego, że na ożywiony pokup liczyć nie będzie można, ponieważ fabrykanci posiadają zapasy towarów niewyprzedanych, że z powodu wygórowanéj produkcyi w latach ubiegłych roboty w fabrykach będą po części zawieszone, nareszcie, że fabrykacya uległa ogólnéj stagnacyi. Wszystkie te przyczyny miały się złożyć na to, że zakupy będą bardzo ograniczone a tém samém ceny nie wysokie.

Tymczasem jarmark warszawski dowiódł prawdziwości przysłowia, że „nie wszystko prawda co na weselu śpiewają.“

Z racyi powyższych pogłosek, dostawcy wełny na pierwsze jarmarki ucierpieli istotnie, gdyż z łatwością zgadzali się na ustępstwa, późniejsze za to jarmarki nie potwierdziły wcale smutnych przewidywań. Największe ustępstwa poczynione były przez dostawców na jarmarki szlązkie, następnie jednak gdy przekonano się, że nabywcy nie opaźniają się z przybyciem i że wystawiona wełna prawie wszędzie rozprzedaną została, ustępstwa stopniowo zaczęły się zmniejszać. Na ten raz dostawcy wełny na jarmark warszawski skorzystali na tém, że jest on ostatnim w rzędzie jarmarków wełnianych, opierając się bowiem na danych o stopniowéj redukcyi ustępstw czynionych przez dostawców wełny w Poznaniu, zajęli stanowisko wyczekujące i nie dali się pociągnąć ofertami z pierwszych dni jarmarcznych. Na takiém stanowisku utrzymywała ich jeszcze i ta okoliczność, że remanent wełny znajdujący się na d. 13 czerwca roku b. w magazynach bankowych, okazał się mniejszym prawie o 7.000 pudów od takiegoż remanentu w roku zeszłym, następnie, że dowozy były względnie nieznaczne a nadto, że kupcy nie ociągali się wcale z przybyciem a nawet oprócz zwykłych gości zagranicznych zjawili się także i kupcy rosyjscy. Cała ilość przywiezionéj na jarmark wełny wysoko-cienkiéj zakupioną została i to po cenach nie wiele niższych od zeszłorocznych.

Ogólny dowóz mniejszy był niż w roku zeszłym.

Obrót wełny przez kilka dni jarmarcznych przedstawia się jak następuje:

na 14 Czerwca było w magazynach	14.380	pudów.	21 f.
14, 15, 16, 17 i 18 Czerwca dowieziono	20.422	„	8 „
Ogółem więc	34.802	„	29 „

czyli mniéj niż w tymże czasie w roku zeszłym o 16 625 pudów, dowozy wprawdzie trwają jeszcze ale w partyach niewielkich, tak że w ogóle tegoroczna ilość wełny niedorówna zeszłorocznéj.

Przez czas jarmarku wyprzedano 23.200 pudów, z których kupcy zagraniczni nabyli 13.000 pudów resztę zaś fabrykanci krajowi.

Ceny wełny wyższych gatunków w porównaniu z zeszłorocznemi uległy nieznacznéj obniżce, dla wysoko cienkiéj chwiały się między 112 a 125 talarami za cetnar, dla cienkiéj między 100 a 113 talarami, średnią zaś sprzedawano w r. b. po cenach wyższych niż w roku zeszłym mianowicie po 82 do 100 talarów za cetnar.

„Każdy wiek ma goryczy, ma swoje przywary,“ każdy zwrot w życiu społeczném miewa właściwe sobie znamiona. Były czasy, kiedy krwawy deszcz, kometa z długim ogonem lub urodzenie się cielęcia o dwóch głowach rzucało postrach na ludy, wróżyło im najrozmaitsze klęski. Dziś komety przestały już przerażać, do wróżb i odgadywania przyszłości mniéj jesteśmy pochopni, rózga na niebie zaledwie ciekawość naszą budzi, ale za to rózga ziemska każdego poszczególe i wszystkich w ogólności mocno obchodzi. Dziś rozglądamy się baczniéj we wszelkich zjawiskach społecznych, niedlatego aby przyszłość odgadnąć i biernie jéj oczekiwać, lecz aby z dostrzeżonych w danéj chwili znamion, dokładnie zrozumiéć teraźniejszość i jeśli można na charakter przyszłości wpłynąć, lub przynajmniéj od plag, któreby napędzić mogła, uchronić się. Jest to tedy pewien postęp, ale mimo tego postępu, niebrak i czasom naszym goryczy, przywar i znamion.

Jeżeli myśl ludzka natrafia na przeszkody, jeśli na publiczne jéj wyrażenia włożone zostały pęta, zwykle ludzie wtedy próbują czytać między wierszami, w sztuce téj doskonalą się z początku— z potrzeby, a późniéj—z nawyknienia. Rozkwit téj sztuki należy do znamion czasu, znamion, z których trudno wprawdzie ułożyć horoskop tego co będzie, ale ułatwiających zrozumienie tego co jest, odgadnienie—co było. Skłonność do czytania między wierszami wskazuje prawie nieomylnie, że wyrażenie myśli skrępowane jest przeszkodami i to w ciągu dość długiego czasu. Chwila obecna takie musi nosić znamię, bo inaczéj nic umielibyśmy sobie wytłóma-

czyć sposobu, w jaki nasz artykuł o *samopomocy narodowéj* (zeszyt czerwcowy 399—410) zrozumiany został przez redakcyą petersburskiéj gazety „Nowosti.“

W Nr. 141 tego dziennika poświęcono nam długi artykuł, wstępny, zaprawiony wielu komplementami, przewyższającemi nasze zasługi. Wdzięczni jesteśmy za ten zaszczyt, ale przeciw kosztom, któremi kazano nam go opłacić, mamy cokolwiek do powiedzenia. „Nowosti“ znajdują jakąś „nieodpowiedniość,“ czy brak związku (niesootwietstwije), między początkiem artykułu naszego a jego zakończeniem. Gdybyśmy poprzestali na wykazaniu „że w czasach obecnych, kiedy przedsiębierstwa przemysłowe, obroty handlowe i udoskonalenia techniczne przybrały taki szeroki rozwój, niezbędne są stowarzyszenia ze znacznym kapitałem, i że ten, kto wyjedna u rządu usunięcie przeszkód, stawianych dotąd tworzeniu się takich stowarzyszeń, wielką krajowi uczyni przysługę, gdybyśmy poprzestali na tém, gazeta mniema, że artykuł nasz mógłby liczyć bezwątpienia na znacznie większe powodzenie.“ Gazeta nie objaśniła u kogo to powodzenie znaleść mieliśmy. Myśmy pisali do ziomków i do nich się wyłącznie zwracali. Program odezwy naszéj poprawiony przez „Nowosti“ chyba gdzieindziéj znalazł by lepsze powodzenie. Oto nie chcemy się zresztą spierać. Bardzo być może iż gdybyśmy dowodzili potrzeby usunięcia wpływu inteligencyi na sprawy gminne w Królestwie i skasowania istniejących już stowarzyszeń przemysłowych, — moglibyśmy liczyć na jeszcze większe i prędsze powodzenie. Aleśmy takich żądań nie stawiali: cóż robić? każdy na swój sposób tylko może być zadowolnionym, i daremnie jest głodnemu radzić: idź, braciszku, na przechadzkę, świeże powietrze cię orzeźwi.

„Nowosti“ powiadają, żeśmy do głównego niby i aprobowanego przez tę gazetę tematu przymieszali niewłaściwie kwestyą udziału inteligencyi w samorządzie gminnym. Dziwnie się rozchodzimy z „Nowostiami“ w pojęciu o tém co jest rzeczą główną, a co drugorzędną, dodatkiem, czy przymieszką. Kiedy kto z *sześciu kart* przeznaczonych na kwestyą samopomocy narodowéj, *cztery i pół* poświęca sprawom gminy i zastanawia się nad uczestnictwem w nich inteligencyi, a podniosłszy myśl innego publicysty, o potrzebie organizacyi tego uczestnictwa, wskazuje na końcowych *trzech stronach*, że wszelkie stowarzyszenia napotykają trudności, że usunięcie tych przeszkód byłoby pożądaném,—czy słusznem jest zarzucać mu, że przymięszał początek do końca? Prędzejby już zarzut odwrotny był dla nas zrozumiały. Samopomoc narodowa może znaleść różne pola

dla swéj działalności, atoli w kraju, który, pomimo całego rozwoju przemysłu, jest jeszcze przeważnie rolniczym, gmina wiejska stanowić musi najgłówniejsze dla téj działalności pole, a co większa na tém jedném tylko polu działalność owa może się wcielić w stworzony przez prawo organizm. Organizm nie jest idealnie doskonałym, dla czegóżby miało być błędem zastanowianie się nad środkami polepszenia go?

Owóż właśnie „Nowosti,“ którym się zdaje, żeśmy tylko o stowarzyszeniach przemysłowych mówić byli powinni, widzą tu błąd i do tego błąd „polityczny“ gdyż, przyczepiać do téj kwestyi samorząd włościański i wpływ nań szlachty, to znaczy nadawać jéj barwę polityczną, co w danym razie, wobec nieufności, panującéj w sferach administracyjnych, w lojalność polityczną inteligencyi polskiéj, jest niepolityczném w najwyższym stopniu.“ Ktoby takiego rezonowania posłuchał, musiałby skazać się na zupełne milczenie, z obawy zadraśnięcia polityki. Przy dobréj woli można ją znaleść i w modach i w kursie giełdowym i w sprawozdaniu z wystawy obrazów i w tablicach meteorologicznych. Nieraz się przecież podobnemi spostrzeżeniami zabawiano. Takie rozumowania pomimowolnie nasuwają pytanie: czy nie więcéj obawiać się nam wypada podejrzliwości tych organów dziennikarstwa rosyjskiego, które dotychczasowem postępowaniem jeszcze nas do tego nie przyuczyły, aniżeli nieufności administracyjnéj? Co tu wreszcie większą gra rolę: podejrzliwość, czy nieznajomość istotnego stanu rzeczy?

Ile razy dziennikom rosyjskim zdarzy się sposobność rozprawiania o naszych interesach, zaraz wyjeżdżają na plac ze *szlachtą*, to jest z wyrazem, mającym odgrywać rolę jakiegoś straszydła mytycznego. Zdawałoby się, że naród nasz składa się tylko z dwóch klas: z włościan, którym grozi niby ucisk szlachecki i ze szlachty, która tylko o możności uciskania włościan marzy i któraby ich uciskała gdyby postronni dobrodzieje nie zapobiegali temu. Że takie tyrady pisały się i powtarzały aż do znudzenia przed siedmnastu laty,—to jeszcze pojąć można: piszący, świeżo przybyli do nas, zostawali pod wpływem starych uprzedzeń, a gorączkowy nastrój chwili nie dozwalał im trzeźwo patrzéć na rzeczy, ani ich chłodno rozważać. Nawet w dobréj wierze, łatwo w błąd popaść mogli. Dziś błąd podobny trudniéj jest usprawiedliwić, bo czasu do poznania prawdziwego stanu rzeczy było aż nadto, i niewielu chyba znajdzie się naiwnych, którzyby owym starym powiastkom wiarę dali. Wiadomem jest wszystkim, wiedziéć chcącym, że główna masa ludności krajowéj trudni się u nas gospodarstwem wiejskiem, że nie rozpada się ona

na dwie, wielce jakoby różne klasy, lecz ropływa w liczne stopniowane odcienia, że lubo zachodzi przedział między kategoryami krańcowemi, między włościaninem na trzech morgach a dziedzicem dóbr, to jednak przedział ten wypełniają: wieśniak posiadający włók kilka, daléj zamożny kolonista, szlachcic cząstkowy, uprawiający nieraz rolę mniéj obszerną aniżeli kolonista, a daléj nabywca gruntów poproboszczowskich, posiadacz pustkowi, rumunków i odpadków folwarcznych, właściciel folwarczku podmiejskiego itd. A owa szlachta, podawana za jakąś niby kastę zamkniętą, a stanowiąca klasę właścicieli większych z kogóż się składa? W niemałéj części z ludzi, którzy należeli do wymienionych kategoryj, zanim się dorobili pewnéj zamożności i większe obszary nabyć mogli; ze wzbogaconych rzemieślników i przemysłowców wiejskich lub ich potomków; z cudzoziemców, którzy u nas szukają korzystniejszego pomieszczenia swych kapitałów. Siedmdziesiąt lat z górą własność ziemska przechodzi ciągle z rąk do rąk: w umiejętniejszych dłużéj pozostaje, z nieudolnych lub nieszczęśliwych się wysuwa. Gdzież tu dopatrzéć kasty, gdzie wrogie ich dla siebie usposobienia, gdzie naturalną sprzeczność interesów, mówimy—naturalną, bo o sztucznie wytworzonéj mówić nie chcemy? Alboż to wszystkie te klasy nie jednakowy mają w tém interes, aby wyboje na drogach były wyrównane, alboż dziurawe i nieobaryerowane mosty nie są dla wszystkich prawdziwą plagą, alboż marnotrawienie funduszów gminnych, malwersacye w kasach pożyczkowych przynoszą którejkolwiek klasie rolników pożytek? Bynajmniéj. Interes wszystkich jest w tym względzie jednakowy, ale nie wszyscy jednakowo potrafią mu zaradzić, wyszukać na złe lekarstwo. Cóż tedy szkodliwego w tém, że się inteligencyą wzywa, aby lekarstwa szukała? Odpowiadają nam że to się wiąże z polityką. Więc, gdy prasa rosyjska rozprawia o włości wszechstanowczéj w cesarstwie, włości, w skład któréj weszłaby inteligencya—to niepolityka, a gdy u nas szlachcic zechce radzić w gminie o naprawie dróg i mostów—to polityka; gdy rolnicy zechcą związać się w stowarzyszenie, zabezpieczające od strat z gradobicia—to także polityka.

Przy naszéj prostodusznéj wierze, że to co jest białem w Europie, białem jest i w Ameryce, że człowiek wszędzie na dwóch nogach chodzi, nie bylibyśmy wstanie zrozumiéć téj subtelnéj różnicy. Gazeta „Nowosti“ ciemnotę naszę oświeca, tłómacząc tę różnicę nieufnością względem naszéj inteligencyi, która w pewnych sferach ma istniéć. Dobrze. Przypuśćmy więc, żeśmy zbłądzili, poruszając kwestyą wpływu inteligencyi, żeśmy z praktycznego gościńca zboczyli w manowce polityki. Któraż droga jednak o tę zakazaną dziedzinę

nie zawadzi? „Nowosti" odpowiadają, że jest jedna jedyna tylko droga, polegająca na tem „aby ludzie uczciwi nad zaspokojeniem niezbędnych potrzeb kraju pracowali w samem Królestwie" i aby cała prasa zbiorowo była jedyną przedstawicielką opinii publicznéj, bo éj tylko głos może być przez sfery wyższe uwzględnianym. Doprawdy wygląda to na żarty. Inteligencya kiedy chce naprawiać drogi nie zasługuje na zaufanie, i dlatego skutecznie pracować nie może i téż inteligencya, bo rozumni i uczciwi ludzie są przecię inteligencyą, może skutecznie pracować nad niezbędnemi potrzebami kraju. Chyba że dobre drogi nie stanowią potrzeby niezbędnéj. Inteligencya, kiedy chce kontrolować kasę gminną, jest podejrzaną, i taż inteligencya, gdy za pośrednictwem prasy przemawia na uwzględnienie zasłuży. Trudno to pojąć, trzebaby tylko wierzyć, stosownie do prawidła: *credo, quia absurdum.* A o cóż nam chodzi, jeśli nie o rozumną robotę ludzi uczciwych? tylko, że pisania i podawania projektów niezatwierdzanych, jak się dotąd działo,—skutecznem zaspokojeniem niezbędnych potrzeb kraju nazwać niepodobna. A któż, jeżeli nie prasa projekta te bądź poruszała, bądź popierała, bądź ogłaszała, bądź wyjaśniała i usprawiedliwiała, lub na skromniejszéj poprzestając roli, wzywała uczciwych ludzi, aby z dozwolonego sobie przez prawo wpływu, lubo niezawsze łatwego w praktycznem zastosowaniu, starali się korzystać? I oto gdy „Ateneum" w podobny sposób się odzywa, gazeta „Nowosti" uznaje to za krok niepolityczny. Według zdania gazety, głos prasy ma być wystarczającym, ma być jedyném na dolegliwości nasze lekarstwem, a wszelkie kroki w drodze prywatnych starań w Petersburgu zbyteczne jeśli nie szkodliwe. Wiemy jednak, że ziemstwa w cesarstwie, ciała uorganizowane i stanowiące prawną reprezentacyą interesów powiatu i guberni, wydawszy tę lub ową uchwałę, wielokrotnie niepoprzestawały na spisaniu protokułu i przesłaniu go gdzie należy, lecz wyprawiały nadto swych delegatów do Petersburga i przeznaczały fundusze na koszta podróży, aby popierali życzenia ziemstw w stolicy. W saméj Warszawie niedawno widzieliśmy, że zatwierdzenie tramwajów i kanalizacyi wymagało podróży prezydenta miasta do Petersburga, pomimo iż magistrat jest władzą z ramienia rządu mianowaną, a więc na zupełne jego zaufanie zasługującą. Miałyżby projekta, z inicyatywy osób prywatnych powstałe, spodziewać się łatwiejszego posłuchu, aniżeli przedstawienia władz rządowych? mogłyżby kasy pożyczkowo-wkładowe, instytucye emerytalne dla rządców i ekonomów, towarzystwa opieki nad uczącą się młodzieżą itd. uzyskać zatwierdzenie bez osobistych czyichś starań, jeżeli przedstawienia organów administracyjnych bez takich starań w Pe-

tersburgu nie mogą się obejść. Doświadczenie uczy nas dotkliwie o bezzasadności podobnych przypuszczeń.

Gazeta „Nowosti“ w swéj szczególnéj, bo wielce podejrzliwéj życzliwości dla nas, przypisuje nam zamiary, o jakich się nam nie śniło. Mówiliśmy wyłącznie o staraniach celem zaspokojenia potrzeb kraju, bardzo skromnych, nie mniéj przeto niezbędnych; gazeta przyplątała do tego rzecz donioślejszego znaczenia, myśl zmiany całego systematu rządowego w Królestwie, któréj ani jednėm słowem nie potrąciliśmy. Zszedłszy w ten sposób z realnego gruntu, na którym oparliśmy nasz rozbiór, gazeta puściła zupełnie wodze fantazyi, zaczęła czytać między wierszami, podkreślać dowolnie zestawione frazesa nasze. Mając na względzie polemikę przeszłoroczną z „Niwą“ o naszych nieobecnych, o stanowisku arystokracyi rodowéj, wypowiedzieliśmy zdanie, że ktoby pożądane dla kraju ulepszenia „wziął szczerze do serca, a nie żałował im poświęcić pewnéj części swego żywota, czy to będzie człowiek z arystokratycznėm czy z demokratycznėm nazwiskiėm, zjedna sobie uznanie powszechne, a chociażby między opiniami jego osobistemi a opinią kraju zachodziła jaka różnica, nikt zapewne nie będzie się wahał uznać w nim człowieka zacnego i rozumnego.“ Cały ten ustęp znaczył tylko tyle, że gdy każdy pochlebiać sobie może, iż opinią kraju dokładnie reprezentuje, gdy wszakże nie wiemy na pewno czy „Niwa,“ czy „Ateneum“ lepiéj tę opinią przedstawia, przeto zasłużonemu arystokracie, pomimo różnicy wyobrażeń, hołdu ze swéj strony nie odmówimy, a z drugiéj strony spodziewamy się, iż zasługa istotna znajdzie téż odpowiednie uznanie ze strony „Niwy“ i jednomyślnych z nią osób, chociażby tę zasługę położyła osoba o nazwisku nieznanėm i opiniach dla tego czasopisma niesympatycznych. „Nowosti“ co innego z przytoczonego ustępu wyczytały: znalazły w nim ani mniéj ani więcéj, że artykuł czerwcowy w „Ateneum“ proponuje margrabiego Wielopolskiego na urząd patrona interesów krajowych, że taka propozycya nie mogła urodzić się w naszéj redakcyi, że więc inkryminowany artykuł wyszedł z pod pióra pana Spasowicza i przez tegoż narzucony został redakcyi. „Nowosti“ oponują przeciw mniemanéj kandydaturze margrabiego, a naszego wydawcę ostrzegają, aby jéj nie popierał, gdyż złośliwe języki mogłyby powiedzieć, że tu chodzi o koncesyą na budowę drogi żelaznéj z Dąbrowy. Ośmielamy się oświadczyć, że wzorem rycerza z La Manchy, „Nowosti“ walczą przeciw wiatrakom własnéj wyobraźni. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, p. Spasowicz ani kandydatury margrabiego Wielopolskiego nie stawia, ani o ubieganie się o koncesyą drogi żelaznéj przez nikogo rozumnego posądzonym nie zostanie. Co większa, sam

margrabia w wypowiedzianych publicznie słowach, że „epigonów nie będzie,“ dał wskazówkę, że o kandydaturze tego rodzaju nie myśli. Zresztą p. Spasowicz używa rozgłośnego imienia jako adwokat, jest nadto dość utalentowanym pisarzem, ażeby się od podobnych zarzutów sam obronił, jeżeli uzna to za właściwe. Wyręczać go więc nie potrzebujemy.

Pozostaje nam tylko wyjaśnienie jednéj okoliczności—stosunku wydawcy „Ateneum“ do redakcyi, z powodu błędnego mniemania, jakoby inkryminowany artykuł był nam przez wydawcę narzucony. Możemy zapewnić wszystkich, interesujących się tą kwestyą, że ani p. Spasowicz, szanując w drugich godność osobistą, nie próbowałby narzucania redakcyi sprzecznych z jéj przekonaniem opinij, ani redakcya zgodziłaby się zostać telefonem tego, coby z jéj sumieniem się niezgadzało. Artykuł o „samopomocy narodowéj“ powstał w redakcyi, z jéj własnéj inicyatywy, żadne obce natchnienie udziału w tem żadnego nie miało. Redakcya téż tylko za niego odpowiada i jeśliby się okazało (*dii avertant!*), że zawierał myśli błędne czy szkodliwe, niech na nią spadnie kamień potępienia.

Załatwiwszy kwestyą polemiczną z „Nowostiami,“ zwrócimy uwagę czytelników naszych na korespondencyą z Warszawy w Nr. 140 „Poriadka,“ datowaną 20 maja (1 czerwca). Ze sposobu w jaki znajomi swoich ziomków z bieżącemi objawami naszego życia, odgadujemy w korespondencie człowieka z głową i sercem, który bez uprzedzenia patrzyć umie i posiada dość odwagi, aby przekonania swe wypowiedzieć szczerze. Im mniéj jesteśmy przyzwyczajeni do spotykania w prasie rosyjskiéj takich odezw, tem bardziéj szanować je potrafimy. Obok tego jednak widzimy potrzebę zrobić tu jedno zastrzeżenie. Korespondent pod wpływem bardzo naturalnego i zrozumiałego dla nas uczucia, szereg zabaw warszawskich i nasze zajmowanie się miejscowémi wyłącznie interesami zestawia ze smutnémi wrażeniami, wywołanémi biegiem wypadków, na które patrzy zdala. Z tego zestawienia wynika pewien dyssonans, który go oczywiście razi, a odległych jego ziomków, którzy tylko z korespondencyj dziennikarskich czegoś się o nas dowiadują, jeszcze bardziéj razić musi. Szkoda więc, że korespondent nie zastanowił się nad tém, czy milczenie zawsze oznacza obojętność? Milczenie bywa niekiedy równoważnikiem ostrożności, owocem gorzkiego doświadczenia. Zdarzało się, iż najpoufniejsze listy przedstawiane były dobrowolnie przez adresatów na to, aby przeciw piszącym świadczyły, aby z najniewinniejszych wyrażeń budowały się potępiające poszlaki. Milczenie może być nakazane

względami nawet ważniejszémi aniżeli ostrożność osobista. Zabierając głos w pewnych przedmiotach, leżących po za ciasnym zakresem spraw czysto miejscowych, moglibyśmy wyrządzić tylko szkodę opiniom, za któremibyśmy się oświadczyli. Głos nasz podałby do rąk nową a pożądaną broń różnym sykofantom większego i mniejszego kalibru. Ulubiona p. Katkowowi i jego adherentom piosenka o „szlachto-łacińskiéj intrydze“ i o „stadzie Panurga“ wnetby po dawnemu zabrzmiała i niejednego prostaczka uwiodła. Po cóż więc mamy pracować *pour le roi de Prusse?* Korespondent i wszyscy ludzie rozważni zrozumiéć to powinni.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **Piotr Chmielowski.**